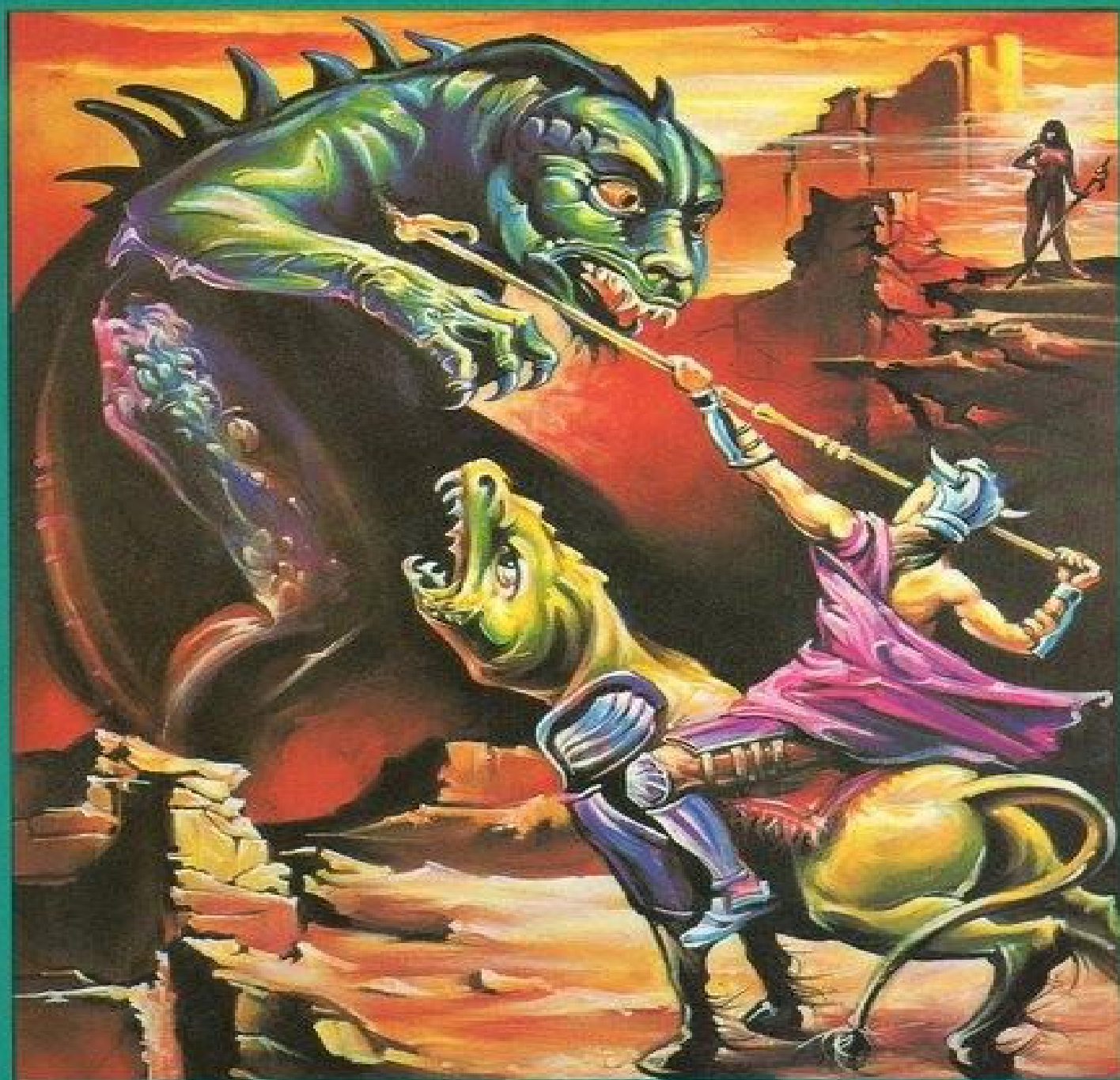


FANTASY & SF

KARL E. WAGNER

KANE

Mroczna Krucjata



PHANTOM  PRESS

zibek

KARL EDWARD WAGNER

MRO CZNA KRUCJATA

(Dark Crusade)

Przełożyła Dorota Żywno

PHANTOM PRESS INTERNATIONAL GDAŃSK 1991

"Westchnienie nieszczęsnego Żołnierza Splywa krwią po ścianach Pałacu. "

William Blake, "Londyn"

Bobowi Hexfordowi –

Nie będziemy więcej włączyć się Nocą o tak późnej porze...

Spis treści

STRONA TYTUŁOWA

PROLOG

I CZŁOWIEK, KTÓRY NIE RZUCAŁ CIENIA

II CZŁOWIEK, KTÓRY BAŁ SIĘ CIENI

III ZŁOTE RYBKI

IV CIENIE, KTÓRE ZABIJAJĄ

V REKINY

VI CZERWONE ŻNIWO

VII OGNIWO KRYZYSU

VIII POCZĄTEK BURZ

IX WYKUWANIE

X W WIEŻY YSLSŁA

XI ŻAŁOBA JUTRA

XII KRWAWE CHRZEST

XIII OBLĘŻENIE

XIV TRAKTATY I WEZWANIA

XV OMEN

XVI ZŁAMANY MIECZ

XVII GODZINA DZIECI

XVIII SEN I DELIRIUM

XIX BOGINI

XX JEJ WARGI SĄ CZERWONE...

XXI ...WYGLĄDA JAKBY JĄ NAKARMIONO

XXII NIECH KRWAWI

XXIII WROTA

XXIV POD MORZEM PIASKU

XXV NEMEZIS

XXVI DESPERAT

XXVII W LEGOWISKU YSLSLA

XXVIII GŁÓD

PROLOG

– Tu nie znajdziesz schronienia.

– Co takiego?!

Ścigany mężczyzna odwrócił się gwałtownie i nieufnie przyjrzał się ceniom. Tam, w ciemnym załomie przypory miru stała postać w czarnych szatach, której nie dostrzegął jeszcze przed chwilą, kiedy na uginających się nogach, chwiejnym krokiem zmierzał ku mrocznym murom prastarej wieży. Z głębi ciemnych ulic, którymi uciekał, do-chodziły krzyki i odgłosy zbrojnego pościgu. W czarnej ciszy pod wieżą słyhać było tylko jego ochryply, przy-spieszony oddech i ciche kapanie krwi sączącej się z ramienia. Mężczyzna wzniósł niezdarnie miecz w kierunku, z którego dochodził głos.

– Nie znajdziesz tu schronienia – powtórzył mężczyzna w czarnych szatach. – Nie w Legowisku Yslsla.

Koścista ręka wysunęła się ruchem węża z fałd ciemnej szaty i wskazała na czarną kamienną wieżę, wznoszącą się w bezgwiezdne niebo. Ranny wojownik, śledząc ów gest, wejrzał w górę na mroczny masyw opuszczonej wieży. Ludzie powiadali, że jest starsza niż miasto Ingoldi. Starsza nawet niż forteca Ceddi, której zniszczone od wiatru fortyfikacje niegdyś stanowiły całość z czarną wieżą. Opuszczona obecnie wieża stanowiła przedmiot niezliczonych ponurych legend. Tej jednak nocy strażę z pochodniami i wyciągniętymi mieczami sprawiły, że ziejące wejście do niej i zarośnięte pajęczynami spiralne schody zdawały się miłym schronieniem.

– Co ty wiesz, starcze! – warknął ścigany mężczyzna.

– Tylko to, że strażę, które szły po śladach twojej krwi nie zawahają się przeszukać wieży. Nie ujdiesz im w Legowisku Yslsla i tylko pająki i nietoperze będą o-słaniać plecy dzielnego Orteda w czasie jego ostatniej walki.

Wojownik uniósł nieco barki masywne jak u byka.

– A więc znasz mnie, starcze.

– W całym Shapeli znana jest sława Orteda. A całe Ingoldi mówi o tym, jak wraz ze swymi wilkami, wpadłeś dziś w pułapkę, kiedy ośmieliłeś się wkroczyć do miasta, by złupić Targ Cechów.

Bandyta zaśmiał się gorzko. – Nikt spośród prostego ludu Shapeli nie podniósłby ręki przeciw nam – a zdradził mnie jeden z moich własnych ludzi.

Podszedł bliżej do postaci w czarnej szacie. – Znam cię, starcze – jesteś kapłanem Sataki, sądząc po twej czarnej sutannie i złotym medalionie. Myślałem, że Satakijczycy, odcięci od reszty pospolitego świata, nie opuszczają zakurzonych sal Ceddi.

– Nie zapomnieliśmy świata poza murami Ceddi – odrzekł kapłan. – Ani też nie jesteśmy przyjaciółmi tych, którzy uciskają biednych, by gromadzić ziemskie bogactwa.

W sękatych palcach szarpiących za okrwawiony rękaw była zaskakująca siła.

– Chodź. Udzielimy ci schronienia w Ceddi.

– Czy to kolejna pułapka? Ostrzegam cię – nie dożyjesz tej chwili, by cieszyć się upragnioną nagrodą!

– Nie bądź głupcem. Gdybym pragnął twej śmierci, mógłbym już dawno podnieść alarm. Chodź. Niemal już nas dogonili. W pobliżu jest droga na drugą stronę muru.

Nie mając nic do stracenia, Orted poddał się sile dłoni ciągnącej go za rękaw. Kapłan cofnął się w cień wieży, prowadząc go przez zasypany gruzem dziedziniec ku zrujnowanemu murowi. W kącie muru płyta dziedzińca obróciła się wokół osi w dół, a schody prowadziły jeszcze niżej. Kapłan schodził pewnie; zaniepokojony wódz bandytów podążył za nim. Niewiele wiedziano o

Satakijczykach, lecz krążące wśród ludu pogłoski o tym pradawnym kulcie nie były przyjemne. Jednakże pochodnie były bardzo blisko, a groty strzał tkwiące w jego barku i boku wysysały zeń resztki sił. Kiedy wszedł w głąb mrocznego i posepnego korytarza, wejście cicho zawarło się za nim. Orted odwrócił się, by zobaczyć czyja ręka je zamknęła. Zauważył szybki ruch kapłana za swoimi plecami.

A potem nie czuł już niczego.

Po jakimś czasie wróciło mu czucie. Bolał go tył czaszki. Jego nagie ciało dotykało zimnego kamienia. Kończyny były wyciągnięte i unieruchomione. Otworzył oczy.

Nad nim, rozciągnięty w mroku, unosił się nagi mężczyzna.

Orted potrząsnął głową, walcząc z bólem i zawrotami głowy. Mgła, przesłaniająca mu wzrok, zniknęła. Spojrzał w czarne lustro zawieszane wysoko na suficie. To on był tym nagim mężczyzną.

Leżał rozciągnięty na okrągłej płycie z czarnego kamienia, z kostkami i nadgarstkami przywiązany rzemieniem. Jego kończyny spoczywały w kamiennych wyżłobieniach, a w lustrze rozpoznał pierścień znaków wrytych MM obwodzie kręgu. Był taki sam jak ten na złotym medalionie, który nosił kapłan – avellański krzyż z kręgiem starszych glifów.

Lecz to on leżał teraz na tym krzyżu, który był ołtarzem Sataki.

Orted zaklął wściekle i szarpnął więzy, Nawet gdyby nie był ranny, byłoby to bezskuteczne.

Odziane na czarno krążące wokół ołtarza postacie spoglądały na niego z góry, a ich twarze, jak pozbawione wyrazu plamy, ginęły w cieniu kapturów,

Orted krzyczał do nich z wściekłością: – Gdzie jesteś, ty parszywy, skurwysyński kłamco?! Czy to jest schronienie, jakie obiecywałeś?! Dlaczego nie zostawiłeś mnie strażom – to byłaby godniejsza śmierć!

– To byłaby bezużyteczna śmierć – zadrwił znajomy głos. – Trudno znaleźć ofiary w tych ponurych czasach, a moich braci jest niewielu i są zbyt starzy. Od miesiący nie mogliśmy zwabić do Cedzi żadnego głupca, którego zniknięcie nie byłoby zauważone. Pomimo, że jesteś zbrodniarzem i rabusiem, twój ostatni czyn, śmiały Ortedzie, przyniesie pożytek. Od wielu lat nie poświęciliśmy Sataki duszy tak silnej jak twoja.

Nie zważając na przekleństwa więźnia rozpoczęto czarnoksiężskie inwokacje. Bandyta wył z wściekłości i szarpał więzy lecz ani jego krzyki nie przerwały cichego śpiewie ani nogi nie potrafiły wyzwolić się z pęt.

Orted, człowiek niewierzący, wołał Thoema, Vaula, wszystkich innych bogów, których imiona znał. Kiedy nie odpowiedzieli, banita błagał o pomoc Thro'elleta Siedmiookiego. Księcia Tlouvina albo Sathonysa i innych władców demonów, których imion lepiej nie wymieniać. Jeśli nawet usłyszeli, nie wzruszyło ich to.

– Nasz bóg jest dużo starszy od tych, których błagasz nadaremno! – szepnął drwiąco kapłan, malując mu na piersi znak Sataki przy pomocy pędzla umoczonego we krwi płynącej z jego ran.

W powietrzu unosił się dym gorzko-słodkiego kadzidła. Narkotyczne opary stępiały jego zmysły, tłumiąc rozpaczliwą chęć uwolnienia się. Jednostajny, tajemniczo brzmiący zaśpiew kapłanów oddalał się i cichł. Odbicie w czarnym lustrze zamazało się...

Nie. Spod lustra wypłynęła czarna mgła, zasnuwając je całunem półprzejrzystej substancji.

Wtedy Orted wrzasnął, wygiąwszy ciało w łuk, nie zważając na zwykły ból ran, byle dalej od ołtarza.

Coś było mu wydzierane...

Krąg kapłanów umilkł i cofnął się wyczekiwaniu...

Lecz to, na co czekali, nie wydarzyło się – i nawet najstarsze annały ich pradawnego kultu nie

ostrzegły ich przed niespodziewanym.

Tysiąc mglistych macek spłynęło z kręgu czarnego szkła. Jak czarne pajęczne nici zsunęły się w dół, by oplatać wygiętą na ołtarzu postać. Po mackach przemknął ledwie widoczny cień CZEGOŚ i pochłonął nieszczęsnego człowieka. Ołtarz i ofiara całkowicie znikły w wijącej się masie ciemności.

Ci spośród widzów, którzy nie uciekli lub nie umarli ze strachu, nie potrafili określić, jak długo cień się utrzymywał. Skuleni w pokornych pozach, ukryli twarze w fałdach swych szat. Tak jak istnieją imiona, których mądrzej jest nie wypowiadać, tak są wizje, których lepiej nie oglądać.

Po pełnej grozy ciszy, jakiś głos rozkazał im:

– Podnieście się i stańcie przede mną!

Unosząc przelęknione twarze, kapłani Sataki ujrzeli niepojęte zjawisko.

CZŁOWIEK, KTÓRY NIE RZUCAŁ CIENIA

Był trzeci dzień Targu Cechów w Ingoldi. Miasto, które znajdowało się na skrzyżowaniu szlaków handlowych, przecinających ten region lasów tropikalnych, było idealnym miejscem dorocznego jarmarku.

Rzemieślnicy z całego Shapeli zjeżdżali się tu, by pokazać swe dzieła oczom przebiegłych kupców z krainy lasów i dalszych okolic, wysmaganym wiatrem żeglarzom, których kupieckie statki pływały po zachodnim Morzu Wewnętrznym; ciemno opalonym jeźdźcom, których karawany przemierzały trawiaste równiny południowych królestw na granicy Shapeli, gdzie puszcza zmieniała się w sawannę. Nawet dla tych, którzy nie byli ani rzemieślnikami, ani kupcami, Targ Cechów był wielkim wydarzeniem – świętem i wytchnieniem od trudów wiejskiego życia. Ci, którzy mogli udać się w podróż, wyruszyli z niezliczonych miast i osad na siedmiodniowy karnawał w Ingoldi.

W kramach i pawilonach, z wozów i pod pospiesznie wzniesionymi zadaszeniami na całym Placu Cechów i w zatłoczonych ulicach prowadzących do placu, kupujący i sprzedawcy targowali się o ceny darów lasu. Cenne futra i wyroby ze skóry, pięknie tkane płótna bawełniane i lniane, mocne skrzynie z twardego tropikalnego drewna, w których możesz bezpiecznie umieścić swe zakupy na czas podróży, albo delikatny grzebień z hebanu i zmijowej skóry do ozdobienia włosów twojej pani.

Zastawy stołowe z cyny i miedzi, wypalanej glinki i dmuchanego szkła, drewniane tace i srebrne talerze. Wspaniała biżuteria ze srebra i złota, szmaragdów i opali – a do tego, by jej strzec, łuki z twardego drewna i strzały z żelaznymi grotami, noże i miecze, których ostrza zrobiono z prawdziwej carsultyalskiej stali – na Thoema, przysięgam, że to prawda!

Karczmy i ustawione naprędce winiarnie dostarczały spragnionemu tłumowi piwa, wina, wódki i bardziej osobliwych trunków.

Uliczni handlarze sprzedawali świeże owoce i inne produkty, albo ostro przyprawiony gulasz i kebaby z rusztu pieczone na oczekaniu nad węglem drzewnym.

Tuż pod bokiem tolerancyjnej straży miejskiej, rzezimieszki i oszuści krążyli wśród tłumu w poszukiwaniu ofiar. Przedsiębiorcze, ochryple prostytutki z przyklepionym uśmiechem starały się odciągnąć rzemieślników i kupców od bieżących interesów.

Akrobaci, mimowie i uliczni śpiewacy swoimi wyczynami powiększali jeszcze panujące w tłumie zamieszanie.

Targ Cechów był mieszaniną jaskrawych kolorów, egzotycznych zapachów, ostrych dźwięków i strasznego tłoku. Całe Ingoldi pogrążone było w świątecznej atmosferze, a nieudana próba złupienia Targu Cechów, podjęta poprzedniego dnia przez Orteda i jego bandę rabusiów. była już tematem, który mało kogo interesował.

Jednak dla dowodzącego strażą miejską kapitana Fordheira sprawa wciąż miała wielkie znaczenie. To łucznicy Fordheira zmienili wczoraj starannie zaplanowany najazd Orteda w krwawą

rzeź. Jeden z członków bandy, skuszony nagrodą wyznaczoną za głowę słynnego przestępcy, zdradził kapitanowi straży przemyślne plany swego herszta.

Ingoldi było sennym, szeroko rozbudowanym miastem, które po wiekach pokoju rozrosło się poza obszar murów obronnych, rozebranych później na materiał budowlany. Gdy Targ Cechów sięgał szczytu, skupiały się tu niezliczone fortuny w pieniądzach i kosztownych, łatwych w transporcie towarach – a strzegła ich tylko nieliczna straż miejska. To był śmiały pomysł, ale prosty lud był przychylny zuchwałemu bandycie i nie poparłby najmniejszej straży ani bogatych kupców. Po co narażać się bandyckiej stali, żeby bronić złota, które nigdy nie będzie twoje?

Wyjeżdżając na Plac Cechów Orted sądził, że ma setkę ludzi ukrytych w tłumie. Wzrok donosiela był jednak ostry jak ząb żmii i tylko mniej niż połowa ludzi Orteda była jeszcze na wolności w chwili, gdy przywódca z resztą swojej bandy rozpoczął szarżę wąską ulicą Kupiecką. Nagle wozy rzemieślników należących do cechu okazały się barykadami, a sklepy na piętrach kryły łuczników. Dla wszystkich, z wyjątkiem niewielu, starcie zmieniło się w nagłą rzeź

Ku niezadowoleniu Fordheira, sam Orted do tej pory mu się wymykał. Kiedy pułapka zamknęła się, Fordheir ujrzał, jak wódz bandytów, dwukrotnie już trafiony, strzaskał drewnianą kratę w oknie jednego ze sklepów. W jakiś sposób ranny rozbójnik przemknął obok łuczników, a potem wpadł w kręty labirynt zaułków i ciasnych podwórek, gubiąc się w zamieszaniu wywołanym paniką tłumu. Ścigano go przez całe popołudnie i wieczór, ale jakimś cudem Orted umknął.

Fordheir skrzywił się, przypominając sobie, jak ślad krwi znikł w niewyjaśniony sposób w pobliżu prastarych murów Ceddi. Bandyta był tam już niemal w jego rękach, ale ktoś mu pomógł. Być może jego ludzie, co oznaczałoby, że Orted bez wątpienia jest już daleko od Ingoldi – chyba że ktoś z miasta udziela mu schronienia.

Fordheir od dawna zastanawiał się nad przyczyną popularności tego przestępcy. Orted był bohaterem dla prostego ludu – zuchwałym rabusiem, który okradał tylko ich panów. Fordheir uważał to za dobry żart; cóż za zysk z rabowania biednych? Poza tym znał go na tyle dobrze, aby zdawać sobie sprawę z okrucieństwa i nieromantyczności jego czynów.

Kapitan Fordheir zaś, wraz ze swoją strażą miejską, był tylko pogardzanym najemnikiem, opłacanym przez kupców i arystokrację, aby pilnować porządku w Ingoldi. Za śmiesznie niską pensję, która sprawiała, że bez łapówek nie można było utrzymać siebie i swojego sprzętu, straż miejska chroniła dość skutecznie obywateli Ingoldi przed sobą nawzajem. Mieszkańcy miasta gardzili nią, a posiadacze ziemscy głośno domagali się wyjaśnienia tajemniczej ucieczki Orteda.

Było to dość – rozmyślał Fordheir, którego jasne włosy były coraz radsze, a stawy sztywniejsze ze starości – aby zatęsknić do czasów młodości i niekończących się wojen na pograniczu południowych królestw, Lecz starzejący się najemnik musi robić to, co mu pozostało.

Zmęczony, przeciągnął się w siodle, poruszając palcami stóp w ciasnych butach. Wraz z dwudziestoma konnymi strażnikami wjeżdżał powoli do miasta po kilku godzinach bezowocnych poszukiwań w okolicach Ingoldi. Wyłaniające się z lasu, nie wyróżniające się niczym szczególnym miasto ze swymi ostrymi dachami, krzywymi kominami i kopułami posiadłości bogaczy, było widokiem miłym dla oczu. Mroczne mury Ceddi wyróżniały ponurą fortecę na tle świętującego Ingoldi.

To była bezsenna noc i długie popołudnie. Zmęczone stawy Fordheira były obolałe, czuł kwaśność w żołądku, a humor miał mocno zwarzony. Niechętnie przyznał, że pozwolił bandycie się wymknąć. Cóż, dobry posiłek, dzban piwa i posłanie w koszarach poprawią nieco nastrój.

Galopem zbliżał się do nich jeździec. Fordheir poznał po ciemnozielonej koszuli i spodniach z czerwonym pasem wzdłuż nogawki, że jeździec jest jednym z jego ludzi. Zastanawiał się, co skłoniło

tego strażnika do pośpiechu.

Jeździec dyszał ciężko, kiedy ściągał wodze konia.

– Porucznik Anchara rozkazał mi odnaleźć pana, kapitanie. Grupa Satakijczyków przemawia do tłumu. Anchara obawia się, że mogą być kłopoty.

Fordheir zaklął. – Ci przekłęci kapłani o zasuszonych gębach nie mają dość rozumu, żeby nie wychodzić ze swojej sterty kamieni w czasie Targu Cechów. To już nie nasz kłopot, jeśli tłum rozszarpie ich na kawałki.

– Nie o to chodzi – powiedział strażnik z nutą niepokoju w głosie. – Porucznik Anchara sądzi, że tłum jest po ich stronie.

– Na jaja Thoema! Jednego dnia bandyci, a następnego gromada zidiociałych fanatyków! Czy Anchara naprawdę sądzi, że to my musimy ich rozpędzić! Przecież ma tam ludzi – dlaczego ich nie użyje?!

– Nic wiem, panie kapitanie. Ale wyraźnie coś się szykuje. Porucznik Anchara twierdzi, że widział paru ludzi Ordeta w szeregach wśród kapłanów.

– Porucznik Anchara?! Czemu nie spyta Tappera, czy to ludzie Orteta? W końcu za to płacimy temu małemu gadowi!

– Donosiciel zniknął, panie, – Głos strażnika brzmiał żałośnie.

Fordheir splunął z odrazą. – Jedźmy więc szybko. Zobaczmy co to za bezsensowna sprawa!

Prowadząc swych ludzi ulicami w stronę Placu Cechów. Fordheir starał się znaleźć jakiś sens w tym ostatnim wydarzeniu.

O ile wiedział, Satakijczycy raczej nie opuszczali swojej rozsypującej się twierdzy i nie wtrącali się do spraw świata.

Od czasu do czasu szeptano, że zaginięcie bezdomnego dziecka lub pijanego żebraka jest dziełem Satakijczyków, ale nikogo nie obchodziło to aż tak bardzo, by pytać o to w fortecy.

Tradycja mówiła, że ich kult czcił jakiegoś demona z dawnego świata, i że Ceddi (co podobno znaczy „Ołtarz”) została wzniesiona na kamieniach jeszcze starszej fortecy, z której pozostała tylko wieża Yslsla. Wiadomo było, że to prastary kult, obecnie niemal zapomniany. Religijny fanatyzm wypalił się kilka wieków temu, gdy herezja Dualistów podsycała płomienie, które zniszczyły wielkie Cesarstwo Serranthońskie.

W dzisiejszych czasach mieszkańcy Wielkiego Północnego Kontynentu, czujący potrzebę czczenia jakiegoś bo-ga, zwykle oddawali cześć Thoemowi, Vaulowi albo ja-kiemuś bóstwu będącemu kombinacją ich cech, a Sataki i Yslsl były imionami obcymi każdej znanej religii. Rzadko widziani kapłani w czarnych szatach nie cieszyli się zaufaniem mieszkańców miasta i niewielu ludzi odważyłoby się zbliżyć do Ceddi po zmierzchu. O ile nie wiedziano niemal nic na temat tego kultu, o tyle krążyły o nim nieprzyjemne pogłoski i domysły.

Na Placu Cechów panował ścisk, jak zawsze za pamięci Fordheira. Szeroki na ponad dziewięćdziesiąt metrów brukowany plac był tak zatłoczony, że przejście przezeń było wysiłkiem. W tłumie można było wyczuć nastroj rosnącego podniecenia. Przepychając się siłą do miejsca, gdzie porucznik Anchara czekał z następnym oddziałem straży, Fordheir doszedł do wniosku, że nie podoba mu się ta atmosfera. Zbyt wielu ludzi zaprzestało zwykłych zajęć na targu i skierowało się ku małej grupie kapłanów w czarnych szatach zajmujących sceniczne podwyższenie w pobliżu środka placu. Z tej odległości Fordheir nie słyszał słów, ale szmer wśród tłumu nie wróżył nic dobrego.

Ściągając wodze konia, porucznik uśmiechnął się do niego nerwowo.

– Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem ci, panie, w niczym ważnym...

Fordheir potrząsnął jasnowłosą głową.

– Nie przeszkodziłeś.

Anchara służył pod jego dowództwem w dawnych czasach w królestwach południowych, Fordheir cenił rozsądek towarzysza i teraz sam poczuł lęk.

– Od jak dawna to trwa?

– Mniej więcej godzinę temu zauważyłem, że grupka kapłanów wspięła się na jedną ze scen i zaczęła prawić swoje przekłete kazania. Kilku ludzi próbowało przepędzić ich krzykami, ale jeśli przyjrzesz się z bliska, zobaczysz, że wokół sceny stoi krąg bardzo paskudnie wyglądających drabów. Doszło do kilku bójek, nic wielkiego, i zastanawiałem się właśnie jak sobie z tym poradzić i czy w ogóle warto, kiedy rozpoznałem kilka twarzy w tym kordonie. Cholerny Tapper zażądał pieniędzy i zmył się, jakby gonili go wszyscy diabli, więc nie mogłem być pewien, ale mógłbym przysiąc, że tamten wysoki drań z kolczykami w uszach to jeden z tych, których wskazał nam palcem,

Fordheir przyglądał się uważnie kordonowi bandycko wyglądających strażników. Ich brudne i źle dobrane stroje miały jedną cechę wspólną – każdy z nich nosił szeroką opaskę z czerwonego materiału z wymalowanym czarnym tuszem znakiem „X” w okręgu, Fordheir jak przez – mgłę przypomniawszy sobie, że to znak Sataki.

– Masz rację – rzekł, – Wyglądają zbyt zbójcecko jak na straż grupy pomyślonych kapłanów, Ciekawe, skądwzięli pieniądze żeby ich wynająć?

– Mógłbym przysiąc, że niektórzy z nich to ludzie Orteda.

– Możemy to sprawdzić. Od jak dawna ludzie ich słuchają?

– Cóż, tak jak powiedziałem, na początku ludzie usiłowali ich wygwizdać, ale szybko się uciszyli. Potem stojący w pobliżu chcieli dowiedzieć się, co było powodem awantury. Kilku odeszło, ale większość została i tłum – wzrastał się w miarę, jak następni przychodzili zobaczyć, co się dzieje. Jest taki ścisk, że nikt nie może dojść do kramów.

– W takim razie trzeba ich rozpedzić – zdecydował Fordheir, przypominając sobie, kto mu płaci.

Obłąkana przemowa czarno odzianych kapłanów zbliżała się do punktu kulminacyjnego. Z tej odległości Fordheir niewiele słyszał. Często powtarzało się słowo „prorok” i zwroty: „nowa epoka”, „świat odrodzony w ciemności”, „prorok zesłany przez Sataki”. „ten, który nasprowadzi”.

Uwagę Fordheira przyciągnął wysoki kapłan, milczący, nieporuszony, owinięty w obszerny płaszcz z kapturem. Na płaszczu z czarnego jedwabiu widniał znak Sataki. Wyszyty został w taki sposób, iż pas glifów otaczał tors kapłana, a avellański krzyż przebiegał przez pierś i plecy, tak że jego głowa była w środku owego znaku „X”. Słowa i gesty innych kapłanów stopniowo kierowały się prawie wyłącznie w stronę ich milczącego brata. Podniecony tłum skupił uwagę na tajemniczej postaci.

Nagle beznamiętna przemowa kapłanów urwała się. Fordheir usłyszał ich okrzyk:

– Patrzcie! Oto Prorok z Ołtarza! Dramatycznym gestem milczący kapłan zrzucił pelerynę.

Anchara sapnął i wskazał ręką:

– Na Thoema! Widzisz to!?

Fordheir zobaczył. Wszyscy zobaczyli.

W majestacie półboga Orted stanął przed nimi. Trudno było nie rozpoznać tej lwiej głowy z masą brązowych włosów i gładko ogolonej twarzy – chociaż wyglądał schludniej, niż było to w jego zwyczaju.

Podparty pod boki, odziany w obcisłe spodnie i koszulę z czarnego jedwabiu o luźnych rękawach, wydawał się postacią nadnaturalnych rozmiarów. Na jego szerokiej piersi błyszczał w późnopołudniowym słońcu złoty symbol Sataki. Spojrzenie jego gorejących, czarnych oczu

przesunęło się po setkach twarzy w tłumie i zdawało się przyglądać każdej z osobna.

Nie rzucał cienia.

– Zablokujcie wszystkie drogi wychodzące z placu – rozkazał Fordheir. – I poślijcie jeźdźca do koszar, żeby sprowadził tylu ludzi, ilu zdoła. Nie rozumiem co się tu dzieje, ale Orted nie jest głupcem.

Ponuro zastanawiał się nad szansami wbicia klina zbrojnych w tłum na przepełnionym placu.

– Sprowadźcie łuczników – mówił dalej. – Nie możemy ryzykować, że ucieknie w tłum.

– Panie kapitanie – głos Anchary brzmiał niespokojnie. – Wygląda na to, że on nie rzuca cienia.

– Wiem.

Po chwili początkowego zamieszania na Placu Cechów zapadła cisza, gdyż ludzie rozpoznali przywódcę bandytów. Świąteczny nastrój został przytłumiony przez atmosferę zdumienia i wyczekiwania. W tej ciszy Orted przemówił miarowym tonem, a jego donośny głos brzmiał wyraźnie.

– Ja jestem tym, który niegdyś był Ortedem, zwanym przez innych ludzi bandytą i wyrzutkiem społeczeństwa. Nie jestem już tym człowiekiem. Bóg zstąpił we mnie i jego wola jest moją wolą, a moje słowa są jego słowami. Słuchajcie mnie, bowiem ja jestem Orted Ak-Ceddi, Prorok Sataki!

Świat Jasności jest skazany na zagładę i Bogowie Światła zginą wraz z nim, a Dzieci Światła zostaną zniszczone przez ich upadek. Przed Jasnością była Ciemność. przed Ładem był Chaos. Jasność i Ład są kruchymi nieprawidłowościami w naturalnym porządku Kosmosu. Nie mogą długo trwać. Bogowie Ciemności i Chaosu są dużo starsi i znacznie potężniejsi. Przed ich mądrością i siłą bogowie-uzurpatorzy muszą ustąpić.

Wojny, jakie oni toczą, nie mieszczą się w granicach ludzkiego zrozumienia, ale zbliża się czas, gdy zwycięzca dokona podboju, a pokonany zostanie unicestwiony, Bliski jest już dzień, kiedy mrok pochłonie nasz świat, kiedy podrzędne bóstwa ludzi zostaną zniszczone, a wraz z nimi ich świątynie i głupcy, szukający w nich schronienia...

Wieczorny mrok zapadał nad placem, podkreślając dramatyzm ponurych słów człowieka, który nie rzucał cienia.

Fordheir wyczuwał strach, jaki padł na przejętych słuchaczy. Głos owego mężczyzny brzmiał hipnotycznie i zniewalająco. Fordheir poczuł, jak i w jego myśli wkrada się uczucie beznadziejności.

– Istnieje tylko jeden sposób na zbawienie.

Ciasno zbity tłum czekał w absolutnej ciszy.

– Dzieci Jasności przepadną wraz ze swymi bogami, ale Bogowie Ciemności ocalą tych wszystkich, którzy ich czczą. Nasz świat odrodzi się w Ciemności i odrodzą się również ci wszyscy, którzy zaprzysięgną Jej swe dusze. Dla Dzieci Ciemności nastanie nowa era. Będą one miały swój udział w zdobyczach zwycięzcy. Zazną czystej wolności Chaosu i same będą żyć jak bogowie. Żadna rozkosz nie będzie im zabroniona, żadne pragnienie nie zostanie niezaspokojone. Pokonani bogowie będą ich niewolnikami, upadłe boginie ich nałożnicami, a Dzieci Jasności będą jako pył pod stopami Dzieci Ciemności!

Radosne okrzyki zaczęły rozbrzmiewać echem po Placu Cechów.

Orted Ak-Ceddi zaczekał, aż podniecone wołania wzmogą się, a potem uniósł ręce nakazując ciszę.

– Sataki, największy z Bogów Ciemności, wstąpił we mnie i rozkazuje mi powiedzieć wam, że on, Sataki, niemal całkiem zapomniany przez ludzkość, nie zapomniał o niej. Sataki wybaczył ludzkości jej zaniedbanie, bowiem rozumie, że ludzkość zbyt długo była zwodzona przez fałszywych bogów. Zdecydował też, że ludzkość zostanie wyprowadzona ze stanu nieświadomości, aby tysiące

mogły brać udział w triumfie Ciemności. Sataki wybrał mnie, Orteda Ak-Ceddi, na swego Proroka i nakazał poprowadzić ludzkość ku nowej epoce!

– Ludzie są na stanowiskach, panie kapitanie – szepnął Anchara, podjeżdżając blisko i nerwowo ściągając wodze konia.

– Ulice są otoczone, ale jeśli motłoch nas zaatakuje...

Fordheir poczuł skurcz żołądka.

– Nie udaję, że rozumiem to, co się tutaj dzieje – powiedział posępnie. – Ale znam nasze obowiązki. Niech łucznicy będą przygotowani do strzelania na rozkaz. Jeśli będziemy mogli skończyć z tym, zrobimy to.

Orted Ak-Ceddi znów uniósł ręce nakazując ciszę.

– Sataki każe mi jeszcze powiedzieć, że jego wolą jest, aby cała ludzkość czciła jego imię i jego ołtarz. Dzień ostatecznego zwycięstwa jest bliski i Sataki nakazuje, aby Dzieci Ciemności zniszczyły Dzieci Jasności, tak jak Bogowie Jasności i Ładu są unicestwiani przez Bogów Ciemności i Chaosu. Oto więc jego słowa: Każdy człowiek musi wybrać – Sataki albo śmierć! Wszystkim, którzy będą czcić jego imię, Sataki ofiaruje bogactwa i rozkosze tego świata, i obietnicę wiecznego majestatu w nadchodzącym wieku! Wszystkim, którzy nie oddadzą czci jego imieniu, Sataki ześle tylko śmierć na tym świecie i wieczne pohańbienie w nowym wieku! Odbierze ich dobra i majątek, i rozdzieli sprawiedliwie pomiędzy swych wyznawców! A jedynym prawem będzie: Służ Sataki i czyn, co chcesz! A jedynym rozkazem będzie: służ Sataki albo zginiesz!

Tłum ogarnęła wściekłość. Tam, gdzie odczucia ludzi, nie zgadzały się z treścią beznamiętnej przemowy Proroka, wybuchały walki. Fordheir stwierdził, że sprawy wymykają się spod kontroli i porzucił nadzieję, że po cichu aresztuje bandytę zmienionego w fanatyka. Dał rozkaz łucznikom, którzy zbliżyli się na tyle, na ile pozwalała! zbity tłum.

Deszcz strzał przeleciał obok podium, grożąc niebezpieczeństwem stojącym blisko. Pół tuzina pocisków trafiło Orteda Ak-Ceddi. Masywna postać zachwiała się pod uderzeniem, lecz żelazne groty odbiły się od jego torsu.

Wśród tłumu rozległy się wrzaski i wściekłe krzyki. Prorok utrzymał się na nogach.

– Ma pod ubraniem dobrą kolczugę – podziwiał Anchara.

– Chcecie mnie zabić, głupcy! – ryczał Prorok. Nagle zerwał z piersi poszarpaną strzałami koszulę.

– Stal nie może przeszyć ciała, które dotknął Sataki!

Orted Ak-Ceddi nie nosił kolczugi. Na jego nagim ciele nie było widać śladów ran, starych ani nowych.

– Kolejne czary! – szepnął Anchara. – Stalą nie można walczyć z czarami!

– Dowiemy się tego! – warknął Fordheir. – Przygotować się do natarcia!

Łucznicy zawahali się, oszołomieni tym, co ujrzeli. Krzyk Orteda niósł się ponad wrzawą tłumu.

Prorok wznosił ramiona triumfująco:

– Widzicie jak Sataki chroni swego Proroka! Tak będzie chronił i nagradzał wszystkich, którzy mu służą! Wybierzcie teraz – Sataki albo śmierć! Będziecie mu służyć?

– Sataki! – ryknął tłum.

– Sataki! – odkrzyknął Prorok.

– SATAKI! – ryk był coraz głośniejszy i zmieniał się w śpiew.

– Śmierć niewiernym! – rozkazał Orted wśród wrzawy. Wskazał na łuczników:

– Śmierć!

– Śmierć! – zaśpiewał tłum.

Widząc grożące im niebezpieczeństwo, łucznicy usiłowali wycofać się do głównych sił oddziału straży. Za późno. Ścisk był zbyt wielki, gdy motłoch zaatakował ich rzucając kamieniami i maczugami. Łucznicy strzelali z bliska w rozwścieczoną masę ciał.

Było wiele celów, ale łucznik musi naciągnąć cięciwę, a strzałę może wypuścić z ograniczoną szybkością i tak...

Fordheir wyciągnął swą długą szablę. Poczuł mdłości z powodu nagłej rzezi. Przemoc zawładnęła zatłoczonym placem, wybuchały niezliczone pojedyncze starcia. Pierwsze kramy i pawilony już runęły, przewrócone przez rabujący motłoch. Orted Ak-Ceddi zachęcał go ze swojego podium.

– Czy zdołamy ich rozproszyć? – zastanawiał się porucznik Anchara.

Mniej niż setka konnych przeciw żadnemu krwi tłumowi? Kapitan Fordheir wiedział, że w normalnej sytuacji okoliczności sprzyjałyby jemu, ale tym razem?

– Wyciągnijcie szable – rozkazał. – Naprzód, oczyścić plac.

Straż ruszyła stępą, nacierając na tysiące podburzonych ludzi. Gasnące światło słońca padało na ich ponure twarze i ostre jak brzytwy szable. Powitały ich wściekle rozgniewane twarze.

– Rozejdźcie się! Opuśćcie plac!

Tłum zawahał się i cofnął przed groźbą stali i końskich kopyt, zacieśniając i tak już stłoczone szeregi. Kilku rabusiów rzuciło się do ucieczki w stronę zaułków.

Wtedy zabrzmiał rozkaz, donośny jak sygnał trąbki:

– ZA SATAKI! UDERZAJCIE I ZABIJAJCIE!

– SATAKI! – odpowiedział motłoch jak echo. – ŚMIERĆ!

Poleciały maczugi, kamienie i parę strzał. W gniewnie wzniesionych pięściach pojawiła się broń i noże.

– Naprzód!

Szable cięły rozwścieczone twarze. Kopyta uderzały wijące się ciała. Pierwszy szereg załamał się przed konnymi. Zakrwawieni i zmiażdżeni ludzie padali na bruk, lecz nacisk z tyłu zmuszał motłoch do bezlitosnego parcia naprzód. Byli zbyt ciasno zbici by uciekać, a ścisk był zbyt wielki, by straż mogła manewrować.

Straż miejska przebijała się w głąb rozszarpującej wszystko masy ludzi, a jej ociekające szkarłatem szable wznosiły się i opadały z morderczą sprawnością. Mimo to tłum wciąż parł do przodu, przerywając szeregi konnych samobójczymi wypadami, chwytając jak w pułapkę małe grupki jeźdźców, Otoczyli ich zewsząd. Konie padały z rzeniem, przynosząc swym jeźdźcom straszną śmierć. Kolejne siodła pustoszały pod ciosami kamieni i noży. Jak skorpiony walczące z armią mrówek, strażnicy zabijali i zabijali, i sami padali w trakcie walki.

W miejscu, gdzie wir rzezi był słabszy, gdzie tłum wolał plądrować kramy jubilerów niż stawiać czoła błyszczącej stali, przegrupowała się resztką straży miejskiej. Pozostało ich niespełna dwudziestu, wszyscy wyczerpani i poranieni. Otaczał ich wyjący motłoch – mordercze bestie jednoczone wyzwoloną przez Proroka wrodzoną ludziom żądzą przemocy.

Porucznik Anchara był na pół oślepiiony cięciem nad okiem. Mechanicznie zawiązywał bandaż na głowie.

– Czy możemy im się wyrwać? – zapytał otepiałym tonem.

Fordheir spojrział w stronę odległych ulic, gdzie już rozszalały się grabieże i mordy, i na wir oszalałych ciał Kłębiący się wokół nich. Czuł ból w każdym stawie i tęsknił za dzbanem piwa.

– Nie sądzę – odrzekł. – Na każdego człowieka przychodzi czas śmierci. Wydaje mi się, że przyszedł i na nas.

II

CZŁOWIEK, KTÓRY BAŁ SIĘ CIENI

W Sandotneri w południowych królestwach, wśliznął się przez otwarte drzwi gospody "Pod Czerwonymi Dachami" człowiek o chudej twarzy.

Natychmiast odwrócił się, wyciągnął długą szyję i rozejrzał się po ulicy, którą przed chwilą opuścił. Ludzie zajmowali się swoimi interesami w upale i kurzu późnego popołudnia. Ukradkiem odwrócił się ponownie, by zerknąć na tych, którzy szukali schronienia przed słońcem w głównej sali gospody. Kościstą dłonią otarł pot z wychudłej twarzy, w której błyszczały podkrążone i zapadnięte oczy ściganego człowieka. Spojrzał pytająco na oberżystę, który pokręcił głową. Potem, rozejrzawszy się po sali po raz ostatni, wystraszony wpadł na schody i zniknął na górze.

– Wygląda, jakby bał się własnego cienia – zauważył jeden z pijących przy barze.

Oberżysta popatrzył na niego znacząco. — Bo on się boi.

– Jak to?

Gospodarz wzruszył ramionami Oberża „Pod Czerwonymi Dachami” nie była lokalem, w którym sprawy gości bardzo interesowałyby obsługę, ale...

– Boi się własnego cienia. Zamyka drzwi na zasuwę, jak tylko słońce się obniży i nie wychodzi, póki nie nastanie dzień. W jego pokoju jest jasno jak za dnia – nie wiem, ale musi spalać pięćdziesiąt albo i więcej świec w ciągu nocy.

– Pali świece przez całą noc?

– Aha. Wokół jego łóżka. Pali się ich naraz dziesięć albo piętnaście. I trzy lampy oliwne. Mam cholerne szczęście, że jeszcze wszystkiego nie podpalił. Wyrzuciłbym go, ale dobrze płaci.

– Więc czego on się boi?

– Cieni.

– Cieni?

– Tak powiedział pewnego poranka, staczając się tu na dół pijany w sztok i szukający jeszcze wódki. „Cienie”, powiedział.

– Ale to światło wywołuje cienie.

– Nie, światło pozwala ci zobaczyć, jakie są ich zamiary.

Gospodarz postukał się w łysiejącą głowę.

– On tak twierdzi?

– Widywałem już takich – wtrącił się ktoś inny. – Coś ich prześladowe. Zazwyczaj to coś bierze się z fajki albo ze zbyt wielu kufli wypitych przy długich opowieściach. – Odsunął swoje piwo.

– Czasami biorą się skądinąd – powiedziała postać w czarnych szatach, której wejścia nikt nie zauważył.

Przerażony mężczyzna biegł korytarzem, trzymając w pogotowiu ciężki, spizowy klucz. Oberża „Pod Czerwonymi Dachami” była jedną z niewielu w tej części miasta posiadających pokoje, do których drzwi wyposażone były w takie zamki. Koszt był większy, ale niektórym nie żal było

wydatku. Przestraszony mężczyzna miał więc pewne poczucie bezpieczeństwa, kiedy otwierał niezręcznie zamek i wślizgiwał się do swojego pokoju.

Zamknął drzwi i jęknął cicho ze strachu na widok czekającego mężczyzny.

Wygląd jego gościa nie uspokajał obaw. Z pewnością dwa razy masywniejszy od chudego gospodarza, nie mieścił się na jedynym w pokoju krześle. Jego masywna sylwetka emanowała niemal zwierzęcą siłą. Figura mogła należeć do jakiejś wielkiej małpy odzianej w czarne skórzane spodnie i kamizelę bez rękawów. Na brutalnej twarzy, okolonej sięgającymi do ramion rudymi włosami i brodą koloru rdzy, malowała się jednak zimna inteligencja. Na grubym karku przybysz miał zawiązaną szarfę z czerwonego jedwabiu, a nad prawym barkiem wystawała rękojeść carsultyańskiego miecza przypiętego pasem otaczającym masywną pierś. W spojrzeniu dzikich niebieskich oczu krył się zwiastun nagłej śmierci, gdyby wielką lewą dłonią sięgnął po broń.

W szepcie przestraszonego mężczyzny zabrzmiała jednak ulga:

– Kane!

Ogromny człowiek uniósł ciężką brew.

– Co się z tobą dzieje, Tapper? Jesteś nerwowy jak kot u rzeźnika. Chyba nie zrobiłeś jakiegoś głupstwa...?

Tapper pokręcił głową.

– Nie, nic się nie stało. Kane.

– Wynająłem cię, ponieważ powiadają, że jesteś odważnym człowiekiem – w głosie Kane'a zabrzmiała groźba. – A ty zachowujesz się jak człowiek bliski załamania.

– To nie ta sprawa. Kane. To coś innego.

– Więc co? Balansuję zbyt blisko przepaści, by ryzykować wszystko z powodu kogoś, kto nie potrafi podołać swojemu zadaniu.

Tapper nerwowo pokiwał głową, oblizując spierzchnięte wargi. Może już czas, żeby uciekać. Gdyby udało mu się dotrzeć do wybrzeża...

– Nic mi nie jest – twierdził zawzięcie. – Na Thoema, Kane! Ty nie wiesz, co to znaczyło wydostać się z Shapeli. Satakijczycy są wszędzie – nic nie może się im sprzeciwić! Umknąłem z Ingoldi na wiele godzin zanim wymordowali straż i złupili miasto. Uciekłem z Brandis tej samej nocy, kiedy otoczyli miasto i spalili. Ledwo uszedłem z rzezi w Emleoas nakładając opaskę Satakijczyka i przyłączając się do grabieży – w drodze do granicy minąłem to, co zostało z najemników generała Cumdellera. Prorok zgromadził pod swym sztandarem dziesiątki tysięcy ludzi, Kane. Kiedy mają do wyboru albo przyłączyć się do plądrujących, albo zginąć w popiołach, nie muszą nawet wysłuchiwać przemowy tego diabła, żeby zaprzysiąc swoje dusze Sataki!

– Pomiedzy Sandotneri, a lasami Shapeli są setki mil sawanny – przypomniał mu sucho Kane. – Nie sądzę, by Orted Ak-Ceddi szukał cię tutaj.

Tapper drgnął, spoglądając na towarzysza kątem oka, jakby chciał sprawdzić, czy uwaga Kane'a była czymś więcej niż drwiącym żartem. Chociaż fakt, że Tapper zdradził byłego wodza bandytów, nie był powszechnie znany w południowych królestwach. Kane był niewiarygodnie dobrze poinformowany.

Wystraszony mężczyzna wzdrygnął się, próbując stłumić wspomnienia przerażających tygodni ucieczki. Mroczne macki Sataki sięgały daleko. Hordy Proroka stale najeżdżały miasta wszędzie tam, gdzie Tapper szukał schronienia. A noce... Noce były najgorsze. Złoto z nagrody nie starczyło na długo ani też pieniądze, które wpadły mu w ręce później.

A potem przedostał się z Shapeli na teren królestw południowych. gdzie nie dotarł jeszcze cen Mrocznej krucjaty. Dla złodzieja i zabójcy zawsze byto tu złota pod dostatkiem. Dość, by dotrzeć do

wybrzeża, zapłać za przeprawę na Południowy Kontynent albo jeszcze dalej.

Południowe królestwa były nazwą geograficzną zawierającą więcej przesady niż prawdy. Na południe od puszczy Shapeli, Wielki Północny Kontynent skręcał na zachód – tworząc szeroki rejon sawanny wokół Morza Wewnętrznego na północy i Południowej Cieśniny na południu – a potem na północ, obok zachodniego wybrzeża, Morza Wewnętrznego, gdzie prerie wznosiły się ku górą Altanstand, Za ich skalistą granicą większa część kontynentu rozciągała się na jakieś cztery tysiące mil, dochodząc wreszcie do Północnego Morza Lodowego. Wieki temu Halbros-Serrantho próbował zjednoczyć tę północną część lądu, ale Cesarstwo Serranthońskie leżało te-raz w gruzach, a jedyną inną próbą zawładnięcia całym Wielkim Północnym Kontynentem była zapomniana już niemal całkowicie, nieszczęsna wojna Ashertin z Carsulyalem w czasach odległych początków gatunku ludzkiego.

Królestw południowych może być pięćdziesiąt albo sto, w zależności od zawartych małżeństw, spadków, aneksji i secesji przymierzy i wojen domowych. Rozrzucone po obszarze dwóch i pół tysiąca mil spalonej słońcem sawanny, uparcie niezależne dziedziczne posiadłości stale toczyły boje o prawa do terytorium i wody. Zacięte wojny graniczne i dworskie intrygi były uświęconą tradycją w południowych królestwach. Człowiek taki jak Tapper mógł wzbogacić się w ciągu jednej nocy. Albo zginać w ciągu jednej chwili.

Tapper nadal niespokojnie przyglądał się gościowi. Zło-to, którego potrzebował, wymagało jednak podjęcia pewnego ryzyka, a wystraszony człowiek znał mroczniejszy lęk niż tylko obawa przed niebezpieczeństwem politycznej Konspiracji. Ze strachem zauważył, że za okrągłymi szybami okna niebo już pociemniało.

– Jak tu się dostałeś? – zapytał zaniepokojony. Za oknem, bez okiennicy, ale solidnie zamkniętym na zasuwę, było pięć metrów do ulicy w dole.

– Po prostu wszedłem – odpowiedź Kane'a na niewiele się zdała. Kane niecierpliwie marszczył czoło, podczas gdy drugi mężczyzna kręcił się po pokoju, zapalając świece od jarzących się nieustannie lamp oliwnych. Malutki pokoiak cuchnął łojem, sadzą i strachem.

– Nie lubisz ciemności – zauważył sarkastycznie Kane.

– Nie, nie lubię. Cieni też.

– Szpieg, który boi się ciemności! – szydził Kane. – Zdaje mi się, że popełniłem błąd, kiedy zaufałem ci na tyle, abyś...

– Nic mi nie jest, mówię ci! – upierał się Tapper. – Zająłem się swoją częścią zadania!

Kane uśmiechnął się.

– Och, doprawdy? Niech zobaczę.

– Masz złoto?

– Oczywiście. Powiedziałem przecież, że płacę dobrze za użyteczne informacje.

Kane wyciągnął ciężką sakiewkę zza paska. Zabrzęczała, kiedy podrzucił ją w szerokiej dłoni.

– W porządku. Znasz ryzyko, na jakie się narażam mruknął Tapper, siadając na krawędzi łóżka.

– Obaj się narażamy. Co masz dla mnie?

– Cóż, prawdą jest, że Esketra przyjmuje potajemnie Jarvo w swoich komnatach – zaczął Tapper.

– O czym wiedziałem wynajmując cię.

– Nie, tylko przypuszczałeś. Chciałeś, żebym dowiedział się, w jaki sposób Jarvo przechodzi ze swojego domu do pałacu, tak że nie widzi go żaden z twoich ludzi.

– No i...?

– Dowiedziałem się tego.

– Za tę informację zapłacę.

– Miałeś rację domyślając się, że musiało to być jakieś tajne przejście – powiedział Tapper. –

Reszty też się dobrze domyśliłeś.

– Esketra ma mapę!

– Esketra miała ją! – Tapper wyszczerzył się w uśmiechu.

Wyciągnął zza pazuchy złożony w czworo pergamin.

– Aż do dzisiejszego popołudnia. Kane rzucił mu sakiewkę.

– Dostaniesz więcej, jeśli okaże się, że to jest to, czego się spodziewałem.

– To jest to, czego szukałeś! – dumnie zapewnił go Tapper, podając poźółkłą kartkę. – Całą historię i mapę dostałem od jednej z jej pokojówek – która również będzie potrzebowała twojego złota. Nie mogąc widywać się Jarvo kiedy chciała, bez narażania się na kompromitację, Esketra dobrała się do tajnych papierów Owrinosa i okradła starą mapę ukrytych przejść w pałacu. Znalazła przejście ze swoich komnat, pod murami, aż do królewskich krypt w świątyni Thoema. Jarvo kazał wykopać tunel łączący jego dom z piwnicami budynku po przeciwnej stronie ulicy. Kiedy ma ochotę, wymyka się twoim obserwatorom i pędzi do świątyni – stamtąd do komnat Esketry przez starą sieć korytarzy, Esketra zatrzymała tę napę na wypadek, gdyby zgubiła się w labiryncie, a potem nigdy nie miała ochoty podejmować ryzyka, żeby ją odnieść. Pokojówka skradła ją.

Kane niecierpliwie rozwinął prastary pergamin. Dokument był dokładnie tym, czego oczekiwał – architektonicznym planem Pałacu Sandotneri z zaznaczonym szczegółowo systemem tajnych pokoi i ukrytych przejść w tej ogromnej kamiennej budowli. Każdy pałac ma swoje tajne korytarze, a ich budowniczy często ginęli z powodu owej wiedzy. Był to sekret ściśle strzeżony, przekazywany przez ojca następcy tronu. Czasami konstrukcja pałacu jest tak skomplikowana, że wymaga wykonania mapy, takiej jak ta, którą teraz uważnie studiował Kane.

– Doskonale! – pochwalił złodzieja, – Będziesz jednak musiał dopilnować aby ją odniesiono, zanim ktoś zauważy jej brak. Ja zrobię kopię.

– Zwrócenie jej będzie dodatkowym ryzykiem.

– Za które dostaniesz zapłatę. Poślij na dół po pióro i papier. Skopiuję ją natychmiast.

Kane czekał cierpliwie na przybory do pisania. Rzadko zdarzało mu się takie szczęście.

Owrinos był obecnym królem Sandotneri i ziem, do których miasto zgłaszało prawa własności. Jego zdrowie było jednak coraz słabsze, a brak męskiego potomka miał spowodować wkrótce oddanie tronu kuzynowi. O prawo sukcesji do tronu walczyły zacięcie dwie potężne gałęzie królewskiego rodu, których zwolennicy byli popularnie nazywani Czerwonymi i Niebieskimi. Kane, cudzoziemski najemnik, który doszedł do stopnia generała w kawalerii Sandotneri, gorąco popierał Czerwonych. Jarvo, który twierdził, że jest dalekim krewnym Owrinosa, był zdecydowanym zwolennikiem Niebieskich, których to odłam zyskiwał ostatnio prestiż. Był on również zażartym wrogiem Kane'a od czasu, gdy Owrinos w dowód uznania dla błyskotliwych posunięć cudzoziemca w ostatnich kampaniach mianował go generałem, pomijając Jarvo.

W przypadku tej intrygi, Kane mógł liczyć tylko na skompromitowanie Jarvo i Niebieskich przez ujawnienie związków młodszego oficera z Esketrą – zdemaskowanie ich jako próby uzyskania przez Niebieskich wpływów poprzez uwiedzenie córki Owrinosa. Ale największą nadzieją Kane'a, opartą na pewnych informacjach i starannych dedukcjach, było pozyskanie dokumentu takiego jak ten, który leżał przed nim na stole.

Kane skupił się na kopiowaniu poźółkłego pergaminu, podczas gdy Tapper niespokojnie krążył po pokoju i wpatrywał się w świecę. Wielkie palce Kane'a posługiwały się piórem i atramentem znacznie zręczniejszo, niż można by się spodziewać po najemniku. Oczywiście duszy Kane widział tajne

przejścia pełne jego ludzi, ukryte drzwi otwierające się nagle, by wypuścić zabójców...

Nagle walenie do drzwi przerwało jego marzenia o zamachu stanu. Klnąc, poderwał się jednym skokiem. Był tak skupiony, że nie zauważył ukradkowego zbliżania się ludzi na korytarzu za drzwiami ani złowieszczonego przycichnięcia hałasów tłumu na dole.

Drzwi zadrżały od następnego ciosu. Ludzie na zewnątrz nie zatroszczyli się o pozwolenie na wejście.

Kane uchylił nieco okno. W dole na ciemnej ulicy, mężczyźni z niebieskimi szarfami zawiązanymi na szyjach patrzyli w górę i wskazywali w jego kierunku.

Drzwi znowu zadrżały. Były to solidne drzwi, ale ludzie na zewnątrz używali tarana.

– Kane, co zrobimy?

– Siedź cicho! -- warknął Kane. – Poradzimy sobie blefując. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na mapę i niemal ukończoną kopię, wrzucił je do kominka i przyłożył świecę. Stary pergamin łatwo się spalił i Kane już rozgrzebywał popioły, gdy zamek ustąpił i drzwi z hukiem otworzyły się.

Uzbrojeni Niebiescy wpadli do pokoju i ujrzeli Kane'a stojącego z długim ostrzem w lewej dłoni.

– Słucham? – spytał Kane spokojnym tonem. Przepychając się między swymi ludźmi, pułkownik Jarvo wystąpił na środek pokoju. Na dziewczęco urodziwej twarzy oficera malował się triumfalny uśmiech. Piękny, błękitny płaszcz powiewał imponująco wokół jego posrebrzanej kolczugi. O głowę niższy od Kane'a, mierzącego ponad metr osiemdziesiąt, Jarvo miał szerokie bary i grube kończyny, ale krępa sylwetka kontrastowała z wdziękiem jego ruchów.

– Generale Kane, aresztuję cię pod zarzutem zdrady stanu i konspiracji. I tego człowieka także – dodał, wskazując na Tappera. – Oddaj miecz.

Na w pół wyciągnięta broń Tappera upadła na podłogę. Klinga Kane'a nawet nie drgnęła.

– Co to za gra, Jarvo? – warknął, stojąc plecami do ściany. – Jeśli chcesz mojego miecza, wiesz, jak go wziąć.

Jarvo rzucił mu jadowite spojrzenie, przypominając sobie za późno, że powinien był przyprowadzić łuczników.

– To bezcelowe, Kane. Przegrałeś. Trzydziestu moich ludzi otacza gospodę.

– Czy myślisz, że ja przyszedłem sam? – powiedział drwiąco Kane. – Moich pięćdziesięciu czeka na mój znak.

– Blefujesz, Kane – powiedział Jarvo z przekonaniem, którego nie czuł. Mimo wszystko Kane zaplanował swą eskapadę, podczas gdy przybycie Jarvo było pochopnym czynem zrodzonym z nieprzemyślanej decyzji. Brnął jednak dalej z pewnością siebie,

– Widziano jak twój człowiek rozmawiał poufnie z jedną ze służących Esketry. Czynił to ukradkiem; podejrzewano, że pokojówka skradła coś należącego do swej pani i przekazała mu to – ale kiedy zaczęliśmy ją przesłuchiwać, przyznała się do dziwnego rodzaju kradzieży. Twoją szczurzą norę zauważono już wcześniej i kiedy zawiadomiono mnie, że widziano jak wchodziłeś do gospody „Pod Czerwonymi Dachami”, nie marnowałem czasu i kazałem ją otoczyć.

Kane popatrzył na Tappera, udając zdumienie.

– Chcesz powiedzieć, że ten człowiek odbierał skradzione klejnoty? Cóż, przyznaję, że jego propozycja sprzedania mi pięknego wisiora ze szmaragdem za tak niską cenę wydawała mi się podejrzana. Jednak cena wymagała, abym przynajmniej obejrzał klejnoty...

– Kane, gra się skończyła – stwierdził zmęczonym głosem Jarvo.

– Oczywiście, gdybym rozpoznał, że biżuteria należy do Esketry...

– Kane, ta dziwka powiedziała nam wszystko, kiedy wyłamano jej stawy na torturach. – Jednak Jarvo wiedział, że chociaż sam kontakt był obciążający, pokojówka wiedziała tylko o udziale Tappera. Kane był dość potężny, aby wykręcać się bezczelnością i mogło mu się to udać. Co więcej, jego własne potajemne związki z Esketrą skompromitowałyby go, gdyby zostały ujawnione.

Jarvo wskazał na kominek i popiół, którym był ubrudzony but Kane'a.

– Widzę, że przedmiot kradzieży uleciał w mrok nocy, ale wciąż mamy złodzieja, który złoży zeznania.

– Oczywiście – zgodził się Kane. – A moi ludzie i ja dopilnujemy, żeby został bezpiecznie ulokowany w więzieniu i przesłuchany.

– Zajmę się tym – obiecał Jarvo.

Kane potrząsnął głową. – Z całą szczerością, pułkowniku Jarvo, z powodu twojej otwartej niechęci i powagi zarzutów mi stawianych, muszę domagać się, abym wraz ze swoimi ludźmi brał udział w pilnowaniu więźnia.

– Marnujemy czas, generale. – Jarvo chciałby zachować tak lodowaty spokój jak jego przeciwnik. Mimo nienawiści, jaką czuł do tego cudzoziemca, Jarvo widział w Kane'ie wiele cech, które sam chciałby posiadać. Kiedyś, w chwili spokoju pomyślał, że mógłby nawet polubić Kane'a, gdyby tak mu nie zazdrościł.

– Stój blisko przy mnie, Tapper – ostrzegł Kane. – obawiam się, że ci ludzie nie chcą pozwolić, abyś był uczciwie sądzony.

Wystraszony mężczyzna usłuchał; wiedział, że Kane może zabić go jednym pchnięciem miecza, ale był pewny, że i Niebiescy nie okażą mu litości.

Jarvo wahał się. Nie chciał stawiać wszystkiego na jedną kartę, poganiając Kane'a.

Podczas tej wymuszonej, sztywnej sceny zaskwierczała gasnąca świeca. Tapper z niepokojem patrzył na ostatnią smużkę białego dymu.

Jarvo przypomniał sobie dziwne doniesienia szpiegów.

– Tu jest strasznie jasno – zauważył. – Z pewnością możemy się obyć bez tylu świec.

Dał znak jednemu ze swoich ludzi, który ostrożnie za-brał się do gaszenia świec w pokoju – uważając na miecz Kane'a, bowiem wszyscy tutaj znali jego mistrzostwo w posługiwaniu się bronią.

– Kane... – szepnął Tapper drżącym głosem,

– Wszystko w porządku – zamruczał Kane. – Jestem tutaj.

– Kane, ty nie wiesz... – Tapper ucichł żałością. Szybkie spojrzenie Kane'a obiecywało natychmiastową śmierć przy pierwszym głupim posunięciu. Jarvo wyszczerzył się w uśmiechu.

– I te wszystkie lampy. Z pewnością trzy to za dużo na taki mały pokój.

Następny Niebieski zgasił dwie lampy oliwne, Została już tylko jedna, paląca się na parapecie okna obok Kane'a. Tapper kulił się obok niej, jęcząc cicho.

– Chodź porozmawiać ze mną, Tapper – prosił łagodnym tonem Jarvo. – Na korytarzu jest dość światła.

– Zostań tutaj! – ostrzegł Kane. Zdał sobie sprawę, że będzie musiał wkrótce zabić Tappera. Wahał się, aż do tej pory, bowiem nie chciał kończyć brutalnie swych starannie ułożonych planów, gdyby tylko mógł uratować sytuację.

Lampa zamigotała. Kończyła się w niej oliwa. Tapper widział poziom paliwa w naczyniu z dmuchanego szkła.

– Zaczekam na korytarzu – powiedział Jarvo. Tak czy inaczej, ten człowiek załamie się albo Kane pograży się zabijając go. – Wkrótce lampa zgaśnie, a wtedy będzie w tym pokoju bardzo

ciemno. Bardzo, bardzo ciemno. Aleja będą tam czekał w świetle.

– Zaczekaj! – Tapper odskoczył od Kane’a. – Posłuchaj, ja...

– Zabierz i tę lampę, Jarvo – powiedział Kane. Mieczem zahaczył o uchwyt lampy, która przeleciała przez niewielki pokój. Jarvo odwrócił się w drzwiach właśnie w chwili, gdy szklane naczynie rozbiło się o framugę. Lampa eksplodowała, chlustając płonąca oliwą na jedną stronę jego twarzy.

Wyjąc z bólu i potykając się. Jarvo wypadł z pokoju. Drapał twarz, gasząc wżerające się płomienie-fałdami płaszcza, a jego ludzie cofnęli się w zamieszaniu.

Pokój pograżył się w całkowitej ciemności. Tapper zaczął wrzeszczeć.

Okno otworzyło się z trzaskiem. Przez moment widać było wielką postać skaczącą w bezksiężycową noc, Drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

Chwyając się parapetu, by zmniejszyć siłę upadku, Kane zeskoczył na ulicę. Jak wielki kot, spadł na chodnik z błyskiem miecza. Dwóch ludzi Jarvo zginęło, zanim jeszcze wyraz zaskoczenia znikł z ich twarzy.

– Czerwoni! Do mnie! – ryknął Kane. – Chodź, Tapper! Skacz!

Przeklął go, powalając następnego Niebieskiego.

– Czerwoni! Do mnie!

Rozległ się tętent koni i pół tuzina jeźdźców wjechało w wąską ulicę. Pozostali Niebiescy rozbiegli się, szukając schronienia w gospodzie.

Kane chwycił za puste siodło i wskoczył na konia.

– Tapper! Do cholery, skacz wreszcie!

Niebiescy zawrócili, widząc że Czerwonych jest niewielu.

Kane zaklął.

– Cóż, schwytali go – tak już bywa w tej grze! Jedźmy! Jeszcze im się odplącimy!

A wewnątrz gospody „Pod Czerwonymi Dachami” ludzie Jarvo pomagali mu wstać. Ból twarzy powodował mdłości. Jednym okiem widział tylko czerwoną mgłę.

– Kane uciekł! – usłyszał. – Czekali na niego ludzie z końmi.

Jarvo zaklął nie tylko z powodu bólu.

– A ten drugi?

– Nikt inny nie wyskoczył przez okno.

– Więc jest wciąż tutaj – mamy go! – Jarvo roześmiał się niewesoło. – Nikt nie przebiegał obok nas. Przynieście tu światło!

Ktoś wniósł latarnię. Kopniakiem otworzyli drzwi i poświecili po cichym pokoju.

Ciało Tappera, bezwładne i ze skręconym karkiem. już padało na podłogę. Czarny jak sadza kształt, który ścisnął chudą szyję morderczymi rękoma, był najwyraźniej własnym cieniem Tappera, chociaż rozpląnął się w chwilę po tym, jak światło lampy oświetliło tę makabryczną scenę.

III

ZŁOTE RYBKI

Ogród pachniał żółtymi i rozgrzanyymi w zachodzącym słońcu różami, i słabym, kredowym zapachem gorących kamiennych płyt omywanych przez szepeczącą rosę chłodnej fontanny. Poniżej na tarasie, gdzie spływający kaskadą strumyk przelewał się z jednej porośniętej mchem polki skalnej na drugą, aby utworzyć wreszcie głęboką sadzawkę, cicho śmiała się Esketra. Srebrno-szare wierzby poruszały długimi, koronkowymi gałązkami na ciepłym, leniwym wietrze wieczoru, powtarzając echem śmiech stojącej w ich cieniu dziewczyny.

Coś błysnęło jaskrawo na srebrnej i czarnej powierzchni sadzawki; wyłupiastookie, niezgrabne złote rybki o weloniastych płetwach tańczyły i chwyciły okruchy, które spadały z długich, wdzięcznych palców dziewczyny.

Groteskowe stworzonka – pomyślał ponuro Jarvo \ pomimo swoich ekstrawaganckich płetw i skrzących się barw, piękne tylko z daleka. Niecierpliwie szurnał butami i chrząknął.

Esketra udawała, że zauważyła go dopiero teraz. Jej szare oczy rozszerzyły się, a szerokie wargi ułożyły się w promienny uśmiech powitania.

– Ach, pułkowniku... Nie, teraz już generale Jarvo! Jak to miło z twojej strony, że przyszedłeś mnie odwiedzić – po tak długiej nieobecności.

– Sądziłem, że należy zachować dyskrecje – odpowiedział trzeźwo Jarvo. Późne światło słońca przenikało przez koronkę wierzb, tak że plamki światła i cienia na zmianę maskowały i podkreślały białą twarz, sięgające do pasa pukle błyszczących, czarnych włosów i gibka, smukłą figurę w kaftanie z szarej, cieniutkiej tkaniny Jarvo zapomniał natychmiast, jak nadaremno prosu przez tydzień o spotkanie.

– Tak – przeciągając sylaby Esketra wyraziła zgodę. – Dyskrecja. I cóż...?

Jarvo wszedł w cień pod wierzbami.

– Czy możemy tu porozmawiać?

– Tu podsłuchiwać mogą tylko moje złotej rybki -roześmiała się Esketra, patrząc na cętkowany od słońca ogród.

Stojąc obok niej, Jarvo powiedział cichym głosem

– Wydaje mi się, że dość dobrze zamaskowałem naszą małą intrygę. Wiadomo tylko, że pokojówka skradła mapę, żeby przekazać ją człowiekowi Kane'a. Oboje nie żyją, a Kane uciekł nie wiadomo dokąd. Tunel został starannie zablokowany i nie ma już nikogo, kto mógłby skojarzyć nasze imiona z tą zdradziecką aferą.

– Spisałeś się po mistrzowsku, mój generale – pochwaliła go Esketra, uważnie przyglądając się bandażom zakrywającym lewą połowę jego twarzy. Opuściła spojrzenie. – Być może powinniśmy zaprzestać tych spotkań na jakiś czas – dopóki nowy skandal nie zawładnie umysłami dworskich plotkarzy.

– Trudno będzie tak długo czekać – szepnął Jarvo, usiłując przycisnąć ją do siebie.

– Wytrzymasz, jeśli mnie kochasz! – upierała się Esketra, wysuwając się z jego objęć. – Cóż to? Chciałbyś, żeby moje imię było na ustach wszystkich, jak jakiejś koszarowej dziwki?

Jarvo poruszył się niezdarne.

– Nie, skądże znowu. Uczynię, jak mówisz. Musimy być ostrożni.

– Będiesz teraz zajęty – powiedziała Esketra – swoimi nowymi obowiązkami dowódcy. Kane jest wciąż na wolności.

Prawa strona twarzy Jarvo uśmiechnęła się posępnie.

– Uciekł wraz z tymi ze swoich ludzi, którzy byli mu wierni. Uciekł poza nasze granice. Z tego co wiem, Kane powrócił do któregoś z tych dziwnych krajów, skąd przybył. Jego zdrada i hańba załamały Czerwonych. Ci, którzy nie zadeklarowali swojej nagłej sympatii do Niebieskich, uznali za stosowne wycofać się dyskretnie z dworu. Czerwoni są skompromitowani. Nawet gdyby Kane ośmielił się powrócić, ich nadszarpnięte) reputacji nie da się naprawić,

– Jaki to był dziwny człowiek! – Esketra wzdygnęła się. – Czy ktoś kiedykolwiek dowiedział się czegoś pewnego o jego przeszłości?

– Nie – powiedział Jarvo. co nie było pełną prawdą.

– Ale Kane może powrócić – upierała się Esketra.

– Jego ambicje były oczywiste. Człowiek o jego inteligencji i zdolnościach mógłby...

Jarvo uniósł nieco barki i wyprostował się. Dzięki wysokim obcasom swoich kawaleryjskich butów sięgał Esketrze do czoła.

– Kane jest skończony – warknął ostro. – Jeśli jest dość głupi, żeby wrócić do Sandotneri, skończę z tym olbrzymim bydlakiem i jego chytrymi planami!

Esketra zaśmiała się cicho i przysunęła okruch blisko do powierzchni sadzawki. Rybka o złotym łebku wyskoczyła ponad powierzchnię, chwyciła kasek z jej długich palców i spadła z pluskiem na swoje powolniejsze towarzyski.

Jarvo zaczerwienił się. W głębi serca wiedział, że pochopna ucieczka była błędem jego rywala, że gdyby Kane wiedział o śmierci Tappera. mógłby bezczelnie wykręcić się od wszystkiego. W najlepszym razie niespokojna patowa sytuacja trwałaby nadal, jednakże bardziej prawdopodobne było, że wybuchłaby otwarta wojna między wrogimi odłamami. Jarvo obawiał się Kane'a i nienawidził go. Obecne zwycięstwo miało gorzki smak fałszu, było bowiem niespodziewanym uśmiechem losu dzięki błędowi Kane'a, a nie zasłudze Jarvo. Zastanawiał się czy Esketra tego nie wyczuła, nie przejrzała jego samochwalstwa i czy nie kpi sobie z niego,

– Więc mój generał obroni mnie przed Kane'em uśmiechnęła się Esketra, mówiąc to tonem, który nie był ani sarkastyczny, ani pełen podziwu Rozdrażniona, rozsypała ostatnią garść okruchów. – A co powiesz o tych złowieszczych pogłoskach, które dochodzą z Shapeli? Czy to prawda, że jakiś szaleniec zgromadził armie, składającą się z połowy chłopstwa, a drugą połowę wymordował?

– Tak głoszą plotki – Jarvo wzruszył ramionami -

A uciekinierzy, którzy podnoszą wrzawę na naszych granicach, przysięgają, że te pogłoski są prawdziwe.

Bolała go twarz i miał spocone dłonie. Wylał je w spodnie i przysunął się bliżej do dziewczyny. Z wyjątkiem szmeru fontanny i szelestu wierzby, w ogrodzie panowała cisza. W oddali, pod wysokim murem ogrodu, robotnicy wykopywali chore drzewo. Odgłosy stukania ich łopat o korzenie nie dochodziły do sadzawki.

– Bez wątplenia wyjedziesz na jakiś czas nad naszą północną granicę – mówiła Esketra. – Aby osobiście ocenić niebezpieczeństwo grożące od strony Shapeli. Kane tak by postąpił.

Jarvo poczuł gorzki smak w ustach. – Chłopskie wojsko Orteda nie stanowi zagrożenia dla Sandotneri – burknął. – Banda kiepsko uzbrojonych kmotków nie może stawić czoła szarzy ciężkiej kawalerii.

– Czyżbym nie słyszała czegoś na temat armii najemników, którą Satakijczycy wycięli w pień?

– Cumdeller był durniem! Myślał, że zdoła rzucić wyzwanie Ortedowi na jego własnym terenie – w lesie. gdzie wąż nie prześliznie się między dwoma drzewami bez wciągnięcia brzucha. Do Sandotneri są cztery dni marszu przez otwartą sawannę – cztery dni dla wyszkolonej piechoty. Dla Satakijczyków nie będzie już powrotu.

– Ale wszyscy oczekują po nowym generale, że osobiście oceni sytuację – upierała się Esketra.

Jarvo stał w milczeniu. Wietrzyk poruszał fałdami jego pięknego, błękitnego płaszcza i chłodził posrebrzaną kolczugę. Niósł zapach perfum Esketry zmieszany z wonią róż, a jego dłonie, choć przyciśnięte do nogawek obcisłych spodni, wciąż się pociły. Esketra pozostawała na odległość wyciągniętego ramienia. Jarvo patrzył na jej przepiękny profil.

– Czy ciężko zostałeś oparzony przez Kane'a? – spytała, zerkając z ukosa na jego obandażowaną twarz.

Zaschło mu w ustach.

– Chirurdzy przyłożyli maści i kompresy, żeby zmniejszyć blizny– Mówią, że moje lewe oko nigdy nie odróżni już dnia od nocy.

– Jesteś oślepiony – szepnęła Esketra i zadrżała. – Okaleczony dlatego, że chciałeś zapobiec mojej hańbie. Mam wobec ciebie wielki dług wdzięczności.

Wyciągnęła swe długie palce nad powierzchnią wody. Ciało o tęczowych łuskach wyskoczyło z sadzawki i skubnęło jej palce. Nic nie znalazłszy, błyszcząca rybka wpadła ponownie do sadzawki, Inne złote rybki, sądząc, że dostała jakiś kąsek, rzuciły się na nią.

Esketra śmiała się wraz z wierzbami i fontanną. Podsunęła Jarvo palce do pocałowania.

– Odwiedź mnie koniecznie – uśmiechnęła się. -Kiedy wrócisz z inspekcji północnej granicy.

IV

CIENIE, KTÓRE ZABIJAJĄ

Z głębin w puszczy wypełzła groza. Pochód jej macek był równie nieubłagany i miazdzący jak niezliczone masywne korzenie mrocznego lasu, które wijąc się kruszyły przykryte ziemią skały.

Tą grozą była potęga. Niepowstrzymana potęga niezliczonych rąk wzniesionych, by niszczyć; potęga kierowana przez jeden złowrogi umysł, który rozkazywał swym niezliczonym poddanym rabować i zabijać.

Wyłaniając się nocą z lasu, Satakijczycy otoczyli mury miejskie. Już od wielu godzin Erill słyszała ich śpiew. Ze swojego punktu obserwacyjnego na płaskim dachu widziała ich pochodnie migoczące pod masywnymi drzewami – były liczniejsze niż gwiazdy na bezchmurnym niebie. Otaczały Gillera tak pewnie, jak usiana gwiazdami noc otaczała las.

Erill czuła zapach sadzy z ich pochodni i pomyślała, że wkrótce bezchmurne niebo zostanie przesłonięte dymem płonącego Gillera. Dziewczyna z goryczą przeklinała burmistrza i radę miejską za ich głupie przekonanie, iż mury miasta wytrzymają takie oblężenie. Potem przeklinała złośliwy los, który sprawił, że jej jarmarczna trupa stanęła na drodze nacierających Satakijczyków i została uwięziona tutaj, w Gillera. Po chwili zastanowienia, przeklęła również swoje parszywe przeznaczenie, dzięki któremu została mimem w nędznej trupie wędrownych aktorów.

Wiele widziała i wiele przeżyła jak na dziewczynę, która nie miała jeszcze dwudziestu lat; wydawało jej się natomiast wątpliwe, czy pożyje jeszcze długo.

Życie Erill było twarde; ciężkie doświadczenia zahartowały ją, nauczyły pomysłowości i elastyczności, która podpowiadała, kiedy korzyć się, a kiedy wbić nóż. Ten brak skrupułów przydał jej się w ciągu tych dziesięciu lat. od czasu gdy zapomniani już rodzice sprzedali ją do burdelu w Ingoldi.

Stary Wurdis, który rządził pstrą trupą akrobatów, magików, mimów i jarmarcznych handlarzy, znalazł ją ukrytą w jednym z wozów, kiedy opuszczali Ingoldi i jego niegościnnych urzędników. Nie mając powodów, by kochać to miasto, czy jego władze, Wurdis pozwolił jej zostać. Nigdy nie przestawał przypominać dziewczynie, że każdy członek grupy musi wykonywać swoje zadania, zarabiać na swoje utrzymanie i brać na siebie część ciężaru odpowiedzialności. Mając wiecznie w uszach jego dokuczliwe kazania, Erill nauczyła się zachowywać inaczej na co dzień, a inaczej w jego obecności i w grupie aktorskiej. Pewnej nocy podłożono żmiję do buta Wurdisa i ktoś inny objął dowództwo trupy, a Erill radziła sobie już sama.

Była chuda; miała prężne mięśnie i zwinność akrobatki. a jej figura osiągnęła już ostateczną pełnię kształtów. Miała też mocno zarysowaną szczękę, kwadratowy podbródek, pełne wargi i prosty nos oraz takiego rodzaju ruchliwe rysy twarzy, które zachowują wyrazistość pod namalowaną maską. Jej gęste blond włosy były mocno kędzierzawe, a oczy w odcieniu zieleni tym samym, co opaska z jadeitowych paciorków, którą zawsze nosiła na włosach.

Z jadeitu była również zrobiona fajeczka, z której pociągnęła ostatni, szczypiący haust dymu opiumowanego haszyszu. Erill wydmuchnęła kółko dymu w stronę falujących świateł pochodni za murem, kaszlnęła cicho, i ponuro przyjrzała się oleistej grudce popiołu w poplamionej miseczce. Był to tylko popiół i rozsypał się już wokół niedopałka trzciniowego patyczka. Erill znowu zaklęła. To był

jej ostatni.

– Radziłabym ci zachować przytomność umysłu tej nocy – zwróciła jej uwagę Boree, siadając obok przy murze. – Jeśli Satakijczycy przedostaną się przez mury obronne, jest szansa na ucieczkę w czasie walk ulicznych.

– A jaka to, do cholery, różnica, Boree? – Erill popatrzyła spode łba na wrózkę o dziobatej twarzy, z którą mieszkała w jednym wozie. – Nie ma schronienia w Gillera. Jesteśmy tu uwięzione, Satakijczycy przejdą przez te antyczne mury jednym natarciem – i wymordują nas wszystkich dlatego, że ci głupcy ośmielili się mi sprzeciwić.

Boree wzruszyła ramionami

– Póki jest życie, poty są szanse.

– Też mi szanse!

Boree wyciągnęła płaskie, hebanowe pudełeczko z sakiewki u paska. Otworzyła wieczko i wysypała na dłoń komplet czarnych kwadracików z laki.

– Zobaczmy, jakie masz szanse – zapraszającym gestem wyciągnęła talię w stronę Erill.

Erill uczyniła gest, jakby chciała wziąć karty, a potem machnęła ręką, odsuwając je.

– Do diabła, skorzystam z szansy, kiedy ją znajdę.

– Albo kiedy ona znajdzie ciebie – mruknęła posępnie Boree.

– Idź prześladować kogoś innego dzisiejszej nocy, dobrze? – odwarknęła Erill. – Cokolwiek się stanie, chcę być tak nabuzowana, żebym nic nie czuła, kiedy mnie trafią.

– Weź tylko karty – upierała się Boree.

Choćby tylko po to, żeby się jej pozbyć. Erill wzięła talię dwudziestu siedmiu czarnych kart. przetasowała sprawnie, wybrała trzy i położyła je obrazkami na do) na murze.

Boree odwróciła je zakończonymi długimi paznokciami palcami. Erill próbowała zajrzeć jej przez ramię, ale splatane, czarne włosy starszej kobiety zasłaniały widok. W milczeniu Boree schowała karty do hebanowej szkatułki

– I co?

– Naćpałaś się za dużo haszyszu, żeby zrobić to jak należy – odpowiedziała szorstko ciemnowłosa kobieta.

Nie patrząc Erill w oczy, szybko odwróciła się i zeszła z dachu.

Erill zaklęła i objęła ramionami kolana. Miała na sobie tylko ciemne bolerko i rozciętą bawełnianą spódnicę sięgającą do pół łydki. Nagle poczuła się zziębnięta i samotna. Najprawdopodobniej była to ostatnia noc jej życia.

Przeklęta Boree! Erill zawędrowała tu w poszukiwaniu samotności i zapomnienia, jakie daje haszysz. Posępna obecność Boree przywróciła nocy ponurą realność.

– Nie chcę umierać – szepnęła Erill w noc.

– Oczywiście – odpowiedziała noc.

Erill westchnęła i odwróciła się gwałtownie. Haszysz... oczywiście.

– Nie ma potrzeby, abys ginęła – zapewniła ją noc. Erill zacisnęła wargi i poszukała sztyletu o trójkątnym ostrzu, który nosiła za paskiem.

Część ciemności oddzieliła się od reszty i wynurzyła się postać w czarnych szatach. Jej twarz ukryta była w mroku kaptura. Erill widywała kapłanów Sataki w czasach dzieciństwa spędzonego w Ingoldi. Wiedziała, że spogląda teraz na jednego z nich.

– Zginą tylko ci, którzy sprzeciwiają się Sataki – szepnęła postać w kapturze. – To władcy Gillera opierają się potędze Sataki, a nie jego lud. Jaka szkoda, że masy muszą cierpieć za grzechy swoich władców.

Erill przyglądała się mrocznej postaci, wciąż niepewna, czy to rzeczywistość, czy jakieś piekielne przywidzenie zrodzone przez opiumowany haszysz.

– Wybór należy do ciebie – szepnął kapłan zbliżając się, podczas gdy dziewczyna przyciskała coraz mocniej plecy do muru.

– Sataki albo śmierć! Wybieraj teraz, dziewczyno!

Erill zacisnęła dłoń na rękojeści sztyletu i zamarła. Teraz bowiem księżyc świecił dość jasno i zobaczyła, że w głębi czarnego kaptura nie było nic prócz cienia.

– Wybieraj!

– Sataki! – wyszeptała bez tchu Erill, gdy istota z cienia zamajaczyła tuż przed nią.

– Mądrze wybrałaś, dziewczyno. Ale pamiętaj, że nie ma odwrotu.

Erill tępo pokiwała głową.

– Weź to. – Wypełniony cieniem rękaw uniósł się. Coś chłodnego i gładkiego spadło na jej dłoń.

Był to czarny jak noc kamienny krążek. Jak przez mgłę Erill przypomniawszy sobie, że jest to replika jednego ze złotych medalionów noszonych przez kapłanów Sataki. Poczowała mrowienie od jego niezemskiego dotyku.

– Nikt nie zwróci na ciebie uwagi – ciągnął szep. – W ten sposób przysłużysz się Sataki.

Cień szeptał dalsze polecenia, czynił drwiące obietnice i sugestie, które paliły świadomość Erill, tak jak kwas pali nagie ciało.

Erill krzyknęła, jakby budząc się z koszmaru. Z suchym śmiechem czarna szata zapadła się, zsunęła z pustym szelestem na dach, rozplywając się w powietrzu. Kiedy dziewczyna popatrzyła z przerażeniem pod nogi, na ceramicznych płytkach dachu nie było ani tkaniny, ani ciała.

Koszmar wywołany haszyszem?

W zaciśniętej dłoni trzymała zimny, złowieszczy krążek czarnego kamienia.

Erill słyszała słaby głos dochodzący z głębi jej duszy. krzyczący do niej, by wyrzuciła ten zły medalion w mrok nocy. Jednak cień dał jej pewne polecenia i musiała być posłuszna. Jak we śnie, Erill odwróciła się od występu w murze obronnym i zeszła w zatłoczone przestraszonymi ludźmi ulice.

Próbowano narzucić godzinę policyjną, ale tłumy uciekinierów, na próżno szukających schronienia w Gillera, tak przepełniły miasto, że zaprzestano wysiłków. W gospodach, hotelach i zajazdach nie było ani odrobiny wolnej przestrzeni. Kiedy nieużywane budowle i puste lepianki zapełniły się tak, że groziło im zawalenie, uciekinierzy wylali się na ulice i place, zamieszkując prowizoryczne chaty, namioty, wozy i wszystko, co się dało. Inni zajmowali zaułki i bramy. Nie mieli niczego do okrycia, z wyjątkiem swych obszarpanych ubrań. Ojcowie miasta myśleli z początku, że wpuszczając wszystkich, którzy szukali schronienia za murami Gillera, zwiększają szeregi obrońców miasta. Kiedy wreszcie zamknęli bramy przed wszystkimi z zewnątrz, napływ uciekinierów okazał się zbyt wielki, by miasto mogło im zapewnić jedzenie, wodę i sanitariaty. Wysokie mury miasta mogły wytrzymać atak Satakijczyków, ale Gillera nie zdołała wytrzymać dłuższego oblężenia.

Przerażenie ścisnęło Gillera tyśiącem zimnych macek. Miasto było skazane na zagładę. Wszyscy jego mieszkańcy rozumieli, że było to nieuniknione. Nieznana pozostała tylko godzina jej nadejścia. Satakijczycy byli bezlitośni. Żadna armia, żadne miasto nie mogło im się oprzeć. Po-została tylko kapitulacja albo unicestwienie. Gillera zdecydowało się walczyć przeciw Mrocznej Krucjacie.

Śpiew Satakijczyków niósł się przez oblężone mury z pogrążonego w mroku nocy lasu na pełne strachu ulice. Sto tysięcy ludzi w mieście słuchało głosu zguby wiedząc, że za godzinę albo za dzień lub dwa, zagłada ich dosięgnie.

Tępe twarze przyglądały się mijającej je Erill bez zainteresowania. Karczmarze wyszli ze swym

towarem na ulice, póki nie wyczerpały się ich zapasy piwa i wina. Mężczyźni i kobiety zataczali się lub leżeli na ulicach, nie zwracając na nic uwagi w ostatecznym, rozpustnym otępieniu.

Domy stały pozamykane i zabarykadowane, i tylko przerażone oczy wyglądały zza zatrzaśniętych okiennic. Szlochające tłumy oblegały świątynie, błagając Thoerna albo Vaula, żeby obronił ich przed potwornymi hordami dużo starszego boga, W ukrytych zakątkach tajnych świątyń z niespokojnym pośpiechem odprawiano jakieś straszliwe, mistyczne rytuały.

Co jakiś czas ktoś wołał do Erill, proponując jej kubek alkoholu albo swoje objęcia, błagał o jedzenie lub jałmużnę, wzywał, by przyłączyła się do modłów albo wzięła udział w ofercie składanej w tej ostatniej godzinie. Erill mijała ludzi i zdawało się, że nie słyszała ich głosów ani nie widziała wykrzywionych strachem twarzy. Cień przemówił do niej i wszystko inne stało się niczym więcej jak snem i echem snu.

Noc była bezchmurna, a gwiazdy jasne i chłodne. Jednak Erill wydawało się, że widzi legion cieni maszerujący po niebiosach, wijący się na tle upiornego księżyca. Spływając zwojami z otchłani nocy, cienie tańczyły i wyslizgiwały się zza gwiazd, skradały się za nią piekielną sforą, kiedy szła krętymi ulicami i zaułkami Gillera.

Ciche szuranie własnych sandałów dochodziło do jej uszu stłumione i z oddali. Reszta miasta zdawała się spowita w czarną pajęczynę, tłumiącą nawet bicie serca. Jej skóra była blada od nocnego chłodu, lecz jedyne, co Erill czuła to zimny, zły dotyk dysku, który palił jej zaciśniętą dłoń.

Brama miejska raziła jej oczy oślepiająco jasnym światłem. Erill zawahała się przez moment, a potem ruszyła.

Będąca pamiątką wojen z dawnych wieków brama Gillera składa się z potężnych wrót odlanych ze spiżu i silnie strzeżonych przez dwa identyczne barbakan). Na umocnieniach stali strażnicy o ponurych twarzach, którzy wiedzieli, że atak musi nadejść z tej strony, chyba że Satakijczycy przygotowani byli na poniesienie straszliwych strat w czasie szturmowania murów. Ludzie z drabinami oblężniczymi mogliby przedostać się ewentualnie w jednym miejscu przez mur, natomiast jeźdźcy musieliby przebyć zewnętrzne przeszkody w postaci suchej fosy i najeżonego palisadą wału ziemnego pod morderczym ostrzałem łuczników ukrytych za przedmurzem.

Obrońcy w napięciu spoglądali w noc, obserwując rosnące morze migoczących pochodni. Za brania krążyli żołnierze i uzbrojeni obywatele miasta, rozmawiając ściszymi głosami, zajmując się różnymi zadaniami lub usiłując przespać się choć chwilę. Niewielu zwróciło uwagę na dziewczynę o twarzy bladej jak popiół, która przeciskała się pomiędzy potrącającymi ją ciałami – sądząc po jej zastygłej twarzy, szukała kochanka lub krewnego wśród zgromadzonych obrońców. Wiele było takich kobiet, które pragnęły pożegnać się z nimi łzami tej nocy.

Misja Erill była jednak inna.

Przed bramą z brązu Erill zatrzymała się. Chłód zakradł się do jej piersi i serce zdawało się już nie bić. Nienawistny blask ognisk i kaganków ranił jej oczy. Kilka głów zwróciło się z ciekawością w stronę jasnowłosej dziewczyny, która zatrzymała się przed oblężonymi wrotami.

Poruszając się jak we śnie, Erill rzuciła onyksowy dysk w masywne drzwi ze spiżu i wykrzyczała frazy, jakie szepnął jej cień.

Przecucie zguby w ostatniej chwili... Krzyki tych, którzy będąc najbliżej dziewczyny, odwrócili się, by ją pochwycić i uciszyć...

A potem ciemność zgasła ogniska i pochodnie, a z gwiazd spelzła sfora cieni, by zabijać i zabijać.

Erill wrzasnęła i odskoczyła, zasłaniając twarz ramionami. To potworne kiedy zobaczy się, jak człowiek wije się w duszących uściskach swojego własnego cienia i widok ten nie staje się mniej

ohydny, kiedy powtarza się setki razy.

Ciemność, z której dobiegały zduszone krzyki wypełniała obszar wokół wrót, podobna do olbrzymiego i potwornego pająka. Erill usłyszała swój własny wrzask i poczuła, jak hipnotyczne zakłęcie cienia opuszcza jej duszę. Przypominało to obudzenie się / koszmaru w rzeczywistość, która nie dawała schronienia przed narastającą grozą.

Przez zmrużone oczy zobaczyła, jak horda cieni – groteskowych czerni głębszych niż noc – odrzuca na bok zabitych i płynie strumieniem do spiżowej bramy.

Znak Sataki rozrośnięty do kolosalnych rozmiarów, pokrywał wrota z brązu w miejscu, gdzie rzuciła go ręka Erill.

Ręce cieni pociągnęły za żelazne zasuwę, a ich widmowe ciała pchnęły masywne skrzydła wrót. Z powolnym majestatem walącego się drzewa, spiżowe bramy Gillera otworzyły się ociężale.

Wyczerpana, półprzytomna Erill osunęła się między powykręcane ciała zabitych, podczas gdy sfera cieni wypłynęła przez ziejące wrota w mrok. Erill słabo zdawała sobie sprawę z dzikiego ryku, brzmiącego niczym dwa potworne wichry. Jednym były paniczne krzyki tych, którzy byli wewnątrz Gillera i nagle zdali sobie sprawę z tego, że ktoś z miasta otworzył bramy ich wrogom. Tym drugim były krwiożercze wycia Satakijczyków wpadających przez niestrzeżone bramy.

REKINY

Ołowiane wody Morza Wewnętrznego waliły kapryśnie o twarde jak żelazo skały przylądka osłaniającego mały port w Zatoce Berna. Był odpływ i kwaśno-słodki zapach wodorostów, morskiej wody i ryb unosił się w podmuchach wiatru. Uparcie mieszał się z zatęchłym i kwaśnym zaduchem obozu uchodźców, rozrzuconego po plaży jak odpadki wyrzucone przez jakiś ponury przyptyw.

Kilka miesięcy temu Zatoka Berna dawała schronienie kilku setkom rybaków i ich rodzinom. Dzisiaj niezliczeni uciekinierzy zajęli małą wioskę i skalistą plażę za nią. Namioty, chaty i szałaszy z chrustu dawały chłód tym, którzy mogli pozwolić sobie na takie luksusy, pozostali kulili się w skąpym cieniu ukształtowanego przez burze przylądka. Równikowe słońce zmieniało plażę w migoczące przestrzenie rozżarzonych do białości płomieni, wywołując miazmaty potu, odchodów, odpadków i strachu. Dur brzuszny już zgarniał więcej ofiar niż upał czy głód. a już szeptano ze strachem o cholery.

Kiedy Sandotneri zamknęło swe granice przed rosnącą stale falą uciekinierów z terenów podbitych przez Proroka, wszyscy, którzy usiłowali ujść przed Mroczną Krucjatą, stłoczyli się w rzadko rozsianych miasteczkach i rybackich osadach na zachodnim wybrzeżu Morza Wewnętrznego. Ci, których było na to stać kupowali miejsca na jakimkolwiek mogącym zabrać ich na pokład statku.

Okrętów było niewiele, a koszt rejsu szybko osiągnął niebotyczną sumę. Większość ludzi czekała na plaży, aż przyplynie więcej statków do portu, knuła intrygi lub żebrała, żeby dostać się na pokład, zносиła upał i nędzę, byle tylko mieć nadzieję na ucieczkę.

Za cenę jakiej żądano za wynajęcie na jedną noc posłania z trzciny, można było kilka miesięcy temu kupić dowolny dom w Zatoce Berna. Jedzenie i napoje kupowano za każdą sumę, jakiej zażądał handlarz. Rybacy, którzy posiadali jakiś statek większy od łódki, byli w kłopotcie nie wiedząc, czy zgarniać pewne bogactwo, jakie przynosiła sprzedaż połowów, czy może zaryzykować narażenie się na nagłe burze morskie za złoto tych, którzy błagali, by przewieźć ich na odległy brzeg.

Pomiędzy osadą a obozem uchodźców, wśród pośpiesznie wzniesionych pawilonów i zadaszeń zgromadzili się nadzwyczaj licznie kupcy i oportuniści wszelkiego rodzaju, zbierający się zawsze tam, gdzie wojenne nieszczęścia oznaczają szybki zarobek. Na północy, za morzem i sawanną, puszcze Shapeli leżały już w cieniu Sataki. Fakt, że ten straszny cień może wkrótce pochłonąć także plażę, w żaden sposób nie poskramiał apetytów tych sępów.

W cieniu markizy z żaglowego płótna kapitan Steiern wytarł jedwabnym szalikiem pot z okrągłej twarzy i wypił łyk wina ze złotego dzbanka. Odstawił naczynie na ciężki, drewniany stół obok, wyciągnął się na swoim krześle i uśmiechnął do pełnych niepokoju ludzi tłoczących się poza zasięgiem cienia.

– Kto następny? – spytał leniwie. Dębowe krzesło zaskrzypiało pod jego masywnym ciałem. Złote monety odliczane przez bosmana zadźwięczały czysto, kiedy wrzucił ostatnią z nich do kasetki na stole,

Karawela kapitana Steierna „Kormoran” stała na kotwicy w dole, przy cyplu i kusila tych, którzy znajdowali się na rozpalonej plaży. Jej ożaglowanie było starannie zwinięte i z odległości nikt nie mógł dostrzec byle jak połatanych żagli ani pękniętego masztu, „Kormoran” wpłynął do portu dziś

rano i pomimo wygórowanych żądań kapitana jego pokłady wkrótce będą zatłoczone pasażerami.

– Szybciej, zgłaszajcie się! – zawołał Steiern. – Zostało jeszcze tylko kilka miejsc, a potem już nikogo nie biorę. Kto następny? Pokażcie mi tylko dziesięć marek w złocie albo jakikolwiek ekwiwalent. Dziesięć marek, moi przyjaciele, za bezpieczny rejs do odległego Krussinu. Dziesięć marek za wasze życie i wolność.

– Za dziesięć marek można by kupić tę twoją dziurawą łajbę – szydził niezadowolony obserwator.

Kilka barczystych pomocników Steierna popatrzyło wrogo, ale kapitan tylko popijał wino.

– Cóż więc, mój niedoszły właścicielu statku – powiedział spokojnym tonem – zachowaj swoje złoto na zakup następnej dziurawej łajby, jaka wpłynie do tego portu. Być może jakiś statek przyplynie, zanim Satakijczycy powieszą was wszystkich jak bieliznę na sznurze. Chodźcie, moi przyjaciele, dziesięć marek za bezpieczny przejazd do Krussinu, z dala od armii Proroka.

– Akurat, do Krussinu! – burknął ktoś inny. Zwrócił się do czerwonego jak burak stojącego obok człowieka. – Chodźmy stąd. Ta balia ledwo trzyma się na kotwicy, a co dopiero mówić o przepłynięciu Morza Wewnętrznego w lecie.

– A jaki mamy wybór? – zapytał jego towarzysz, idąc za wyższym mężczyzną przez tłum. – Albo zaraza, albo głód, albo Satakijczycy – zgnijemy tutaj, jeśli nie wydostaniemy się jakoś. Oby Thoen przeklął Sandotneri za to, że zamknęło granice przed nami! Południowe królestwa pożałują, że odpędziły te tysiące ludzi, kiedy Prorok wypalił sobie drogę przez ich ziemie!

– Ten szaleniec i jego hałastra nie ośmieli się wykroczyć poza granice Shapeli – burknął trzeci, odwracając się z odrazą, podobnie jak pozostali. Jego obszarpane odzienie wskazywało, że był kiedyś oficerem straży miejskiej w jednym z wielu miast, jakie wpadły w ręce Satakijczyków.

Wszyscy trzej – dwaj pozostali najwyraźniej byli kupcami, którzy uszli niemal z niczym oprócz swego życia – zatrzymali się i spojrzeli wrogo na szczęśliwego uchodźcę, który przepychał się przez tłum, by wysypać stertę złotych monet na stół kapitana. Steiern zagarnął je chciwymi palcami. W ciszy między uderzeniami fal słychać było brzęczenie much.

– Twierdzisz, że Orted nie ośmieli się wykroczyć poza granice Shapeli? – spytał jakiś nowy głos z tyłu.

Trójka odwróciła się i popatrzyła ponuro na przybysza. Prowadził on czarnego ogiera, który musiał mieć powyżej półtora metra w kłębie. Człowiek z takim wierzchowcem może posiadać dziesięć marek na opłacenie rejsu, więc spojrzeli na niego chytrze i nieco przychylniej.

– Nie, Orted tego nie uczyni – odburknął były strażnik.

– Jest szalony jak cmentarna hiena, ale to zbyt rozsądny wódz, żeby ryzykować wysłanie swej chłopskiej armii przeciwko kawalerii południowych królestw. Będzie musiał zadowolić się umocnieniem swojej władzy w Shapeli.

– Więc dlaczego ludzie płacą dziesięć marek, żeby kapitan Steiern zabrał ich na pokład? – zapytał sardonicznie przybysz.

– Bo pozostanie w Shapeli oznacza śmierć – chyba że przyłączysz się do Satakijczyków – mruknął wysoki kupiec ze świętą cierpliwością kogoś, kto wyjaśnia rzecz oczywistą.

– A jest pewne, że Satakijczycy zagarną zatokę Berna – jęknął drugi, odgarniając zlepione siwe włosy z czerwonej twarzy.

– Orted zmiążdży miasta na pograniczu choćby po to, by ukarać tych, którzy uciekli przed jego Mroczną Krucjatą. Prorok jest szalony – albo opętany!

– To prawda – zgodził się jego towarzysz. – To coś więcej niż żądza władzy czy chciwość. Orted jest całkowicie obłąkany. Nie zadowoli się Shapeli. Będzie chciał rozciągnąć swoją władzę

na królestwa południowe. Mrocznej Krucjaty nie będzie można powstrzymać.

– Jeźdźcy zakuci w stal i marsz w gorącym słońcu powstrzymają ich! – parsknął drwiąco strażnik. – Jeśli Orted wyprowadzi swój motłoch na równinę, kawaleria Sandotneri rozsiecze Satakijczyków i rzuci sępom na żer.

– Dużo to nam pomoże – marudził niższy kupiec. – Wtedy już wszyscy będziemy martwa – osaczeni między Sandotneri i Shapeli. Bo jest rzeczą pewną, że Prorok najedzie królestwa południowe.

– I to także pewne, że spotka go powitanie, jakiego nigdy nie zapomni – twierdził strażnik. – Nie można stawić czoła szarzy kawalerii, jeśli dysponuje się chłopską hałastrą – a to wszystko, czym jest niezwyciężona armia Orteda.

– Przyjacielu, wyglądasz na człowieka nie pozbawionego możliwości finansowych – usiłował się przypochlebić wyższy kupiec, drapiąc swą chudą szczękę. – Być może mógłbyś pomóc nam kupić miejsce na statku kapitana Steierna. Jestem właścicielem bogatych posiadłości w pobliżu Krussinu. Mój towarzysz ma na tamtejszym wybrzeżu wysoko postawionych krewnych. Mamy tylko część wymaganej zapłaty, i gdybyś pożyczył nam resztę, szczerze ci się odwdzięczymy po dopłynięciu do portu.

Przybysz odwrócił się do nich plecami i dosiadł konia. Ściągając wodze, przez chwilę spojrzał na nich w zamyśleniu.

– Oszczędziliście mi podróży – odpłacę się wam za tę przysługę – powiedział nagle. – Nie znajdziecie bezpiecznego miejsca na pokładzie „Kormorana”. Jechałem wzdłuż wybrzeża i widziałem, jak kapitan Steiern odgrywał tę sztukę w każdym porcie po drodze. Kiedy tylko wypłynie z portu, wyrzuca swych pasażerów na żer rekinom, a „Kormoran” wraca po następny ładunek głupców.

– Dziesięć marek, moi przyjaciele! – rozległ się głos Steierna. – Chyba dziesięć marek nie jest zbyt wygórowaną ceną!

– Na Thoema! – szepnął wysoki kupiec o twarzy bladej jak popiół. – Ale, zaczekaj – jaką przysługę ci wyświadczyliśmy?

– Podobnie jak wy, chciałem przepłynąć na drugi brzeg – odrzekł jeździec. – Lecz wasze słowa sugerują, że tutaj jest dla mnie praca.

Kane popędził swego ogiera ostrogami, kierując się na północ.

VI

CZERWONE ŻNIWO

Na Thoema! Ich armia pokrywa ziemię!

Jarvo skrzywił się i prychnął.

– Też mi armia! Spójrz na nich, Ridaze. To tylko motłoch.

Słońce paliło bursztynowym płomieniem niekończącą się sawannę. Płonącym łukiem wciąż przemierzało wschodnią część nieboskłonu. Gdy osiągnie zenit, morze wysokiej trawy będzie połyskiwać żółto-zielonymi falami. Ostatni deszcz spadł kilka tygodni temu. Na wschodnim i zachodnim horyzoncie wznosiły się coraz większe kłęby kurzu, sygnalizując zbliżanie się dwóch armii.

Na pozór niekończąca się fala ludzkich ciał maszerowała, rozciągnięta wzdłuż linii na północnym horyzoncie. Dwieście tysięcy? Pięćset tysięcy? Jarvo nie potrafił powiedzieć. Raporty zwiadowców zdawały się potwierdzać to ostatnie; być może jest ich więcej. Drobną część jechała konno, większość była pieszo. Jarvo nawet nie myślał o nich jako o konnicy i piechocie. W kłębiącej się masie ciał porzrzucone były w przypadkowy sposób tabory i wozy. W wojsku Proroka było tyle porządku i dyscypliny, co w podburzonym tłumie szukającym zaczepki. Jarvo był zaskoczony, że nie rozproszyli się w czasie dwudniowego marszu na południe od zalesionych terenów Shapeli.

– Powinniśmy byli oszczędzić sobie dnia drogi i pozwolić im pomaszerować jeszcze dalej – mruczał niezadowolony Ridaze, zdejmując hełm, by otrzeć twarz. – Jeszcze kilka dni marszu w tym słońcu i mielibyśmy ułatwione zadanie. Ledwo trzymający się na nogach Satakijczycy czekali tylko jak zwiędłe kwiaty, żebyśmy użyli naszych mieczy.

– Jest ich zbyt wielu, żeby pozwolić sobie na ryzyko dopuszczenia tej hołoty bliżej naszych granic – przypomniał Jarvo swojemu podwładnemu. – Niech ci, którzy wymkną się nam, uciekają do Shapeli, a nie kręcą się po pograniczu Sandotneri.

Ridaze uniósł pytająco brew.

– Sądzisz, że jacyś mogą nam umknąć? Pozostali oficerowie roześmiali się.

– Jest ich zbyt wielu, żeby zabić wszystkich w ciągu jednego dnia – Jarvo skrzywił się w kwaśnym uśmiechu

– Idźcie do swoich ludzi i pamiętajcie: nie wolno plądrować, póki ich odwrót nie będzie kompletny, potem możecie robić, co chcecie. Aha – i nie bierzcie jeńców.

– Nawet tych ślicznych? – spytał pożądliwie inny oficer.

– To jest łup – roześmiał się Ridaze.

– Pomyślnych łowów! – pożegnał ich Jarvo. Pułkownicy zaszalutowali i odjechali do oczekujących oddziałów.

Jarvo zmarszczył brwi i podrapał grubą bliznę, która zniekształcała lewą stronę jego twarzy. Upalne słońce ściągało i paliło chorą tkanę. Spływający pod czarną opaskę pot szczypał w oko, które nie widziało lepiej niż gotowane jajko, do którego było podobne, Pomimo gorąca, Jarvo ponownie nałożył przyłbicę.

Minęło kilka miesięcy od nocy w gospodzie „Pod Czerwonymi Dachami”. Oparzenia zagoiły się, tworząc straszne blizny mimo wszystkich maści i starań medyków. Esketra wyrażała swoje

ogromne współczucie Jarvo widział ją tylko trzyrazy od czasu spotkania w ogrodzie. Za każdym razem wspierała się na ramieniu innego dworskiego galanta i okazywała wzruszającą troskę o jego stan zdrowia. Liczne próby spotkania się z nią, sam na sani. spotykały się z uprzejmą, ale zdecydowaną odmową. Jarvo mówił sobie, że nie ma powodów do zazdrości, Muszę jeszcze przez jakiś czas zachować dyskrecję.

Kane jakby znikł z powierzchni ziemi; nie było nawet cienia domysłów, gdzie mógł się podziewać. Dręczyło to Jarvo dużo bardziej niż ból twarzy, bowiem nienawiść do Kane'a powiększała się coraz bardziej za każdym razem, kiedy spoglądał w lustro.

Ponieważ niezrozumiała wyniosłość Esketry czyniła życie w Sandotneri nieznośnym, Jarvo z radością powitał raporty donoszące z granicy, że Orted Ak-Ceddi gromadzi swą armię obszarpańców, by zaatakowali południowe królestwa. Wciąż nie mógł zrozumieć, dlaczego tak podobno przebiegły wódz jak Orted, zamierza wyruszyć na tę szaleńczą wyprawę. Całe Shapeli było już w rękach Satakijczyków. Mając tyle podbitych terenów, na których trzeba było umocnić władzę, Orted musiał być szalony, jeśli sięgał po następne.

Być może nie było to nic innego jak znany wszystkim przypadek tyrana, którego zwycięstwa tylko podsycaly żądze kolejnych podbojów. Być może Prorok był naprawdę obłąkany.

Jarvo wzruszył ramionami. Mało obchodziło go, dlaczego Mroczna Krucjata ośmieliła się przekroczyć granice gęstych lasów Shapeli.

Chodziły niepokojące pogłoski, że kapłani Sataki użyli czarów, żeby ułatwić podboje Proroka. Jarvo skłonny był nie dawać wiary takim plotkom, chociaż niedostatek informacji dotyczących kultu Sataki mógł wzbudzać niepokój.

Wracając do rzeczy, niezliczone przerażające opowieści uciekinierów z Shapeli bezsprzecznie dowodziły, iż Prorok zawdzięczał swe zwycięstwa niesłychanej brutalności motłochu. Przewaga liczebna i bezlitosny terror to była lektyka Orteda. Brudna ale skuteczna – na terytorium Proroka. Dzisiaj Jarvo wybrał pole walki.

Sawannę urozmaicały prawie niedostrzegalne wzniesienia i zagłębienia terenu. Mimo iż nie można było powiedzieć, że Sandotneri leżało dużo wyżej, wzniesienie było jednak wystarczające, by obserwować zbliżanie się Satakijczyków. Kiedy ich horda powoli wyłaniała się zza tumanów kurzu, Jarvo poczuł pierwsze ukłucie niepewności. Ich armia zajmowała cały horyzont. Nigdy przedtem nie widział choćby połowy tego zgromadzonej w jedną, niezliczoną masę. Mroczna Krucjata musiała opróżnić lasy Shapeli.

Kilka tygodni temu Satakijczycy podbili ostatnie miasta i na krawędzi puszczy i na wybrzeżu. Od tej pory zwiadowcy obserwowali ich uważnie. Na wieść o zbliżającym się najeździe Proroka, Jarvo wyjechał na północ z dziesięcioma pułkami lekkiej konnicy i pięcioma ciężkiej. Przyłączenie żołnierzy z przygranicznych garnizonów zwiększyło szeregi jego wojsk, co odpowiadało następnym dziesięciu pułkom lekkiej konnicy – około połowę z tego stanowili łucznicy Trzydzieści tysięcy ludzi przeciwko, lekko licząc, dziesięciokrotnie przeważającej liczbie wroga. Wyszkoleni wojownicy przeciw niezdyscyplinowanemu motłochowi.

Jarvo poczuł gwałtowny przyptyw dumy, że dowodzi jakim wojskiem. Chwilowe wątpliwości znikły w momencie w którym się pojawiły, a pozostał jedynie żal, że niewielki to chwała wymordować chłopów. Unosząc się w strzemionach, Jarvo wydał rozkaz ataku.

Front Satakijczyków nie utworzył żadnego formalnego szyku bojowego; była to po prostu olbrzymia, bezkształtna masa ciał. Teraz rzekoma armia Orteda kręciła się bezładnie, widząc zagrażającą im szarżę kawalerii Sandotneri Wyszkoleni oficerowie mogliby zmusić tych ludzi do przyjęcia jakiejś skutecznej pozycji obronnej, ale Satakijczycy po prostu bez skrępowań mordowali

wszelkie wojska i zabijali żołnierzy na posterunkach, którzy nadaremnie bronili miasta Shapeli. Jedyńi oficerowie, jakich miał Orted w tej hałastrze, wybrani zostali spośród najgorszych zbrodniarzy i łajdaków. Ich rozkazy wykonywano ze strachu, ale żaden z generałów Proroka nie miał praktycznej wiedzy na temat prowadzenia wojny, nie mówiąc już o tym, że nie wiedzieli jak odeprzeć szarżę konnicy.

Podejrzewając jakiś podstęp, Jarvo rozpoczął bitwę ostrożnie, wysyłając cztery pułki lekkiej konnicy na czoło wrogiej armii, a sześć pułków konnych łuczników rozdzielił, by zaatakowali z obu flank. Atak ciężkiej konnicy powstrzymał do chwili, gdy pierwsze starcie wybada choćby częściowo siłę wrogiej armii.

Front Satakijczyków usiłował powstrzymać atak Sandotneri silnym murem obrony. Pojedyncze oddziały konnych odłączyły się od głównej masy wojska i galopowały na spotkanie szarży lekkiej konnicy. Za nimi masa pieszych zbiła się na czele armii, tworząc zaporę z tarcz i włóczni. Nieregularne salwy łuczników, strzelających od czasu do czasu zza tej chmary ciał, stanowiły większe niebezpieczeństwo dla konnych Satakijczyków niż dla szarży Sandotneri, która wciąż była poza zasięgiem strzał.

Mordercza i lśniąca srebrzyście w porannym słońcu lekka konnica Sandotneri, galopowała w stronę zbliżającej się fali jeźdźców. Każdy kawalerzysta miał zbroję ze świetnej kolczugi, małą, okrągłą tarczę i długą szablę kawaleryjską, typową dla uzbrojenia żołnierzy królestw południowych. Jak wszyscy wojownicy na tych niezmiernych stepach, byli jeźdźcami niemal od urodzenia.

Jeźdźcy Sataki dosiadali takich koni, jakie zdobyli w czasie podboju Shapeli, byli uzbrojeni i opancerzeni w to, co złupili na wrogach. Mieli przewagę liczebną nad czterema pułkami Sandotneri, ale galopowali na ich spotkanie z precyzją podobną do cwału spłoszonego stada bydła.

Szybko wykonując manewr, łucznicy Sandotneri zbliżali się z obu flank. Utrzymywali dużą odległość od przeciwnika, jako że zamiast szablami, władali krótkimi kawaleryjskimi łukami, używanymi w królestwach południowych. Była to ciężka broń; żelazne groty z łatwością mogły przebić kolczugę. Odziani w zbroje łucznicy mieli również szable w pochwach przytroczone do siodła i mogli ich użyć w chwili, gdy wyczerpie się zapas strzał.

Obserwując wszystko z punktu dowodzenia, Jarvo czekał ze swymi pięcioma pułkami ciężkiej kawalerii, która tworzyła środek armii, a pozostałe pułki lekkiej konnicy stały na obu skrzydłach. Przyglądał się mającemu nastąpić za chwilę starciu z taką uwagą, że na moment przestało mu bić serce – nie chciał posyłać więcej ludzi, póki nie będzie pewny siły wroga.

Wśród morza traw, konnica Sandotneri przebijała się przez jeźdźców Sataki z taką łatwością, z jaką kosa ścina dojrzałą pszenicę. We wschodzącym słońcu błyszcząły wzniesione szable, a konie z pustymi siodłami rzucały się do ucieczki. Bursztynowy step drgał pod wznoszącą się mgłą żółtego kurzu; miazdżona i tratowana trawa zabarwiła się purpurą.

Konni Satakijczycy nie mogli się równać z doświadczonymi kawalerzystami Sandotneri. Nie umieli ani dobrze jeździć konno, ani posługiwać się bronią właściwą dla kawalerii; lepiej z pewnością radziliby sobie pieszo. Wśród tumultu i spadających ciosów szabel, wojsko Sandotneri ostatecznie przebiło się przez ich szeregi – cięcia szabli opróżniały siodła w sposób nagły i ostateczny. Potyczka – trudno byłoby to nazwać bitwą – trwała zaledwie kilka chwil i zamieniła się w rzeź. Potem niedobitki rzuciły się do ucieczki, próbując wrócić do głównej siły armii Proroka.

Wiele koni wróciło do szeregu Satakijczyków,

Teraz, atakując boki Satakijczyków, konni łucznicy zasypywali strzałami pobite pierwsze szeregi wroga z morderczym rezultatem. Strzały wypuszczane z krótkich łuków – składających się z warstw rogu, twardego drewna i ścięgien – przebijały zrabowane kolczugi i zaimprovizowane

tarcze. W gęstej ciżbie każdy pocisk trafiał w cel i zabijał.

Wrogie pociski – źle wymierzone strzały i rzucone bezładnie włócznie – zgarnęły niewiele ofiar wśród szalejących łuczników. Na próżno oficerowie krzyczeli do swoich ludzi, by trzymali piki i czekali na zbliżającą się szarżę; w panice Satakijczycy wyrzucili swą najlepszą broń obronną.

Zdemoralizowane przez klęskę konnicy, zasypywane morderczym deszczem strzał łuczników Sandotneri, szeregi Satakijczyków cofnęły się w popłochu. Posuwające się wciąż za nimi masy piechoty zatrzymały ich odwrót i spowodowały nagłe zatrzymanie natarcia w chwili, gdy środek i czoło armii wymieszały się.

Siedzący wsiodle Jarvo uśmiechnął się krzywo pod przyłbicą hełmu w kształcie maski demona. Satakijczycy nie pokażą dzisiaj żadnych chytrych sztuczek. Niezliczona horda cofała się w bezradnym przerażeniu przed nękającym atakiem; nadszedł teraz już czas, żeby przypuścić prawdziwy atak.

– Kopijnicy! Naprzód, ho!

Grzmiący okrzyk odpowiedział na rozkaz Jarvo – a potem ogłuszający huk, kiedy sześć tysięcy zbrojnych nastawiło do ataku kopie o stalowych grotach. Rogi bojowe szybko przekazały rozkaz, Jarvo nie zatrzymywał już żadnych oddziałów w rezerwie. Teraz ich szarża będzie odbywać się zgodnie z planem bitwy ułożonym wcześniej.

Jak potworna metaliczna lawina, szarża ciężkiej kawalerii zadudniła po zdeptanej sawannie. Uderzenia kopyt wielkich bojowych wierzchowców wyłobiły ścieżkę w suchej ziemi. Stalowe zbroje płytowe – polerowane, zdobione srebrem, grawerowane i barwione na błękitno – odbijały sześć tysięcy tęczy obrazów zniszczenia ku wschodzącemu słońcu, a gładkie, stalowe ostrza ich kopii błyszczały jak gwiazdy wśród tropikalnej nocy. Każdy prócz kopii miał ciężką tarczę, a przy siodle zawieszony szeroki miecz, topór albo buzdygan do rozprawienia się z tymi, którzy przetrzymają ich potworną szarżę.

Pięć pułków opancerzonych, zaprawionych w boju wojowników – najstraszliwsza siła bojowa tej epoki. Rozwinięta przez wieki zażartych wojen na rozległych równinach południowych królestw, ciężka konnica stanowiła elitarną potęgę wojskową w tym kraju. Zwykle taką szarżę kierowano przeciwko podobnemu konnemu wojsku jakiegoś rywalizującego królestwa i od tego starcia zależało chwilowe rozwiązanie jednego z nie kończących się sporów granicznych lub wojny o tron. Satakijczycy nie posiadali porównywalnego oddziału, tylko kłębiącą się masę ludzkich ciał, która oczekiwała na szarżę Sandotneri.

Pierwsze pułki lekkiej kawalerii, praktycznie nietknięte, odsunęły się na bok przed grzmiącą szarżą. Łucznicy wystrzelili ostatnie strzały w rozbiegające się pierwsze szeregi Satakijczyków, a potem odjechali, by nie dopuścić do rozproszenia się wroga, gdy szarża wedrze się w środek armii. Za kopytami ciężkiej konnicy galopowały rezerwowe oddziały lekkiej kawalerii, aby wesprzeć zbrojnych po przerwaniu linii frontu Satakijczyków.

Twarze otepiałe od paniki gapiły się bezmyślnie na zbliżającą się stalową falę. Usta otwierały się jak czarne kółka pod wpływem otepiałego przerażenia. Jeszcze zanim nawałnica przelała się nad kiepsko zorganizowanym szykiem bitewnym, ludzie rzucali broń i niezgrabne tarcze w ślepym strachu, i starali się uciec.

Szarża Sandotneri rozbiła chłopską armię Proroka, tak jak kopyta bojowego rumaka rozrzucają kupę gnoju. Wyczerpany długim i ciężkim marszem, całkowicie przerażony na widok nie dającego się powstrzymać natarcia śmierci o stalowych kłach, kiepsko uzbrojony motłoch rozproszył się i zaczął uciekać. Nie byli żołnierzami, lecz hałastrą zjednoczoną przez chciwość i strach – motłochem, który plądruje i morduje, ale jest tylko motłochem. Nie mieli ani odwagi, ani umiejętności, żeby wytrzymać atak zdyscyplinowanych i ciężko opancerzonych konnych żołnierzy.

Nie mogli zrobić nic innego jak zginąć.

Nie pozwolono im nawet uciec. Kiedy pokonany front armii Sataki chciał się wycofać, wyjący uciekinierzy zderzyli się z ludźmi na tyłach – którzy wciąż nacierali, jak jakiś ślepy i bezrozumny potwór, nieświadomy czekającego go unicestwienia. Natychmiast wybuchła panika, a przerażeni uciekinierzy przepychali się przez skłębiony tłum, umykając konnemu pościgowi tylko dlatego, że zabijanie zajmowało więcej czasu niż ucieczka w ścisku.

W chwili gdy cała horda Satakijczyków rzuciła się do ucieczki, wszelkie podobieństwo do zdyscyplinowanego odwrotu zniknęło, a nadzieja na zgromadzenie rozproszonego wojska albo działanie tylnej straży była jeszcze mniej uzasadniona. Mroczna Krucjata, obciążona powolnymi taborami i wozami z kobietami i dziećmi, przypominała bardziej migrację plemienia niż maszerujące wojsko. Uciekinierzy zostali ponownie przyparci do głównej masy armii i unieruchomieni przez tabory z bagażem oraz ścisk tłumy ogarniętego paniką.

Na początku szarży Jarvo stracił kopie, która utkwiała plecach jakiegoś wieśniaka. Teraz generał Sandotneri mechanicznie wywijał dookoła ciężkim mieczem. Szarżę Sandotneri zatrzymał tylko opór stłoczonej hordy, która spowolniła atak tak, jak czynią to wodorosty oplatające kadłub statku. Pomimo zbrojnego oporu, na jaki napotkała, kawaleria mogła przejechać nawet się nie zatrzymując.

Jeźdźcy lekkiej konnicy krążyli wokół swych ciężko-zbrojnych towarzyszy jak wilki w owczarni, tnąc Satakijczyków aż rozbolewały ich ramiona, a żądza krwi uległa stępieniu jak ich szable. Strategia i taktyka były w tej chwili pustymi pojęciami; jedynym zadaniem było rąbać bezkształtną i krwawiącą masę, która niezgrabnie usiłowała odczołgać się z miejsca walki. Łucznikom skończyły się

strzały, ale nie dbali nawet o to, by wyrywać je z zabitych. Był to dzień rąbania mięsa.

Jarvo prowadził swoje wojsko przez zalane krwią pole walki. W kilku miejscach trwały jeszcze niewielkie starcia – niektórzy wrogowie mieli dość rozpaczliwej odwagi, by zginąć raczej ze stałą w piersi niż w plecach. Jednak wynik bitwy był już przesądzony – jeśli kiedykolwiek mógł budzić wątpliwości. Równowaga wojny jest nieubłagana: kiedy czyjaś armia ucieka, może istnieć tylko jedno krwawe rozwiązanie.

Jarvo zastanawia! się, gdzie może być Orted Ak-Ceddi

– czy ich wódz zginął, czy gdzieś się ukrywa. Jarvo obiecał dziesięć marek w złocie człowiekowi, który przyniesie mu choćby jego głowę – albo wskaże, gdzie zginął Prorok. Przez całą bitwę nie doniesiono mu ani razu o miejscu pobytu buntownika.

Wreszcie Ridaze znalazł odpowiedź. Znudzony rzezią przerwał swe krwawe zajęcie, żeby przesłuchać kilku jeńców. Przypuszczał, że ostatnie tchnienie swojego życia poświęcili oni na mówienie prawdy.

– Nie ma go tutaj – wyjaśnił Jarvo. – Nawet nie nrzybył. Prorok rozkazał swoim generałom poprowadzić Mroczną Krucjatę na Sandotneri i został w domu, w zaciszu swego pałacu w Ingoldi, podczas gdy jego wyznawcy posmakowali naszej stali.

Jarvo wypluł kurz z ust. – Przynajmniej opowieści o chytrłości Orteda nie były przesadzone.

Masa Satakijczyków rozproszyła się – niedobitki uciekały przez sawannę w różnych kierunkach, ścigane przez konnych zabójców. Jarvo doszedł do wniosku, że polowanie na nich, po zapadnięciu zmroku, będzie zbyt męczące.

Było wczesne popołudnie.

VII

OGNIWO KRYZYSU

Wznoszący się nad horyzontem księżyc w pełni, płonął nad zdeptaną sawanną jak rozżarzony do białości węgielek nad wzburzonym morzem krwi. Na tle nieba, pod białym kręgiem księżycy z odległej sawanny wyłonili się koń i jeździec.

W obrazie pobojuwiska dominowała upiorna cisza. Nasycone i odrętwiałe padlinożerne ptaki, które zebrały się przed zmrokiem, krakały sennie, układając się do snu w pobliżu niedokończonych uczty. Dingo i szakale krążyły cicho, czasami tylko powarkując i szczekając kłótliwie. Co jakiś czas upiorny śmiech albo głośny jak wybuch trzask kości ujawniał obecność ucztującej hieny.

Dziesiątki tysięcy leżących martwych ciał nie wydawały żadnych dźwięków.

Kiedy tętent kopyt zbliżył się wyraźnie, ucztujący odwrócili głowy w stronę intruza. Sępy rozłożyły nerwowo skrzydła. Drapieżniki odsłoniły okrwawione kły w zazdrosnym powitaniu. Ciekawskie wallabie i inne małe nocne stworzenia zatrzymały się, a potem lękliwie ociekły przed zbliżającym się jeźdźcem.

Dziesiątki tysięcy trupów nie poruszyły się.

Powoli – bowiem w czystym powietrzu nocy odległości na sawannie wydawały się nierealne jak we śnie – jeździec zbliżył się do milczącego pola bitwy. Ciemna pustać na tle księżycy i horyzontu mogła być Śmiercią w czarnej kolczudze, dosiadającą czarnego ogiera. Lekki wiatr zaszeleścił w wysokiej trawie, w miejscu, gdzie szał bitewny nie rozdarł gleby, i przyniósł woń rozszarpanego mięsa, rozlanej krwi i gwałtownej śmierci.

Jeździec zwolnił tempa, by przyjrzeć się morzu krwi, a potem popędził parskającego ogiera. Ciężkie stąpnięcia czarnego wierzchowca dźwięczały jak stłumiony werbel na stratowanej ziemi.

Tu i ówdzie leżały końskie ścierwa, bez uprzęży i siodeł. Zwycięzcy zabrali swoich zabitych i rannych – nie mogło być ich wielu, sądząc po śladach – i zostawili pobojuwisko pokonanym. Była to równina zabitych – tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci. W większości stanowili pospólstwo i

szumowiny; trudno byłoby znaleźć pomiędzy nimi kogoś wyglądającego na wprawnego wojownika. Zaledwie mięso, na którym kawaleria tępi swoje szable. Toporna broń domowej roboty i obszarpane szmaty zamiast przyzwoitych ostrzy i kolczug. Zabici nie zostali obrabowani, bo nie było czego rabować. To pole martwego mięsa interesowało tylko tysiące padlinożerców, którzy będą łapczywie ogryzać, aż pozostaną same nagie kości. Potem znów wyrośnie trawa, jeszcze zielensza i gęstsza dzięki pożywce, a kości znikną pod powierzchnią morza zieleni.

Za wielkim polem zabitych, nieco rzadziej leżące ciała zaznaczyły miejsce, gdzie bitwa zmieniła się w odwrót, a odwrót w ucieczkę. Fala wojny obmyła sawannę jak potop, zostawiając po sobie zabitych, którzy ginęli także w czasie panicznej ucieczki przed zakutymi w stal konnymi. Szlak martwych ciał zaścierał ścieżkę ciągnącą się ku odległemu horyzontowi i zniknął; prowadził do mrocznej puszczy odległej o wiele mi!. Ten szlak za bitych będzie się ciągnął nieprzerwanie do samego lasu, gdzie albo pościg zmęczył się rzezią, albo nie było już kogo zabijać.

Jeździec spowity w cień pod wschodzącym księżycem, jechał pomiędzy zabitymi, wyobrażając sobie bitwę, którą tu stoczono, i przerażającą rzeź, jaka po niej nastąpiła. Bitwa rozgrywała się jakby ponownie przed jego doświadczonymi oczyma. Martwi poruszyli się i wstali, toczyli swój ostatni bój i ponownie umierali. Do jego uszu dochodziły echa bitwy: blade cienie śmiertelnych krzyków i wrzasków. Sępy skrzeczały i odsuwały się na bok z wzniesionymi skrzydłami. Drapieżniki warczały i odchodziły od swoich łupów. Jeździec nie zwracał na nie większej uwagi niż na zabitych. Myślami był gdzie indziej i pobojuwisko pełne trupów już go nie interesowało.

Widział tysiące takich miejsc; być może zobaczy jeszcze następne tysiące. Zerwał się wiatr i jęczał upiornie w chwiejącej się trawie, a jego oddech, o zapachu śmierci, rozwiewał łopoczący, czerwony płaszcz jeźdźca. Jadący szlakiem śmierci Kane znikł na odległym horyzoncie.

VIII

POCZĄTEK BURZ

Tropikalna burza chłostała wiatrem Ingoldi. Nawet we wnętrzu masywnych umocnień Ceddi słyhać było potworne huki grzmotów dudniące przez kamienne mury i toczące się ponurymi korytarzami. Przez otwory strzelnicze przelewały się strugi wody i obmywały kamienie. Spinające nieboskłon łańcuchy błyskawic, błyszczały niesamowicie przez wąskie otwory i dodawały swe sporadyczne rozbłyski do światła kaganków płonących w korytarzach.

Gniew Orteda Ak-Ceddi był nie mniejszy niż wściekłość burzy.

Przez rok dokonały się dziwne zmiany w byłym przywódcy bandytów, tak jakby sto tysięcy par rąk w ciągu roku wzniosło Ceddi z gruzów i uczyniło z niej olbrzymią, niezdobytą fortece, a rozległe Ingoldi zmieniło w wojskową cytadelę.

Człowiek, który nie rzucał cienia, wciąż posiadał szybkość pantery i stalowe mięśnie ściganego zbrodniarza. Jednak miesiące niepohamowanej rozpusty zaczynały zostawiać ślady.

Pokrywały jego żylastą i masywną postać zdradziecką gładkością warstwy tłuszczu, malując na ogorzałej twarzy cienie i zmarszczki zepsucia. Jego oczy, niegdyś błyszczące bystrością i sprytem, płonęły teraz czarnym płomieniem fanatyzmu i ociążałym dynamizmem władzy absolutnej.

Poczucie pewności tej absolutnej władzy zostało na moment zachwiane, a wraz z niepewnością zrodził się niepohamowany gniew. Wraz z przyjęciem boskiej potęgi przychodzi świadomość boskich namiętności. Nawet męka wbitych na pale wszystkich dowódców Orteda nie mogła ugasić jego wściekłości.

Posępny Prorok siedział w samotności swoich komnat i patrzył na chłostaną przez burzę cytadelę za oknami wieży. Był w nastroju tak demonicznej wściekłości, że nawet kapłani Sataki nie ośmielali się zbliżyć do niego. W dole, na dziedzińcu, gwałtowny wiatr szarpał bezwładnymi ciałami wbitych na pale oficerów, którzy go zawiedli – nadając pozory życia zimnym już trupom.

– Klęska! – prychnął Orted, wpatrując się ponuro w marionetki, które tańczyły przed nim nawet po śmierci. – Masakra!

Nie dbał o to, że generałowie usiłowali przekonać go o samobójczej głupocie inwazji na królestwa południowe, że ego nieprzerwany łańcuch zwycięstw w granicach Shapeli był tylko konsekwencją okrucieństwa tłumu, i że prymitywna masa, obojętnie jak liczna, nie ma szans na zwycięstwo w prawdziwej bitwie ze zdyscyplinowanym i lepiej wyszkolonym przeciwnikiem. Prorok szybko uciszył wątpliwości przypominając, że niewykonanie jego rozkazów jest po prostu samobójczą głupotą. Sataki rozkazuje, aby podbić południowe królestwa. Rozkaz Sataki musi być wypełniony.

Fakt, że protestujący generałowie mieli czelność ujść jego gniewowi, ale stali się pierwszymi, których zabiła szarża Sandotneri, tylko pogłębiał czarną wściekłość Proroka.

Orted pchnięciem otworzył okno, którego szybki w kształcie rombów umocowane były w metalowej kracie i wystawił siną z gniewu twarz na deszcz. Wiatr rozwiewał perfumowane loki jego brązowych włosów. Błyskawica rozbłysła w udręczonej burzą nocy, oświetlając zeszywniałą postać upiornym blaskiem i podkreśliła surowym światłem cienie tańczących trupów daleko w dole. Egipskie ciemności, a potem migoczące rozbłyski jasnego światła. Ruchy Orteda zdawały się

spazmatyczne i nierealne w tej sonej poświacie. Jego gruby kark nabrzmał, usta wykrzywiły się w strasznym grymasie i Ortem Ak-Ceddi wykrzyczał swą wściekłość i swoje wyzwanie ryczącej burzy, wrzeszczał w rozrywaną błyskawicami noc, podczas której nie ośmieliłaby się opuścić domostwa żadna żywa dusza.

– Nie będzie klęski! – ryknął w burzę. Zwycięzę! Muszę zwyciężyć!

Gigantyczny piorun przeszył noc oślepiającym ogniem, a straszliwy grzmot ogłuszył go.

Przez chwilę Orled Ak-Ceddi widział tylko absolutną czerń i nie słyszał nic, z wyjątkiem bicia własnego serca.

Potem z głębi komnaty doszedł głos:

– Aby zwyciężyć, musisz mieć ciężką kawalerie. Orted odwrócił się gwałtownie, słysząc te ciche słowa.

Drzwi jego prywatnych komnat stały otwarte. Na progu, obrysowany blaskiem błyskawicy, ktoś się pojawił – masywny, niemal wypełniający framugę drzwi. Pod wzburzoną przez wichher rudą grzywą błyszczała piekielnym błękitem para oczu.

– Jestem Kane. Potrzebujesz mnie.

IX

WYKUWANIE

Przenikliwy śmiech dzieci rozbrzmiewał ostro wśród kłębow kurzu na placu parad. Przyciągnięte przez otwartą przestrzeń za murami Ingoldi, dzieci zbierały się we wrzeszczące gromadki, żeby przyglądać się ćwiczeniom jasno błyszczącej konnicy i bez końca grać w piłkę nożną. W stolicy Proroka twarze dorosłych mogły być pełne lęku i napięcia, ale tutaj, pod murami miasta, dzieci szalały z całym niewzruszonym zapałem swojej niewinności, nie zważając na groźne końskie kopyta i stal.

Kane potrzebował placu parad, na którym mógłby szkolić kawalerię Proroka. Kane zażądał; Orted Ak-Ced-di rozkazał. Sto tysięcy par rąk było posłuszne. Wyrwano z ziemi milę kwadratową tropikalnego lasu. Wygrzebano starannie wszystkie korzenie, wywieziono kamienie i głazy, a powierzchnię nagiej równiny skrupulatnie wyrównano ubijając ziemię, aż była twarda jak skała. Tam, gdzie kiedyś była dżungla, teraz znajdowała się mila twardego klepiska, płaska i naga jak blat stołu.

Kane był pod silnym wrażeniem. Pamiętał mordercze piranie, których było mnóstwo w rzekach południowo-zachodniej części Wielkiego Północnego Kontynentu i żarłoczne marsze stad mrówek, od których roiło się w tamtejszych dżunglach.

Plac parad był już gotowy, kiedy pierwsze pułki konne zaczęły przekraczać barierę lasu i zjeżdżać do Ingoldi.

– Mroczna Krucjata to kolos – olbrzym – mówił Kane Ortedowi. – Ale mimo swej siły i swych rozmiarów w jest to bezbronny kolos – nie ma bowiem broni i zbroi. Ja potrafię wykuć broń i zbroję, jakie musi mieć twój olbrzym, jeśli ma zwyciężyć. Daj mi złoto i władzę, jakiej mi potrzeba – powiedział Kane – a wykuję Miecz Sataki.

– Kim jesteś? – szepnął Prorok, a potajemnie zastanawiał się: „Czym ty jesteś?”

Złoto i władza. Orted Ak-Ceddi miał tego pod dostatkiem. Aby zdobyć jeszcze więcej, dawał Kane'owi wszystko, czego przybysz zażądał.

Kane rzucił złoto w cztery strony świata i na jego wezwanie odpowiedzieli ludzie z krajów leżących poza granicami Shapeli.

– Sądząc po tym, co widziałem w twoim wojsku – powiedział Kane – będę musiał polegać głównie na najemnej konnicy. Istnieją granice tego, co można uzyskać dzięki upływowi czasu i szkoleniu. Mam tylko nadzieję, że niektórych z nich będzie można nauczyć przyzwoicie posługiwać się piką.

– Ależ to są Dzieci Sataki! – chmurzył się Orted groźnie.

– To motłoch – odrzekł Kane. – Nie mogę wykuć miecza z błota i gnoju.

– Twoi najemnicy nie będą prawdziwymi wyznawcami! – grzmiał Prorok.

– Będą żołnierzami, to wystarczy – powiedział Kane. – A co do ich religii, będą wierzyć w cokolwiek, jeśli im za to zapłacisz. Miecz nie ma duszy.

To był moment krytyczny. Kane nie zrozumiał jego znaczenia.

Złoto. Orted Ak-Ceddi mógł napęłnić skarbiec łupami z całego Shapeli. Zaryzykował jak

głupiec i stracił armię. Kane wziął jego złoto i kupił mu drugą armię – bystrzejszą i groźniejszą niż pierwsza, bo Kane mądrze je wydał.

To była gra, którą Kane dobrze znał.

Na południu Sandotneri mur z pancerzy i stali strzegł granic. Zadowolony się wymordowaniem armii Proroka, Jarvo nie miał ochoty na ryzyko dalszych wypraw karnych w głąb nieprzebytych lasów Shapeli. Król Owri nosił od dawna na łożu śmierci, nie mogąc umrzeć, w swym pałacu w Sandotneri, a rak wgrzyzał się w niego jak robak. Intrygi dworskie wokół kandydatów na tron nasiliły się, a bohater z marchii Shapeli prezentował się imponująco na paradach. Zajęty takimi sprawami, Jarvo zostawił pilnowanie granicy najmniej przychylnym jego sprawie oficerom i zastanawiał się, jak Esketra mogła wyglądać na tak zadurzoną w tym płytkim pochlebcy, Ridaze.

Od niechcenia obserwując, czy nowa armia nie maszeruje z Shapeli, straż pograniczna nie zważała na to, kto do Shapeli wjeżdża. Początkowo tylko pojedynczy jeźdźcy i małe grupki konnych; potem – w miarę jak złoto potajemnie wypełniało skrzynie dowódców garnizonów – nikt nie zatrzymałby nawet całego wojska przejeżdżającego nocą.

Gdzie indziej, na całym zachodnim wybrzeżu Shapeli, przybijały statki, które przemierzały w tę i z powrotem Morze Wewnętrzne i płynęły ku zachodniej części Wielkiego Północnego Kontynentu. Tam, w dekadentycznych królestwach, powstałych na ruinach niezmiernego Cesarstwa Serranthońskiego, pewni ludzie usłyszeli zew złota. Zajęli się swymi mieczami oraz sprzętem bojowym i wyruszyli w drogę do puszczy Shapeli.

Wielkie bałwany Morza Wschodniego rozbijały się o północne i wschodnie wybrzeża tego półwyspu-subkontynentu. Tysiąc mil morskich za jego lazurowymi falami znajdował się kontynent Lartroxii, gdzie ludzie nazywali tę samą przestrzeń wody Morzem Zachodnim. Statki mogły przepływać ten wielki ocean, ale czyniły to coraz rzadziej, w miarę jak obydwa potężne, północne kontynenty popadały w trwające wieki barbarzyństwo. Kane nie musiał przebywać oceanu, żeby zdobyć ludzi, których potrzebował.

Nawet w Shapeli Kane znalazł takich, których można było przekuć na potrzebny mu metal. Niektórzy z Satakijczyków – dzięki wrodzonemu talentowi lub podstawowemu szkoleniu – potrafili posługiwać się bronią, siedzieć na koniu i zagrażać bardziej towarzyszom broni niż wrogowi. Kane wybrał ich z motłochu, uzbroił i wyszkolił.

Powszechna amnestia – ogłoszona przez Kane'a mimo sprzeciwów Orteda – wyciągnęła z ukrycia garstkę zagłodzonych, byłych strażników.

– Oni sprzeciwili się woli Sataki! – wybuchnął Prorok.

– Ukorzyli się od tamtej chwili; bądź wielkoduszny – powiedział Kane. – Potrzebuję ludzi na oficerów.

Jądro składające się z wyszkolonych oficerów – zawodowych żołnierzy – a wokół nich sieć doświadczonych wojowników. To był klucz ambitnych zamysłów Kane'a. Z tego jądra mógł zbudować wojsko, zasilając jego szeregi masami Satakijczyków – w takim stopniu, w jakim najlepsi z nich mogli być wyszkoleni.

Ponieważ dysponował złotem i władzą, była to tylko kwestia czasu.

Tymczasem kuźnie Shapeli zasnuwały niebo dymem, rzemieślnicy dniem i nocą produkowali bron i zbroje, jakich zażądał Kane. Przeszukał on całe Shapeli, żeby zapełnić stajnie w Ingoldi i nie żałował statków pełnych złota, wysyłanych po potrzebne mu jeszcze wierzchowce. Było to ogromne zadanie. Nie urzeczywistniłoby się bez tysięcy najemników, którzy odpowiedzieli na wezwanie. Nazywanie tych ludzi rycerzami byłoby nieporozumieniem. O ile niektórzy twierdzili, iż pochodzą z

arystokratycznego rodu, z epoki rozbitego cesarstwa, w którym od wieków nie było żadnej znacznej dynastii, z czasów niezliczonych drobnych królestw i księstw, to takie opinie nie były wiele warte. Nie posiadali również majątków ziemskich, chociaż niektórzy byli właścicielami posiadłości i prywatnych armii. Był to wiek niemal całkowitej anarchii, kiedy można było przywłaszczyć sobie wszystko, co zdołało się utrzymać, a siłą była ważniejsza od wszelkich praw świeckich, kanonicznych czy naturalnych. Shapeli, będące od dawna przeżytkiem sielankowych czasów miast-państw i rolniczych osad, włączyło się tylko w główny nurt epoki.

Zbroja, broń i wierzchowiec takiego żołnierza stanowiły ogromną inwestycję. Zdobycie umiejętności skutecznego posługiwania się nimi wymagało lat ćwiczeń. Jednak w czasach stałych wojen, tacy zawodowi żołnierze mogli wzbogacić się na sprzedawaniu swoich usług albo na prywatnych przedsięwzięciach mniej chlubnej natury.

Możecie nazwać ich wolnymi kawalerami, kondotierami albo najemnikami. Była to klasa wojowników, nie posiadająca kodeksu ani wartości innych niż osobiste poglądy każdego z nich, a posłuszna każdej, za wspieranie której dobrze płacono. Ich szeregi otwarte były dla każdego, kto mógł pozwolić sobie na wymaganą broń i ekwipunek. Ci, którzy posiadali dodatkowo jeszcze konieczne umiejętności, przy pewnej dozie szczęścia mogli liczyć na długą i obfitującą w wydarzenia karierę.

Takich ludzi zawezwał Kane. Większość przybyła z własną bronią i wierzchowcami, niektórzy tylko ze swymi bliznami. Stanowili wojsko, któremu brakowało tylko spójności aby mogło walczyć.

Z Satakijczykami była zupełnie inna sprawa. Kane wybrał najbardziej obiecujących i przekazał ich swoim doświadczonym oficerom. Miał nadzieję, że kilka miesięcy szkolenia i musztry może uformować z nich coś na kształt lekkiej kawalerii, a co do reszty – być może da się z nich zrobić kilka przyzwoitych pułków piechoty i pikinierów. To niewiarygodne, ale wyznawców Proroka były wciąż setki tysięcy – w lasach Shapeli zamieszkiwało kilka milionów ludności, zanim Orted rozpoczął Mroczną Krucjatę. Najlepsza część armii Proroka została zmarnowana podczas szarży Sandotneri. Kane zakładał, że te nędzne pozostałości mogą okazać się niebezpieczne dla okrążonego wroga.

– Potrafią utrzymać miecz, potrafią walczyć – twierdził Orted Ak-Ceddi.

– Jak przypuszczam potrafią zatrzymać miecz swoim ciałem – drwił Kane.

Od miesięcy musztrował ich na placu parad w Ingoldi. Z chirurgiczną precyzją usuwał niezdatnych, przekazywał dowództwo najlepszym, organizował i reorganizował. Drugie, mozolne godziny nareszcie zaczęły dawać rezultaty. Skupione wokół stalowego jądra jego oddziału najemników przypadkowe składniki i surowy materiał powoli zaczęły łączyć się w jednostkę bojową. Pod dowództwem doświadczonych żołnierzy zaczęły formować się oddziały Satakijczyków – połączenie zaprawionych w boju najemników i nowo wyszkolonych rekrutów, wybranych z hord Proroka.

Kane na ogół był zadowolony z ich postępów. Miecz Sataki prezentował się imponująco na paradzie a i w czasie musztry. Kane wiedział, że egzamin bojowy dopiero przed nimi, i że to jedyny test, który jest naprawdę ważny. Mimo to był dość pewny swoich ludzi.

Prawdę mówiąc, ktoś mógłby zauważyć, że większość oficerów Kane'a służyła pod jego dowództwem w Sandotneri. Bez wątplenia, gdyby Orted zwrócił na to uwagę, Kane odpowiedziałby mu zgodnie z prawdą, że potrzebni mu są oficerowie, którym może zaufać.

Nie bez satysfakcji, Kane zakończył tego dnia musztrę kawalerii i niespiesznie jechał przez plac parad wraz z kilkoma swoimi oficerami.

– Sądzę, że Miecz Sataki został już wykuty – powiedział do swojego sztabu. – Pozostało jeszcze tylko zadanie naostrzenia go.

„I krwawego chrztu”, pomyślał.

Pomimo silnych opadów deszczu w Shapeli, tropikalne słońce szybko wysuszyło ubitą ziemię. Śmiech bawiących się dzieci leniwie unosił się wśród rzadkich tumanów kurzu. Nie zważając na zbliżających się jeźdźców, dzieci bawiły się niemal pod kopytami ich koni. Wrzeszcząc wesoło, kopaly toczące się po twardej glinie niby piłki.

– Uważaj! – Kane szarpnął za wodze i skręcił gwałtownie, kiedy mała dziewczynka przebiegła mu drogę, nierozważnie ścigając turlającą się piłkę. Wielki czarny ogier stanął dęba, wymachując groźnymi kopytami. Przerażone dziecko uciekło z piskiem.

– To generał Kane! – szepnęły podniecone głosy. – Doczekaliście się! Uciekajcie! – Banda dzieci rozproszyła się jak liście na wietrze.

Dziewczynka stała w miejscu – chciała zabrać piłkę, ale nie śmiała podejść, póki Kane nie uspokoił wierzgającego kopytami wierzchowca.

Kane'owi spodobała się jej odwaga, więc nachylił się w siodle i chwycił służącą za piłkę głowę za skudłone włosy. Od niechcienia popatrzył na zmasakrowaną twarz młodej kobiety, prawie nierozpoznawalną pod warstwą zakrzepłej krwi i błota. Nagie stopy dzieci prawie zupełnie zmiażdżyły ją w czasie zabawy.

Kane podał makabryczny przedmiot wyczekującej z niepokojem dziewczynce. Jej niebieskie oczy rozszerzyły się ze zdumienia, że ktoś tak ważny poświęca jej uwagę.

– Ta ma już chyba dość – powiedział do niej i wskazał na szereg głów wbitych na pale wzdłuż miejskiego muru. – Lepiej odnieś tę i weź sobie inną piłkę do kopania.

Każdego dnia wystawiano na pokaz głowy osób podejrzanych o brak wierności Ortedowi, a tym samym Sataki. Dzieci Shapeli szybko nauczyły się bawić tymi maka-brycznymi trofeami.

– Och nie, panie – odrzekła dziewczynka, z powagą przyjmując zmasakrowaną głowę. – Chcę zatrzymać tę. To moja mama.

W WIEŻY YLSLSLA

Ingoldi spoczywało pod zasłoną nocy przetykaną gwiazdami, które wydawały się zbyt bliskie i zbyt jaskrawe na tropikalnym nieboskłonie. Do poranka brakowało jeszcze godziny i ulice były opustoszałe. W domach za zamkniętymi drzwiami i okiennicami panowała cisza i nawet Obrońcy Sataki, specjalna policja Proroka, zdawali się spać o tej porze.

Końskie kopyta zastukały głucho w pustych ulicach. Jeśli ktoś obudził się słysząc ten dźwięk, czekał bez tchu, aż stukot kopyt ucichnie. Był to stukot kopyt wielkiego, czarnego ogiera, a nikt nie chciałby spotkać tego konia ani jeźdźca w tej samotnej, nocnej godzinie.

Kane, nie śpiąc w te noce, jeździł sam po pustym mieście, zatopiony we własnych myślach. Takie nocne wędrówki nie przynosiły mu ukojenia, bo Kane nienawidził Ingoldi.

Stolica Satakijczyków niewiele przypominała miasto, jakim była dwa lata temu. Trzecia część Ingoldi spłonęła rezultacie zamieszek na Targu Cechów; większość z tego, co ocalało, zburzono na rozkaz Proroka. Wspaniałe świątynie i posiadłości bogaczy zostały splądrowane i wywiezione po kawałku przez Satakijczyków.

W miarę jak hordy Proroka napływały do stolicy po kolejnych zwycięstwach, burzono stojące od wieków domy i budowle publiczne. W dzielnicach nagich gruzów Wyrastały, jak wielkie, bezkształtne grzyby, niezgrabne koszary i mieszkania komunalne. Malownicze place i wąskie, kręte ulice miasta znikły podczas przebudowy, zastąpione szerokimi drogami o geometrycznym układzie. Były to wojskowe szlaki maszerujących mas. Podmiejskie ogrody i wille zostały wdeptane w błoto i popiół, a na ich miejscu wzniesiono wysoki mur otaczający brzydkie nowe miasto i jego stłoczonych mieszkańców.

Dwa lata temu było to rozległe i leniwe miasto, ukształtowane przez stulecia sennych przemian. Dziś zabudowane zostało brzydkimi koszarami, które powstały by umacniać przemoc. Przypominały Kane'owi jakieś olbrzymie mrowisko, wzniesione tylko po to, by dać schronienie bezimiennym elementom maszyny do zabijania, służącej Prorokowi.

Nawet Ceddi, pradawnej cytadeli kapłanów Sataki, nie ominęły przemiany. Jej kruszące się kamienne mury i kanciaste wieże, stare już wtedy, gdy miasto Ingoldi zaczynało wyrastać w jej cieniu, aż wreszcie otoczyło ponurą fortecę, zostały rozebrane i zużyte na materiał budowlany. Z antycznych fundamentów wznosiły się teraz wyższe mury i potężniejsze umocnienia. Prostopadłościenne, pozbawione ozdób budynki i wieże zastąpiły zrujnowane iglice i starodawne budowle prastarej Ceddi. Tylko renowacje prowadzone przez Proroka pod ziemią, w tajnych lochach Ceddi nie miały znaczenia dla architektury miasta.

Kane znał to miasto i jego złowieszczą fortecę z dawnych czasów. Bolało go, kiedy widział architekturę minionych wieków zgniataną przez utylitarnego molocha, jakim jest Mroczna Krucjata. Poświęcenie życia niezliczonych ludzi było niczym dla Kane'a. Zniszczenie kamiennego muru, będącego obiektem, który mógł jeszcze stać, smuciło go dużo bardziej.

Kane nagle zadrwił z własnej melancholii. Widział przemijanie zbyt wielu ludzkich żywotów, zbyt wielu kamiennych murów, żeby pozwolić sobie na ponure rozmyślenia nad nimi tej nocy.

Zatrzymał konia. Oto była jedyna budowla, gdzie duchy minionych wieków spoczywały w spokoju. Stał przed nią teraz: przed wieżą Yslsla.

Czarna, kamienna wieża czekała tu od wieków, gdy kapłani Sataki po raz pierwszy pojawili się w Shapeli i wzniesli drewnianą palisadę Ceddi. Wreszcie dokopali się do zagrzebanej świątyni swego bóstwa i przywrócili kult przedludzkiego boga czy diabła, którego sekrety zostały objawione ich przywódcom. Ich legendy zawierały tylko mgliste wzmianki o wieży i o tym, czyje ręce ją wzniosły. O Yslslu pamiętano jeszcze mniej.

Mury wieży wznosiły się równie solidne i groźne dzisiaj jak i w tych odległych czasach. Budowniczości Ceddi włączyli wieżę do obszaru objętego ich palisadą jako redutę na wypadek ataków dzikich plemion zamieszkujących wielki las. Mimo iż rzadko nawiązywano do konkretnych opowieści wieża była obiektem niezliczonych ponurych pogłosek i niezdrowych zabobonów. Nigdy nie była zamieszkała ani nie używano jej choćby przez krótki czas, a kiedy palisada Ceddi została zastąpiona kamiennymi murami, Wieża Yslsla nie znalazła się w ich wnętrzu. Nie znalazła się również wewnątrz odnowionej linii fortyfikacji Proroka.

Nie próbowano rozebrać wieży na surowiec budowlany. A nawet, jeśli próbowano, nie powtórzyło się to więcej.

Znajdująca się w cieniu cytadeli Proroka, otoczona przez monotonne ule jego sług, Wieża Yslsla mimo to wyróżniała się, tak jak niegdyś w starym mieście, a jeszcze dawniej, w nieprzeżytym lesie. Cicha i ponura dumiała tej nocy, tak samo jak w nocie przed świtem ludzkości.

Wieża przyglądała się Kane'owi, a Kane przyglądał się wieży.

Wciąż niespokojny, jeździec zsiadł z konia. Anioł parsknął i odskoczył nerwowo od wieży. Kane przemówił łagodnie, głaszcząc ogiera po karku, póki zwierzę nie uspokoiło się. Wieża była otoczona kręgiem zniszczeń, pustym obszarem gruzów i zrujnowanych murów. Kane zostawił swego wierzchowca nie uwiązując go; Anioł będzie na niego czekał, i nikt nie ośmielił się podejść do ogiera.

Wieża była okrągła i najwyraźniej nie zwężała się ku górze. Wznosiła się na nieco ponad trzydzieści metrów, a jej średnica wynosiła być może jedną czwartą tego. Zbudowana była z masywnych bloków czarnego kamienia, przypominającego bazalt idealnie dopasowanych bez użycia zaprawy. Nawet po upływie nieprzeliczonych wieków miejsca złączeń uległy erozji nie większej niż na grubość ostrza miecza. Z wyjątkiem głęboko osadzonych wrót, murów nie znaczyły żadne okna ani inne otwory.

W minionym wieku, w czasie jednej ze sporadycznych prób wykorzystania wieży, wprowadzono tu drzwi – okute żelazem i zrobione z drewna poczerniałego i stwardniałego od upływu czasu. Satakijczycy wymienili żelazne zasuwki i usunęli śmieci z wnętrza, mając zamiar ponownie użyć budowli jako reduty. Jednakże, kiedy ukończono nowe umocnienia, wieżę Yslsla pozostawiono cieniom i kurzowi.

Drzwi otworzyły się pod naciskiem ręki Kane'a. Wszedł do środka. Wewnątrz panowała jeszcze głębsza noc, ale wydawało się, że przybyszowi to prawie wcale nie przeszkadza.

Wznoszące się znad nagiej ziemi spiralne schody pięły się w górę wokół wewnętrznej ściany. Były osobliwego kształtu – każdy stopień stanowił nieprzerwane przedłużenie ściany i wystawał na szerokość wystarczającą, by dwaj mężczyźni mogli się minąć z zachowaniem ostrożności. Niejednokrotnie próbowano wybudować podłogi na różnych piętrach wzdłuż ścian. Belki przegniły i zapadły się; ściany pozostały. Satakijczycy usunęli większość rumowiska, tak że Kane spoglądając w górę miał niczym nie przysłonięty widok do wnętrza wieży.

Nie podtrzymywane schody wznosiły się doskonałą spiralą. Jeśli ściany wewnętrzne zwężały

się ku górze, nie było to zauważalne. Mur miał grubość około metra i dwudziestu centymetrów przy wejściu. Stanowił gładką, przerywaną tylko schodami powierzchnię. Wysoko w górze błyszczał półokrąg światła gwiazd,

Kane niespiesznie wspinał się po schodach. Wchodził po nich już wiele razy, szedł więc z pewnością.

Na szczycie schody prowadziły do półokrągłej półki-podłogi w kształcie półksiężyca, która wydawała się zrobiona z jednego olbrzymiego kamiennego bloku. Mury wieży wznosiły się jeszcze na trzy metry, a potem raptownie urywały. Przez wieki różne władze twierdziły, że wieża musiała mieć dach i pomieszczenia wewnętrzne w czasach, gdy ją budowano – drewniane konstrukcje, które rozpadły się ze starości, tak jak zakończyły się późniejsze próby podobnego jej przyozdobienia. Tak musiało być, gdyż inaczej wieża nie służyłaby żadnemu racjonalnemu celowi. Jednakże wyjaśnienia dotyczące tego, jak jej budowniczowie wciągnęli ten gigantyczny półokrąg z kamienia na szczyt trzydziestometrowej wieży, były mniej zadowalające.

Wieża posiadała jeszcze jedną niezwykłą tajemnicę. Na wklęsłej ścianie u szczytu schodów, w miejscu, gdzie człowiek mógłby stanąć na półokrągłej półce, aby je podziwiać, znajdowało się ogromne, czarne słońce. Okrągły wzór rozciągał się od półki do szczytu ściany wieży i przypominał najbardziej stylizowany obraz słońca. Ten słoneczny dysk został wprawiony w kamienną ścianę, ale był raczej połyskliwy niż matowo czarny – obsydianowy, w odróżnieniu od bazaltu, chociaż podobieństwo do któregoś z tych kamieni wulkanicznych było powierzchowne. Niektórzy sugerowali, że został on wykuty z innego kamienia i przemyślnie wprawiony w ścianę; inni twierdzili, że było to osiągnięcie jakiegoś zapomniane-go procesu żarzenia i polerowania. Pomimo upływu czasu, na słonecznym kształcie nie było śladów zadrapań ani ukruszeń.

Powszechnie uważano, że Yslsl był bóstwem słonecznym. To była jego świątynia, a znak na ścianie miał być jego symbolicznym wizerunkiem. Było to wygodne wyjaśnienie, chociaż sceptycy twierdzili, że symboliczne promienie słońca za bardzo przypominają macki, i że zachowane jeszcze, niejasne legendy sugerują, jakoby Yslsl bynajmniej nie był bogiem słońca.

Kane, gdyby tylko miał ochotę, mógłby udzielić im ściślejszych informacji. Mógłby im powiedzieć, że ta wieża miała dokładny odpowiednik po drugiej stronie świata

– w kraju, którego mieszkańcy w podobnie głupi sposób usiłowali zagłuszyć ponure, wciąż krążące wśród nich legendy. Istnienia innych takich wież Kane mógł się tylko domyślać.

Tej nocy, kiedy Kane doszedł do półokrągłej półki zauważył, że nie jest sam.

Pod czarnym słońcem siedziała skulona smukła dziewczyna i śledziła jego zbliżanie się dziko rozwartymi oczyma. Kane popatrzył na nią z ciekawością. Trzymając sztylet tak, jakby wiedziała jak go użyć, ale Kane nie sięgnął po rękojeść miecza.

– Odłóż swoje żądętko – powiedział jej, nie chcąc mieć na wąskiej półce do czynienia z ogarniętą przerażeniem dziewczyną.

– Generał Kane, nieprawdaż? – syknęła dziewczyna nie ruszając się. – Dlaczego mnie śledziłeś?

Kane zaśmiał się. – Dlaczego ty czatujesz na mnie? Dziewczyna zastanowiła się przez chwilę. – Jeśli nie szedłeś za mną, cóż cię sprowadza do Wieży Yslsla?

– Jeśli nie jesteś zabójczynią, co robisz w Legowisku Yslsla? – odparł Kane.

– Na to łatwo odpowiedzieć. Przyszłam tu, żeby rzucić się w przepaść.

– Dlaczego więc obchodzi cię to, czy śledziłem cię. czy nie? Skacz i skończ z tym.

Zaśmiała się gorzko i schowała sztylet do pochwy. Oczy, pod opaską z jadeitowych paciorków, miały udręczony wyraz.

– Nie mam odwagi. Nigdy nie zdołam. Którejś nocy pośliznę się na stopniach i tak to się

skończy.

Kane wzruszył ramionami i wszedł na kamienną posadzkę. Dziewczyna odsunęła się, przyglądając mu się uważnie. Była ładna na swój sposób: chuda, ale nie krucha. Kane przestał na nią zwracać uwagę po jednym powierzchownym spojrzeniu. Szukał samotności, a ta dziewczyna przeszkadzała mu.

– Dlaczego nazwałeś to „Legowiskiem Ysłsla”?

Kane przyjrzał się jej. – Naprawdę chcesz wiedzieć?

W jego głosie zabrzmiała nuta, która wytrąciła ją z odrętwienia.

– Jasne, opowiedz mi. Przestałam się bać ponad rok temu w Gillera. – Mimo to wolałaby, żeby przestał jej patrzeć w oczy.

Kane dotknął czarnego znaku słońca. Pod palcami wy-dał mu się nienaturalnie zimny. – To jest brama – jeśli wiesz, jak ją otworzyć. A za tą bramą, Ysłsl czeka cierpliwie jak pajak w swoim legowisku.

– Co to jest Ysłsl?

– Coś w rodzaju demona – odpowiedział wymijająco Kane. – W twoim języku nie istnieje odpowiedni termin. Wyobraź sobie ten świat jako zaledwie jedną komnatę w wielkim zamku i pomyśl, że Ysłsl jest czymś odwiecznym i złym, co mieszka w sąsiednim pokoju – czymś chytrym, co znalazło sposób, by otworzyć niewielkie przejście w ścianie pomiędzy tymi pokojami. Tylko że nie może przyczołgać się do ciebie, więc musi czekać w swym legowisku, aż ty przyczołgasz się do niego.

– Ale dlaczego ktoś miałby próbować to zrobić? – zaprotestowała.

– Przypuśćmy, że wiedziałabyś, iż z Legowiska Ysłsla prowadzą drzwi do innych pokoi – pokoi pełnych bogactw i cudów, jakich nie potrafisz sobie wyobrazić w najśmielszych marzeniach – i że możesz wejść do tych pokoi. Jeśli przejdziesz obok Ysłsla.

– A co będzie, jeśli Ysłsl cię schwyta?

– Tego nikt nie wie – odpowiedział Kane. – Nikt nie wszedł z Legowiska Ysłsla.

Dziewczyna zadrzała, przejęta w równym stopniu dziw-ną tęsknotą w głosie Kaneli jak i jego słowami. – Czy potrafisz otworzyć te drzwi?

– Potrafię.

Znów zadrzała, patrząc w zamyśleniu na czarne słońce,

– Więc otwórz je dla mnie, Kane. Nie mam po co żyć.

– Nieskończenie lepiej byłoby, gdybyś zeskoczyła z tej półki i zginęła szybko, czystą śmiercią tam w dole, niż gdybyś miała przekroczyć te drzwi. Nie znajdziesz schronienia w Legowisku Ysłsla.

Dziewczyna przekłęta go, bowiem doszła do wniosku, że zadrwił sobie z niej, opowiadając tę wymyśloną historię.

– Nie znajdziesz również schronienia w objęciach śmierci! Tak mi przepowiadano – powiedział Kane z szorstką goryczą. – Tak mi przepowiadano – powtórzył.

Gwałtownie odwrócił się i pośpiesznie zbiegł po schodach. Dziewczyna wciąż jeszcze dziwiła się nagłemu gniewowi rozmówcy, podczas gdy stukot kopyt jego wierzchowca już ucichł w ciemnej dali.

XI

ŻAŁOBA JUTRA

- Pozbądź się go.
- Kane'a?
- On cię zniszczy.
- Nic mnie nie może zniszczyć.
- On zniszczy nas wszystkich.
- Nie bądźcie głupcami.
- Co wiesz o Kanie?
- Wiem, że Kane może poprowadzić moje wojsko do zwycięstwa.
- Twoje wojsko! To wojsko Kane'a.
- Głupcy! To moja armia. Ich wierność kupiono za moje złoto.
- Ale to Kane nimi dowodzi.
- A Kane słucha moich rozkazów.
- A jeśli Kane nie będzie posłuszny?
- Kane jest tylko człowiekiem. Można go zastąpić.
- Więc zrób to teraz.
- A kto poprowadzi moją armię do Sandotneri?
- Poprowadź ją sam.
- Głupcy! Czy bóg zajmuje się bitwami?
- Kane jest niebezpieczny. Nie możesz mu zaufać.
- Kane to tylko miecz, Będzie zabijać, gdy mu każe.
- Zwróci się przeciwko tobie.
- Kiedy to uczyni, znajdę inny miecz.
- Powinieneś pozbyć się Kane'a już teraz.
- Rozkazujecie mi? Głupcy! Bóg postępuje jak chce!
- A Kane? Nie możesz mu zaufać.
- Nie mogę? Nie marnujcie mojego czasu swym skomleniem.
- Kane nie jest tym, na kogo wygląda.
- Obchodzi mnie tylko to, czy Kane poprowadzi ju-tro moje wojsko na Sandotneri.
- A następnego dnia przeciwko tobie.
- Dopiero następnego dnia. Kane nie dożyje świtu.

Pokój pachniał perfumami i rozlanym winem, którego zapach unosił się na ciepłym wietrze znad róż pod otwartym oknem. Wewnątrz panowała ciemność i cicho falowały muślinowe zasłony. Noc była absolutnie spokojna, wyciszona przez wysokie, rzadkie chmury płynące po niebie. Nawet skrzypnięcie skóry na kamieniu nie zabrzmiało głośniejsz niż krótki oddech.

Rozkazał strażom odejść w inną część ogrodu i wtedy

pokonał mur. Czuł się jak tani złodziejasek i dureń, ale musiał z nią porozmawiać. Raporty szpiegów były fragmentaryczne i wysyłane w popłochu, ale wystarczająco jasne. Kane wracał do

Sandotneri i to nie sam.

Wspiął się z łatwością po ozdobnych gzymsach do balkonu. To była droga, którą przebywał w czasie wielu dusznych nocy i pamiętał ją dobrze, mimo upływu miesięcy. Powiedziała mu, żeby czekał, póki go nie wezwie, ale miesiące się dłużyły. To prawda, dyskrecja była niezbędna

– tym bardziej, że jej ojciec leżał w przedśmiertnej śpiączce. Zdawał sobie sprawę, że na jej imię nie może paść choćby cień niesławy.

Po cichu podciągnął się do okna balkonu. W środku było cicho; spała o tak późnej godzinie. Zawoła ją cicho po imieniu, tak jak wołał w tamte noce. Ona obudzi się z uśmiechem, podbiegnie do okna, jakby tańczyła i powita go długim, obiecującym pocałunkiem...

Wiedział, że to śmiałość tak się zakradać. Ona mu wybaczy, uśmiechnie się z powodu jego zuchwalstwa – tak jak dawniej. O świcie wyruszy na północ, jadąc na spotkanie Kane'a.

Może jej już nigdy nie zobaczy... Nie! Zwycięży Kane'a i armię, jaką Satakijczycy wysłali wraz z nim. Znów powróci do Sandotneri zwycięski. Życie Owrinosa wisiało już na pajęczej niteczce; to była kwestia godzin. Jej uśmiechy powitają jego zwycięski powrót i był już pewien, że dzięki temu nie będzie wątpliwości, kto zostanie następnym władcą Sandotneri. Ale najpierw musi porozmawiać z nią sam na sam...

Wsunął głowę za sennie wzdymające się zasłony w oknie i złożył wargi, by zawołać ją po imieniu. Wtedy rozstały się chmury, rzucając przez kołyszące się zasłony bladą plamę księżycowego światła na perfumowane jedwabie łoża. Zabrakło mu tchu i jedyny dźwięk, jaki się rozległ, był łomotem jego serca.

Nie spała jeszcze, lecz ani ona, ani jej kochanek nie byli teraz w stanie zauważyć zamartej maski bólu na twarzy mężczyzny, który spoglądał zza zasłony. Nie usłyszeli także głuchego łomotu jego spadającego do ogrodu ciała i błędnych oddalających się kroków.

Kane jedzie samotnie przez noc.

Dokąd zmierzasz tej nocy?

Jutro poprowadzisz wojsko drogą podboju.

Tej nocy nie ma dla ciebie odpoczynku, Kane.

Nocą dręczą cię odwieczne sny;

Sen nie daje ci schronienia.

Za dnia prześladowuje cię przekleństwo tej przeszłości;

I tak prowadzisz swoje gry.

I znów powiedzisz wojsko drogą śmierci;

I znów będziesz niszczyć miasta i zbierać krwawe żniwo;

I znów będziesz przeklinać bogów przeznaczenia;

Zmieniając losy królestw,

By prowadzić swą grę.

Który to już raz?

Ile było nocy, po których świt przynosił wojnę?

Iloma armiami dowodziłeś?

Ile bitew stoczyłeś?

Ile razy rozerwałeś pajęczynę przeznaczenia?

I czy kiedykolwiek wygrałeś?

Jedź samotnie przez noc,

Jak kometa, która przybywa i niszczy,
By odlecieć dalej.
Graj w tę grę do końca, Kane.
Może tym razem osiągniesz swój cel.

KRWAWY CHRZEST

Maszerując na południe od Ingoldi, Kane prowadził armię dopiero co ukończonym na potrzeby wojska systemem dróg, które przecinały leśne państwo Proroka. Stare drogi i szlaki handlowe zostały poszerzone i wyprostowane; wyrąbano również nowe. Gęste lasy Shapeli stanowiły naturalną zaporę dla armii najeźdźców, lecz jednocześnie nie można było wyprowadzić stamtąd wojska w jakimkolwiek porządku. Korzystając z suchej pory, Kane pośpiesznie przeprowadził swoich ludzi przez Shapeli nowymi szlakami, aż do krawędzi puszczy. Za lasem nie było dróg, tylko nie kończąca się przestrzeń spalonej słońcem sawanny.

Kane zatrzymał się w Sembrano na skraju puszczy, aby uformować pułki i poczekać na tabory. Tamże, drugiego dnia, przyłączyło się do niego dwadzieścia pułków piechoty zebranej z twierdz Satakijczyków, na południe od Ingoldi. Następne dziesięć pułków piechoty zostało rozesłane wzdłuż trasy przemarszu, aby zabezpieczyć drogę na wypadek wycofywania się i pościgu; Kane nie miał zamiaru zostawiać otwartych drzwi do stolicy Proroka. Samo Shapeli było bronione przez czterdzieści pułków piechoty, stanowiących większość niezawodowej armii Proroka, a na wypadek oblężenia mogły ich wspomóc kiepsko uzbrojone i wyposażone masy pospólstwa.

Los Mrocznej Krucjaty zależał od zwycięstwa Kane'a i jego nowo utworzonej armii. Gdyby Miecz Sataki został złamany przez Sandotneri, Orted wiedział, że naraziłby się wtedy na odwet królestw południowych. Prorok Sataki nie opuszczał więc swej cytadeli i oczekiwał na wynik najazdu Kane'a.

Kane przybył do Sembrano na czele całego swego najemnego wojska, wraz z tymi spośród Satakijczyków, którzy nadawali się do wyszkolenia w wystarczającym stopniu, by uzupełnić jego konne pułki. Dawało to Kane'owi siłę ośmiu pułków ciężkiej kawalerii i dwudziestu jeden lekkiej, czyli prawie trzydziestu pięciu tysięcy ludzi. Ciężka kawaleria składała się niemal całkowicie z kondotierów, którzy przywieźli ze sobą zasadnicze wyposażenie oraz umiejętności. W szeregach lekkiej kawalerii zbyt wielu było Satakijczyków – niewypróbowanych i nie znających smaku krwi – jak na gust Kane'a, ale ufał, że jego grupa doświadczonych wojowników utrzyma te pułki razem. W skład lekkiej konnicy wchodziło również siedem pułków konnych łuczników – także głównie najemnych, jako że Satakijczycy kiepsko strzelali z łuków.

Oto był więc Miecz Sataki, niespójna armia zaprawionych zawodowców i nie znających wojny rekrutów. Kane zajął się jego wykuciem. Już wkrótce sprawdzi, czy został dobrze zahartowany, próbując go w starciu ze znanym mu ostrzem Sandotneri.

Kane doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że atak z zaskoczenia na samo Sandotneri jest niemożliwy. W tej chwili wywiad Jarvo powinien już zawiadomić sandotnerskiego generała o obecności Kane'a w Shapeli i o tym, że do granicy zbliża się znaczny oddział opancerzonej kawalerii. Kane wiedział, że Jarvo będzie musiał sprowadzić własną konnicę, żeby poradzić sobie z satakijским zagrożeniem. Zamiary Kane'a były proste: zmierzyć się z wojskiem Sandotneri i zniszczyć je – co uczyni miasto podatnym na oblężenie przez masy pieszych żołnierzy Proroka, którzy będą

mogli pomaszerować na Sandotneri bezpiecznie.

Na skutek nalegań Proroka Kane'owi towarzyszyło dwadzieścia pułków piechurów, ściągniętych z odległych miast Shapeli, co dawało mu – przynajmniej na papierze dodatkową siłę dwudziestu czterech tysięcy żołnierzy. Kane uważał te pułki za obciążenie, bowiem będą tylko zwalniać tempo posuwania się jego konnicy. Ordet twierdził, że posłużą one za oddziały okupacyjne, które będą oblegać Sandotneri. Kane ustąpił w tej kwestii. I tak miał zamiar maszerować wprost na miasto, aby zmusić Jarvo do otwartej bitwy, a w tych okolicznościach strata kilku dni w czasie przekraczania granicy nie miała większego znaczenia. Osobiście Kane miał zamiar zostawić piechurów na pastwę losu, gdyby ich opieszałość mogła zagrozić konnicy, a fakt, iż Ordet nie rzucił do ataku swoich osobistych oddziałów, sugerował, że Prorok nie zawaha się poświęcić kolejnej liczby

swoich wyznawców.

Wojna w otwartej sawannie przypominała bitwy na pełnym morzu. Szeroki step rozciągał się na przestrzeni niezliczonych mil bez żadnych znaczących naturalnych przeszkód; nie istniały stanowiska obronne, które można byłoby zająć od flanki. Zajmowanie obszernych przestrzeni trawiastej równiny nie miałyby zresztą sensu; nie można byłoby ich utrzymać, a rozproszenie placówek utrudniałoby zachowanie ciągłości dostaw żywności i przepływu informacji. Co więcej, o ile nie brakowało pokarmu dla koni, żywność dla żołnierzy można było zdobyć wyłącznie w gospodarstwach rolnych rzadko rozsianych posiadłości. Woda była tylko w nielicznych studniach i zdradzieckich podmokłych łąkach, w których kryły się okoliczne rzeki i strumienie.

Sawanna była nieograniczonym morzem wysokiej trawy, po którym szybko płynęły konne wojska jak wielkie, zbrojne flotylle. Szybkość i siła uderzenia liczyły się najbardziej. Tu, tak jak i w wielkiej bitwie morskiej, działania wojenne polegały na błyskawicznej walce między silnie opancerzonymi i wysoce ruchliwymi oddziałami. Celem było zniszczenie wojsk przeciwnika, aby dać dostęp do wrogiego królestwa armii najeźdźców.

Piechota nie posiadała ruchliwości, jakiej wymagała ta taktyka. Bez wsparcia piesi żołnierze nie byli w stanie również wytrzymać uderzenia ciężkiej kawalerii. Przy braku fortyfikacji czy naturalnych zapór, wojsko, które nie mogło równać się szybkością manewrom z armią wroga, mogło natomiast zostać szybko zaskoczone z flanki leczone. Sawanna to rozległy obszar samotnej pustki; pochłaniał on całe wojska, tak jak morze pozera całe flotylle.

Kane opuścił Sembrano przed wczesnym, letnim świtem, ruszając wzdłuż szeregu wodopojów prowadzących do Sandotneri. Zamierzał zmierzyć się z armią Jarvo możliwie najszybciej, a bezpośredni marsz na miasto z pewnością wymusi to spotkanie. Ciężka zbroja płytowa nie chroniła od upalnego słońca, więc Kane miał zamiar zaatakować, zanim jego ludzie nie będą zbyt wyczerpani, by walczyć.

Miecz Sataki posuwał się za ciasną zaporą kawalerii, składającą się z sześciu pułków lekkiej konnicy krążącej po froncie mniej więcej dziesięciomilowej szerokości, z patrolami oddalonymi o pięć mil od wojsk kontaktowych. Następnie dwa pułki lekkiej konnicy osłaniały flanki. Za zasłoną główna masa wojska poruszała się dwoma kolumnami, z których każda składała się z trzech pułków lekkiej jazdy, następnie czterech ciężkiej i jeszcze trzech lekkiej. Za nimi toczyły się ociężałe tabory i łykając kurz tradycyjnie podążało za kawalerią dwadzieścia pułków piechoty. Ostatni oddział lekkiej kawalerii spełniał rolę tylnej straży,

Porządek marszu był ścisły, bo Kane spodziewał się ataku Jarvo i chciał, by jego oddziały były skupione, aby można było je natychmiast rozesać na stanowiska, gdy tylko zwiadowcy natkną się na

armię Sandotneri, Był przygotowany na poświęcenie taboru, jeśli zajdzie potrzeba – był on przydatny głównie z powodu obecności wojsk pieszych – kolumna pieszych interesowała go tylko o tyle, o ile nie zagrażała drogi manewrującej konnicy.

Podwójna kolumna posuwała się za osłoną konnicy uporządkowanym szeregiem, długim na mniej więcej milę, a ostatni piechurzy ciągnęli się mniej niż milę z tyłu. Pomimo głośnych protestów nowo zaciągniętej piechoty Proroka, Kane zmusił ją tego dnia do przemaszerowania dobrych dwudziestu pięciu mil, aż do Studni Charia.

Tamtejszy garnizon Sandotneri był już przekupiony przez Kane'a, więc ten mały posterunek skapitulował bez walki, Kane rozłożył się tam z obozowiskiem na noc, starannie rozmieszczając czujki i strażę.

Jeszcze przed świtem następnego dnia kolumny wyruszyły znowu w tym samym szyku marszowym. W miarę jak upływał dzień i narastał upał, pojawiły się przypadki dezercji wśród piechurów. Kane rozkazał tylnej straży ciąć szablami wszelkich maruderów, co zniechęcić powinno następnych do podobnych prób. Kane nie miał z nich żadnego pożytku, ale nie chciał, żeby wpadli w ręce Jarvo i odpowiedzieli mu, co wiedzą o jego planach.

Kane zmusił ich do przebycia dalszych dwudziestu mil tego dnia – było to niespieszne tempo dla kawalerii, chociaż surowa piechota miała poważne kłopoty z do-trzymaniem kroku. Tej nocy obozowali przy Źródle Tregua; małej wiosce, której nieliczni mieszkańcy uciekli przed nimi. Noc minęła spokojnie, a rano czujki wciąż nie donosiły o zetknięciu z armią Jarvo.

Trzeci dzień marszu ciągnął się nie obfitując w wydarzenia. Mniej było dezercji i skarg. Znajdowali się już na terenie Sandotneri, a każda mila zbliżająca wojsko do bitwy zwiększała napięcie i podniecenie. Tego dnia pokonali następne dwadzieścia mil i rozłożyli obóz przy Studniach Adesso. Niegdyś był tam spory posterunek wojsk, ale zwiadowcy zbliżywszy się odkryli, że jest on od nie-dawna opuszczony.

Kane podwoił strażę tej nocy zakładając, że Jarvo już wie o jego pozycji i wycofał wszystkie garnizony z granicy, aby wesprzeć główną część swojej armii. Do Sandotneri pozostało tylko czterdzieści mil – jeden dzień forsownej jazdy dla konnicy. Jarvo będzie musiał ruszyć już wkrótce.

Około północy podnieceni zwiadowcy donieśli Kane'owi, że obóz wroga znajduje się jakieś dziesięć mil na południe od ich linii marszu, w wiosce Meritavano. Generał z Sandotneri zbierał wojsko w promieniu dnia jazdy od miasta. Nie spodziewał się takiej szybkości wojsk przeciwnika i dopiero tego dnia wyruszył na pole walki, by zatrzymać natarcie Satakijczyków.

Potem raporty napływały szybko. Jarvo był pewien zwycięstwa i miał powody, aby tak uważać. Jego wojsko odniosło minimalne straty w czasie rzezi hordy Satakijczyków w zeszłym roku. Siły Sandotneri były tym razem większe – raporty donosiły, że składały się z dwudziestu czterech pułków lekkiej jazdy i sześciu pułków ciężkiej.

Jarvo był świadom, że Kane prowadzi znaczną liczbę konnych, ale mimo wszystko była to niejednolita armia, nie wypróbowana w boju. Szpiegzy przekazali tylko informacje o jej przybliżonej sile, a zasłona konnicy Kane'a skutecznie ukryła charakter jego wojsk, Zwiadowcy Jarvo widzieli ciągnące się szeregi piechoty i ciężkie, niezdarne wozy taboru sprawiające wrażenie, że armia Sataki składa się z masy pieszych, wspartych przez kilka rozproszonych pułków lekkiej konnicy. Wiedziano, że Kane ma pod swym dowództwem ciężką konnicę, ale jako że była ukryta we wnętrzu kolumny, jej siły poważnie nie doceniono. Rok temu Prorok nie posiadał opancerzonych oddziałów; sądzono więc, że od tamtej pory nie mógł, w najlepszym wypadku, zgromadzić ich więcej niż jeden pułk.

Kane dobrze znał Jarvo. I wiedział, że jest on pewny zwycięstwa.

Wyruszył więc przed świtem. W czasie, gdy wznoszące się słońce suszyło lekką rosę na sennym stepie, obie armie stanęły naprzeciw siebie. Godzina krwawego chrztu zbliżała się nieuchronnie.

Jarvo już uformował swe szeregi i wyruszył. Zamierzał spaść na Studnie Adesso i otoczyć armię Satakijczyków w chwili, gdy będzie ona usiłowała zaatakować. Jego strategia była rozsądna, oparta na informacji, że armia najeźdźców składa się głównie z piechoty, symbolicznie tylko wzmocnionej konnicą. Jarvo nie wyciągnął ostrzegawczych wniosków z szybkości posuwania się jednostek Kane'a, gdyż uważał, że nie ma powodów, by przypuszczać, iż to wojsko jest lepiej wyszkolone niż tamto, które Prorok posłał na rzeź w zeszłym roku.

Generał Sandotneri był nieco zaniepokojony szybko zbliżającą się chmurą kurzu, pędzącą ku niemu od strony północnego horyzontu. Wciąż nie tracąc pewności siebie, Jarvo szybko rozstawił swoje oddziały – sześć pułków konnych łuczników w pierwszym szeregu, wspartych przez ciężką konnicę tworzącą centrum, sześć pułków lekkiej kawalerii na każdym skrzydle, a pozostała lekka jazda tworzyła rezerwę za centrum.

Pole bitwy było monotonnym obszarem sawanny, której nie psuła żadna naturalna przeszkoda ani żadne umocnienia. Mógł to być – równie dobrze – żółty dywan rozłożony na podłodze jakiejś olbrzymiej komnaty o niebieskim sklepieniu. Równina wznosiła się niedostrzegalnie na północnym horyzoncie, a opadała ku podmokłym terenom poniżej Meritavano, kilka mil na południe. Jarvo uważał, że nie ma to znaczenia.

Natarcie Satakijczyków zasłaniał lekki obłok kurzu, tak że Jarvo nie mógł wyraźnie dostrzec nic poza pierwszymi szeregami. Wydawało mu się, że Kane rozproszył swe wojska wzdłuż zbyt szerokiej linii, a przypuszczał tak, bowiem zasłona kawalerii wroga nie cofnęła się jeszcze do głównych szeregów piechoty.

Nie mając zamiaru dać przeciwnikowi czasu na naprawienie tego błędu, Jarvo wydał pierwszemu szeregowi swoich łuczników rozkaz do ataku.

Brutalną twarz Kane'a wykrzywił tygrysi uśmiech. Kane znał siłę szeregów Sandotneri równie dobrze jak Jarvo i wiedział, że jego armia jest lepsza – jeśli będzie walczyć. Podczas gdy inny człowiek mógłby czuć się wyprowadzony z równowagi przez fakt, że walczy z żołnierzami, którymi poprzednio dowodził, dla Kane'a nie było to nic nowego.

W tym momencie fronty dwóch armii dzieliła odległość mniej więcej mili i obie strony zbliżały się w marszowym tempie. Kane ustawił swoje kolumny w szeroki półokrąg, umieszczając łuczników na obu flankach, a pozostałe czternaście pułków lekkiej konnicy ustawił w dwóch szeregach na froncie. W trzecim szeregu znajdowało się osiem pułków jego ciężkiej kawalerii, trzymanej jako rezerwa do chwili, gdy Jarvo rzuci do walki swoich pancernych. Gdzieś z tyłu piechota utworzyła pięć maszerujących kwadratów najeżonych na obrzeżach pikami i berdyszami.

Kiedy konni łuczniczy Jarvo oderwali się od czoła sił Sandotneri, Kane dał znak swoim łucznikom, by zaatakowali z boków, gdyż doszedł do wniosku, że jest to próbny atak wroga prawdopodobnie mający na celu zbadanie sił Satakijczyków. Konserwatywny z natury Jarvo posługiwał się tą samą strategią, dzięki której pokonał Satakijczyków w pierwszej bitwie.

To posunięcie świadczyło o jego pogardzie dla armii Sataki. O ile łuczniczy mogli zebrać obfite żniwo ofiar wśród niedostatecznie osłoniętych piechurów, dla kawalerii mogli być tylko dokuczliwi. Bezpośrednie trafienie lekką strzałą o żelaznym grocie mogło przebić kolczugę, ale nie stalową zbroję płytową ciężkiej kawalerii. Z drugiej strony, wierzchowce lekkiej konnicy nie miały zbroi, które chroniły konie opancerzonych pułków. Grad strzał mógł popsuć szyki okaleczając i płosząc konie, więc Kane szybko postanowił temu zapobiec.

Poprzedzane przez czarny deszcz śmierci, dwie armie splotły się ze sobą na żółtej równinie.

Łuczników Kane'a można było rozpoznać z odległości po czarnych szarfach i noszonych na ramionach szerokich opaskach z czerwonego płótna z czarnym znakiem Sataki. Kane zauważył sardonicznie, że wyglądało na to, iż Jarvo rozkazał całej armii Sandotneri nosić swoje błękitne szarfy.

Szarżujący łucznicy wirowali w wysokiej trawie jak niezliczone trąby powietrzne. Było to błyskawiczne starcie – na obu frontach pustoszały siodła, choć częściej jeździec walił się na ziemię wraz z koniem. Łucznik tradycyjnie nosił dwadzieścia cztery strzały w swym kołczanie. W takim terenie każdy z nich potrafił wystrzelić sześć celnych strzał w ciągu minuty – a nawet więcej, jeśli wymagały tego okoliczności. Kołczany opróżniano w ciągu kilku minut; potem pozostawało albo wrócić do szeregów, albo zbierać pociski z pola walki.

Obie strony poniosły umiarkowane straty, jednakże dalekie od unieruchomienia armii. Siły Kane'a były przeważające, a szarża Sandotneri nie przeniknęła do wnętrza jego wojsk. Konni przeciwnicy strzelali do siebie dopóki nie opróżnili kołczanów, a potem wycofali się do swoich powoli zbliżających się szeregów. Było to nagłe, nie decydujące o niczym starcie, które przypominało zasłonę błyskawic, poprzedzającą zbierającą się na horyzoncie burzę.

Rozgniewany zwłoką Jarvo, nie mogąc już doczekać się objęcia dowództwa w bitwie, rozkazał swej ciężkiej kawalerii szarżować na środek szeregów⁷ Kane'a i jednocześnie posłał pułki lekkiej konnicy na spotkanie obu rogów półkolistego szeregu zbliżającej się armii wroga, aby osłaniać swe flanki. Powracający łucznicy przemknęli obok flank, żeby ruszyć do ponownego ataku wraz z rezerwą. Rezerwa miała iść jako druga fala uderzeniowa i wejść wtedy do walki, gdy tylko załamałyby się szyki Sandotneri.

Jarvo planował przerwać szeregi konnicy – w ten sposób przecinając linię bojową Kane'a na dwie części – dostać się do pozbawionej wsparcia piechoty na tyłach. Był to dobry plan – założywszy, że konnica wroga zostanie zepchnięta na ogarnięte paniką masy pieszych. Jednakże tumany kurzu zasłaniające front przeciwnika ukrywały również fakt, iż piechota była daleko na tyłach – a tuż za szeregami lekkiej konnicy czekał Kane z ośmioma pułkami ciężkiej kawalerii.

Szarża Sandotneri pędziła z grzmotem ku Mieczowi Sataki, rozpędzając przed sobą wycofujących się łuczników Kane'a, tak jak olbrzymia fala pcha przed sobą pianę.

Kane z grzbietu swego ogiera rzucał rozkazy heroldom. Adiutant podał mu kubek wódki. Kane opróżnił go jednym haustem i z dzikim śmiechem zgniótł go w opancerzonej dłoni. Spuściwszy zasłonę przyłbicy, podniósł kopię i ruszył szybkim kłusem.

Wzdłuż całego półokręgu rozbrzmiały głosy trąb, przekazując polecenia Kane'a w tumanach kurzu przesłaniających sztandary bojowe. Oficerowie wykrzykiwali rozkazy w pogłębiającym się huku setek tysięcy kopyt.

Pierwszy i drugi szereg lekkiej konnicy, jadący kilkaset metrów przed ciężką kawalerią Kane'a, nagle rozdzielił się w środku i skręcił w stronę prawego i lewego końca półokręgu. Kiedy otworzyła się przestrzeń, przejechały tamtędy wycofujące się pułki łuczników, mijając otwarte szeregi opancerzonej trzeciej linii, aby ponownie utworzyć szyki na tyłach. Kiedy łucznicy przemknęli na tyły, a otwór na środku poszerzył się, trzecia linia Kane'a zacieśniła szyki i ruszyła do ataku. Kane wyprowadził swoją opancerzoną konnicę w kłębach żółtego kurzu na otwartą sawannę.

Blisko dziesięć tysięcy stalowych grotów, kopii błysnęło w słońcu jak nagły grymas głodnego rekina. Z przerażeniem Jarvo dowiedział się, że wpadł w pułapkę Kane'a. Nie było odwrotu.

Ziemia zadrżała pod ich szarżą. Dudniące kopyta – niosące masywny ciężar opancerzonego wojownika i stalowej końskiej zbroi – rozrywały ubitą ziemię i wzbijały na suchej glebie niezliczone tumany kurzu i rozpryskujących się kamieni.

Armie przeciwników pędziły na swe spotkanie jak dwie potworne lawiny iskrzącej się stali

oraz napierających mięśni i kości – teraz już rozrywając ziemię, ogarnięte szaleństwem i zabijaniem.

Kiedy szarża przeszła w pełny galop, mniej niż mila dzieliła dwa szeregi ciężkiej kawalerii. Pod grzmącymi kopytami wierzchowców kurczyła się dzieląca ich odległość. Czas zamarł w upiornym bezruchu pod naporem przestrzeni. Sekundy stały się nie mającymi znaczenia odłamkami wieczności. Czas był nierealny.

Zamknięci w stalowych wszechświatach: wzrok skupiony na szeregu kopii widniejących w przodzie, słuch otępiony ogłuszającym tętentem kopyt, węch stępiony przez zakurzony upał, język zdrętwiały od napięcia, a jedyne uczucie to wrażenie pędu na oślep. Co wie meteor o czasie w chwili ognistego upadku?

Stal i przestrzeń... i czas?... są teraz.

Dźwięk to rozrywająca się stal, wściekłe okrzyki gniewu i bólu. Śmierć wybuchającego wulkanu, który wypływał swą ognistą krew w lodowate morze. Dwie fale stali zderzają się. Czas przestał płynąć; przestrzeń znieruchomiła. Stal jest wszystkim.

Stal o stal. Mięśnie i kości kierujcie nami, i niech stal nas chroni! Stal o stal!!

Kopie uderzają w twarze i zbroje: stalowe groty wbijają się i ześlizgują, drewniane drzewce drżą i pękają. Zderzyli się ze sobą jak zębate szczęki jakiegoś niewyobrażalnego, olbrzymiego potwora. Zwarli się z opętańczą furją, która kruszy i roztrzaskuje swe nie kończące się rzędy błyszczących kłów.

Ręczna broń była niemal bezużyteczna przeciw zbroi płytowej. Pchane przez pędzącą masę stali i ścięgien, grot kopii w kształcie liści mogły przebić stalową zbroję człowieka lub konia z morderczym skutkiem. Nawet jeśli grot kopii ześliznął się albo pękło drzewce, często samo zderzenie było zabójcze – zrzucało opancerzonego przeciwnika z siodła w pełnym galopie. Gdyby wysadzony z siodła wojownik przeżył upadek, to tak potworny ciężar zbroi mógł go przygnieść i zostawić bezbronnym. Uderzenie kopii nie stanowiło jednak zagrożenia wyłącznie dla ugodzonego jeźdźcy – niedoświadczony kopijnik mógł zostać wyrzucony z siodła przez ten sam impet, który obalił jego przeciwnika, ponieważ uchwyt przekazywał dużą część wstrząsu na przytrzymującą kopię, przymocowaną do prawej części napierśnika filcową podkładką.

Kane przedostał się na czoło swej szarży. W czarnej zbroi płytowej, wykutej specjalnie, by dopasować ją do jego masywnej sylwetki, budził podziw i lęk. Jego czarny ogier zakuty w podobną stalową zbroję, zdawał się spienionym demonem o żelaznych kopytach. Jego ludzie wiedzieli, że on nimi przewodzi, szli więc za nim do piekła bez zastanowienia.

Głuchy grzmot dudniących kopyt – a potem chwila zderzenia. Nagle w tej zacieśniającej się otchłani przestrzeni bez czasu ktoś wymierzył swoją kopię w Kane'a; ten uderzył swym drzewcem broń przeciwnika i poczuł, jak ześlizguje się ona nieszkodliwie po stalowym naramienniku. Potem grot jego kopii uniósł się, prześliznął obok tarczy przeciwnika i trafił w spojenie pomiędzy przyłbicą a obojczykiem. Uderzony z impetem jeździec Sandotneri wypadł z siodła, łamiąc sobie kark.

Szczęk jego upadku nagle zabrzmiał echem wzdłuż całej linii walk – ostry protest stali zagłuszył basowy łomot kopyt, gdy zderzyły się dwa szeregi.

Kane, którego kopia zatrzymała się w walce tylko na moment, przejechał galopem obok postaci podobnej do stalowej marionetki, której podcięto sznurki. Już mierzyło w niego następne drzewce; Kane zasłonił się swą lancą; grot wrogiej broni natychmiast zniżył się i trafił jego ogiera. Wypukły napierśnik zatrzymał ostrze. Kopia Kane'a ześliznęła się z tarczy przeciwnika i uderzyła jeźdźcy Sandotneri prosto w pierś. Stalowy grot kopii przebił napierśnik, pierś i naplecznik. Wbity na lancę Kane'a wojownik zawisł na chwilę nad siodłem – dopóki nie pękło drewniane drzewce.

Kane zaklął i rzucił złamaną połową kopii w trzeciego zbliżającego się kopijnika. Uskakując na bok, odbił lancę wroga tarczą i w tej samej chwili jego złamana kopia podcięła nogi szarżującego konia przeciwnika. Wierzchowiec kawalerzysty Sandotneri potknął się – w pełnym galopie, z podwójnym ciężarem ciężkiej zbroi i jeźdźca, nie miał szans na odzyskanie równowagi. Koń wraz z jeźdźcem zwałili się na ziemię, a Kane przejechał obok, wyciągając ciężki topór bojowy z uchwytu przy siodle.

Wznosząc topór, Kane zauważył kolejnego kopijnika pędzącego w jego stronę. Obrócił się i zatrzymał grot kopii swoją tarczą. Drzewce pękło od wstrząsu, a Kane uderzył plecami o wysoki, tylny łęk siodła. Napastnik z dużą trudnością utrzymał się w siodle. W chwili starcia Kane zatoczył morderczy łuk swoim toporem. Ciężki kolec topora przebił szczelinową zasłonę przyłbicy wroga. Kane pociągnął za drzewce, które niemal wysliznęło mu się z rąk w chwili, gdy ich konie mijaly się w pędzie. Bryznął mózg i kolec został wyrwany.

W tym momencie szarżujący Kane znalazł się już za liniami Sandotneri. W drugim szeregu znajdowała się nieliczna lekka jazda, ale na razie nie zwracał na nią uwagi. Szarpiąc wędzidło, zdołał zawrócić Anioła w prawo, powstrzymując w ten sposób jego szalony galop. Miał chwilę spokoju, by zaczerpnąć tchu i rozejrzeć się po spowitym w tumany kurzu polu walki. Szarża Sandotneri roztrzaskała się o jego opancerzone pułki. Większość walczących wojowników straciła już kopie i biła się toporami, buzdycanami i korbaczami. Tu i ówdzie Kane widział, że poszły w ruch wielkie dwuręczne miecze – ciężkie brzeszczoty, które miażdżyły, nawet jeśli ostrza nie mogły przebić stalowych płyt.

Odgłosy bitwy przypominały dźwięki piekielnej kuźni. Była to ogłuszająca kakofonia brzęku stali, dudnienia kopyt, zderzania się ciał, okrzyków wojennych i wrzasków śmiertelnego bólu. Kurz i grudki ziemi wirowały w powietrzu niczym żółta zamieć.

Za zmagającą się masą ciężkozbrojnych toczyła się bitwa lekkiej konnicy, niczym burza z błyskawicami szabel i odgłosami grzmotów dudniących końskich kopyt. Pułki lekkiej kawalerii odsunęły się od opancerzonych przeciwników, bowiem szable wymierzone w konie i jeźdźców zakutych w zbroje nie mogły niczego zdziałać, a kolczugi nie stanowiły żadnej ochrony przed miażdżącą bronią ciężkiej kawalerii.

Kurz przesłaniał szczegóły bitwy, ale Kane dostrzegł, że rogi jego półkolistej formacji wzmocnionej przez lekką konnicę, która właśnie zjechała z czoła na flanki, objęły całe natarcie Sandotneri. Wojsko Jarvo zostało otoczone. Bitwa była teraz jedną wielką bezpośrednią walką, a Kane miał przewagę liczebną. Jediną nadzieją Jarvo na uniknięcie całkowitego zniszczenia było wydostanie się z pułapki Satakijczyków i przegrupowanie ludzi w celu zorganizowania odwrotu.

Teraz Kane zobaczył, że kwadratowe formacje piechoty zbliżają się ostrożnie, by włączyć się do walki. Natarcie Satakijczyków parło do przodu mimo szarży Sandotneri, przenosząc bitwę poza początkową linię starcia. Stratowana ziemia była zasłana ciałami w zbrojach i kolczugach. Wielu z tych żołnierzy żyło jeszcze, byli jednak przygnieceni ciężarem swych pancerzy i powalonych wierzchowców. Piechurzy rzucili się na nich, bezlitośni jak szakale, aby wbijać sztylety i mizerykordie w kolczugi i spojenia w zbrojach, miażdżyć młotami i toporami hełmy i napierśniki.

Kane miał tylko nadzieję, że w tym zapale ci prostacy zdołają odróżnić swego od wroga.

Członkowie osobistej straży Kane'a brnęli przez chaos stali i zmagających się ciał, i wkrótce zgrupowali się wokół generała, czekając na nowe rozkazy. Bitwa znalazła się poza granicami strategii – był to spieniony wir indywidualnych pojedynków i walk wręcz. Kane wysłał kilku adiutantów, aby rozkazali piechurom pomóc dosiąść koni wszystkim Satakijczykom, którzy mogli jeszcze walczyć, a potem sam ruszył do boju.

Topór i tarcza. Młot i maczuga. Nie używano już kopii – starcia były zbyt bliskie, by nimi władać. Niektórzy z opancerzonych wojowników wjechali pomiędzy oblężonych jeźdźców lekkiej konnicy i w wirze walki wgrzyzali się w nich niczym groteskowe, stalowe rekiny. Otoczona przez półksiężyc Satakijczyków kawaleria Sandotneri nie mogła manewrować. Konie rżały i stawały dęba, zderzając się z innymi, bo ich jeźdźcy nie byli w stanie zapanować nad spłoszonymi wierzchowcami. W tym ścisku nie było miejsca, żeby bronić się przed zaciskającym się jak stryczek kręgiem Satakijczyków.

Armia Satakijczyków nie przewyższała w dużym stopniu liczebnie wojsk Sandotneri na początku bitwy, ale Jarvo w swym zarozumiałstwie popełnił dwa niewybaczalne błędy. Pozwolił zejść się z obu flank i nie zatrzymał wystarczających rezerw.

Kane jeździł i obserwował chaotyczną już bitwę, starając się dostrzec Jarvo. Tumany kurzu gęstniały z upływem każdej minuty, zasłaniając pole walki duszącą kurtyną. W tej żółtej mgle Kane widział nie dalej niż na odległość dwudziestu metrów. Bitwa toczyła się na obszarze kwadratowej mili zrytej ziemi i okaleczonych ciał, a wróg wymykał mu się w tym wirze, który zostawiał za sobą pole zasypane coraz liczniejszym pokłosem śmierci.

Nie brakło zajęcia i w pobliżu. Mający w żółtym mroku, zakuty w czarną, pokrytą teraz kurzem i obrzyganą krwią zbroję, Kane wyglądał jak bóg wojny krążący wśród swych świętujących czcicieli. O ile jego obecność w samym centrum walki podnosiła na duchu jego ludzi, o tyle ściągała również desperackie ataki otoczonego wroga. Gdyby Kane padł, byłaby jeszcze nadzieja na zwycięstwo.

Kane władał swym toporem bojowym jakby to była różdżka śmierci, rozrabując tarcze i pancerze szerokim ostrzem, a grubym kolcem po drugiej stronie przebijając napierśniki i przyłbice. Drzewce zostało okute stalą, tak że zatrzymywało cięcia mieczy i toporów. Tarcza Kane'a była powgniatana i poszczerbiona od uderzeń maczug, korbaczy i szukających celu mieczy. Jego zbroję poznały rysy i wgniecenia rozpaczliwych ciosów, których nie zdołał sparować. Kiedy przeciwnicy nie mogli powalić szalejącego demona w zbryzganej krwią zbroi, uderzali w jego czarnego ogiera – lecz ciosy odbijały się od okrywających wierzchowca blach.

Kane miażdżył ich swymi ciosami, tak jak lew rozpędza szakale – zabijał tak długo, aż nie ośmielali się go zaatakować i uciekali przed jego morderczym natarciem. Był w swoim żywiole – nieubłagany i niestrudzony zabijaniem kręcących się bezradnie żołnierzy Sandotneri. Zostawiał za sobą stratowaną ziemię zasypaną porąbanymi ciałami i zgniecioną stalą. Kane atakował jak wściekły wilk – niepowstrzymanie i na oślep. Uważny obserwator mógłby jednak zauważyć, że nie był to samobójczy szal, a raczej, że każdy ruch, każdy cios zadany i sparowany został dobrze obmyślony przez bystry i świetnie wyszkolony umysł. Świadomość tego czyniła Kane'a jeszcze bardziej przerażającym wrogiem.

Bitwa przesuwiała się na południe, w stronę Meritavano, gdzie armia Sandotneri obozowała poprzedniej nocy. Piesi żołnierze Sataki, dzierżąc zakrwawione sztylety i topory, szli wśród pozostawionych za wojskiem rannych i zabitych. Usiłująca wydostać się z kleszczy Satakijczyków armia Sandotneri była nie tyle dziesiątkowana, co unicestwiana.

Kane usłyszał nagły, będąc wciąż jeszcze w wirze walki, dźwięk trąb, który dochodził z kłębow kurzu za nim. Jarvo próbował zgromadzić swych ludzi. Kane powalił ostatniego wroga – stępiony topór nie mógł przeciąć kolczugi, ale sama siła ciosu zmiażdżyła klatkę piersiową – i wtedy zatrzymał się, aby mogła zebrać się wokół niego jego gwardia. Nagle wydawało się, że na polu bitwy nie został ani jeden jeździec Sandotneri.

Po chwili doszły do Kane'a raporty, iż Jarvo, dowodzący zdesperowanymi resztkami swej

ciężkiej kawalerii, zdołał wymknąć się opancerzonym wojskom Kane'a i przebił sobie drogę odwrotu przez pierścień lekkiej kawalerii na południu. Ci z wojsk Sandotneri, którzy jeszcze mogli, zawrócili i wymknęli się przez tę szczelinę.

Kane warknięciem wydał rozkazy i polecił trębaczom ogłosić pościg. Mógł oszczędzić sobie tego wysiłku. Jego kawaleria, czując już rzeź, cięła uciekających żołnierzy Sandotneri. Do bezpiecznych murów miasta był dzień drogi, a widać było wyraźnie, że Jarvo nie posiadał żadnych rezerw wojska, które mogłoby osłaniać jego odwrot.

Zebrawszy straż przyboczną, Kane rzucił się w pościg za uciekinierami. Starał się odciąć drogę wyczerpanemu wrogowi, zachodząc go z obu flank. Minał galopem opustoszały obóz Sandotneri w Meritavano, z goryczą zauważając, że jego ludzie bardziej już interesują się łupami niż pościgiem. Tuż na południe od osady Kane gwałtownie zatrzymał swego wierzchowca pośród stłoczonej masy swoich żołnierzy. Potem przepchnął się między nimi i podjechał najbliżej jak się dało. Z jego ust wymknęło się ciche przekleństwo. Ludzie stojący obok niego słysząc je zadrżeli.

Okolice na południe od Meritavano była jednym wielkim bagniskiem porośniętym trzcina i zasilanym wodą z jednej z podziemnych rzek sawanny. Utknąwszy między osadą a zachodzącą z boku armią Satakijczyków. Jarvo spróbował przeprowadzić swych ludzi przez podmokłą łąkę, wyglądającą zwodniczo, i solidnie w suchej porze. Teraz konie i jeźdźcy miotali się bezradnie w głębokim błocie – ciężar zbroi i kolczug wciągał ich pod powierzchnię bagna, tak że tonęli w błotnistej mazi, nie będąc w stanie podnieść się i wydostać na suchy ląd. Po drugiej stronie widać było przerażająco niewielką ilość wierzchowców i jeźdźców, którzy wydostali się z bagna i chwając się na nogach, odjeżdżali przez wysoką trawę.

– Poślijcie tam piechurów – rozkazał Kane. – Niech rozbiorą się do naga, żeby się nie potopili. Widziałem, że potrafią wystarczająco dobrze posługiwać się sztyletami. I przynieście liny – tyle, ile macie. Uratujcie tyle koni i zbroi, ile się da, zanim wszystko zatonie w bagnie. I do-starczcie mi Jarvo – żywego lub martwego.

Satakijczycy zabrali się do mordowania w błocie z całym niepohamowanym zapałem dzieci bawiących się na deszczu.

Brnęli przez bagno, aż ciemność pochłonęła dzień i pole walki. Pod wieczór jeden z umazanych błotem poszukiwaczy z dumą podał Kane'owi powgniatany hełm z zasłoną, na której wykuty był w kształcie maski wykrzywiony paskudny grymas demona. Wyciągnął ją z mułu głębokiej sadzawki.

Kane popatrzył na ciemniejące o zmierzchu bagno.

XIII

OBŁĘŻENIE

Król Owrinos z Sandotneri drgnął spazmatycznie po raz ostatni, westchnął bulgoczące, uśmiechnął się i znieruchomiał. Mogło to być rozkoszne przeciągnięcie się i ziewnięcie przed zapadnięciem w miły sen, lecz jego uśmiech zastygł na wieki, a krew, która zapieniła się na wargach, zakrzepła i zaschła. Króla już nigdy nic nit obudzi, nawet głuchoe odgłosy uderzeń wielkich kamieni, które obracały jego pałac w gruzy.

Jego córka, wezwana przez dworskich medyków, kiedy rozpoczął się krwotok, popatrzyła na wychudzone ciało i wzruszyła ramionami. Owrinos zbyt długo umierał. Po tylu miesiącach oczekiwania, jego śmierć nie była niczym szczególnym w porównaniu ze zbliżającą się zagładą oblężonego miasta.

– Sandotneri liczy teraz na ciebie, Ridaze – szepnęła Esketra. – Generale Ridaze.

Gdzieś w pobliżu rozległ się nagły wstrząs, gwałtowny łoskot walącego się muru. Esketra poczuła stęchły zapach sproszkowanego gipsu oraz cegły, i usłyszała odległe jęki i krzyki.

– To, co z niego zostało – poprawiła. Przystojna twarz Ridaze była pośepna i zatroskana.

– Katapulty Kane'a rozbijają mury w proch. Esketro, muszę zabrać cię w bezpieczne miejsce.

– Mów dalej – powiedziała głuchym głosem Esketra. – Oboje wiemy, że w Sandotneri nie ma już bezpiecznych miejsc.

Miasto było jak ogłuszone, kiedy pierwsi ogarnięci paniką jeźdźcy przynieśli wieść o klęsce, jaką ich armia poniosła z rąk Satakijczyków. Na początku panowało niedowierzanie i słyhać było głośny sprzeciw wobec plotek krążących po ulicach. Potem zaczęły napływać żałosne grupki uciekinierów – byli to ci nieliczni, którzy przeżyli odwrót; pokaleczeni, brudni i ledwie żywi po ucieczce. A następnego dnia wkroczyła zwycięska armia Sataki.

W czasie gdy Kane zajął stanowisko pod murami miasta, Satakijczycy plądrowali okalające miasto osady i posiadłości. Kane wyprawił posłów, którzy elokwentnie rozpowiadali o korzyściach pokojowego poddania się. Jednakże ich argumenty nie trafiły Sandotneri do przekonania – częściowo dlatego, że jego mieszkańcy wierzyli w siłę swych murów i w mogącą nadejść w ostatniej chwili pomoc sąsiednich królestw, a częściowo dlatego, że skoro Owrinos leżał w agonii, a Jarvo ponoć już nie żył, nie było nikogo upoważnionego do poddania grodu.

Kane zabrał się do budowania maszyn oblężniczych z belek i części przywiezionych taborem. Następnego poranka masywne katapulty bombardowały miasto głazami i kawałkami gruzu, a jego saperzy robili wykopy pod murami. W tym czasie kilka pułków kawalerii zostało wysłanych w celu eskortowania ociężałych oddziałów Proroka z Shapeli. Po unicestwieniu ciężkiej kawalerii oblężone resztki armii Sandotneri nie miały odwagi napaść na ciężkozbrojne oddziały Kane'a. Ten zaś czekał, aż miasto zrozumie, że jest zgubione. Mógł pozwolić sobie na chwilę cierpliwości. Miał dość żywności i wody dla ludzi i koni, i był pewien, że żadne nowe wojsko nie przybędzie, by przerwać oblężenie. Z południowych królestw, które graniczyły z terytorium Sandotneri z pewnością nie nadejdzie żadna pomoc. Ripesnari, które graniczyło z Sandotneri wzdłuż wybrzeża Morza Wewnętrznego, było odwiecznym wrogiem. Leżące na południu Desdrineli, toczyło wojnę we własnych zachodnich marchiach i nie mogło posłać żołnierzy. Jeszcze dalej na południe – Veglari

było spustoszone przez długą krwawą wojnę domową i stało na krawędzi podziału, zaś położone nad Morzem Wschodnim Bavostni, dzielące część marki Shapeli, zaledwie kilka lat temu przegrało zażartą wojnę terytorialną z Sandotneri, i obecnie było głównym, zewnętrznym dostawcą sprzętu i ludzi dla Kane'a. Wszystkie te krainy będą biernie przyglądać się, jak Satakijczycy połykają Sandotneri. Groźba, że ktoś kolejny stanie na drodze Mrocznej Krucjaty była zbyt odległa, by zastanawiać się nad nią. W końcu Shapeli jest wiele mil stąd, po drugiej stronie sawanny, a Orted Ak-Ceddi z pewnością zadowolony się podbojem Sandotneri, które zabezpieczy jego granice i przywróci militarny prestiż.

Tak więc Kane czekał na przybycie wojsk szturmowych z Shapeli i tymczasem zabawiał się bombardowaniem miasta. Początkowo odpowiadał mu ostrzał z machin obronnych w mieście, ale katapulty Kane'a szybko odkryły, w jakiej odległości znajdują się wrogie wyrzutnie i zniszczyły je. Kane miał na razie w planie wojnę psychologiczną, jako że nie widział celu w przerywaniu murów, zanim nie będzie dysponował posiłkami, które mógłby posłać na pewną śmierć. Jego własni ludzie byli zbyt cenni. W zamian za to Kane zadowolony się ponizaniem oblężonego miasta udowadniając, że jego katapulty mogą w każdej chwili obrócić w gruzy pałac i mury obronne, Owe maszyny oblężnicze były masywnymi konstrukcjami, zdolnymi miotać olbrzymie ciężary z zabójczą dokładnością. Zasięg regulowało się przesuwaniem ciężarka umocowanego na osi krótszego ramienia belki, albo przez skrócenie procy na dłuższym ramieniu.

Nie wszystkie pociski były z kamieni. W tej okolicy głązy na powierzchni były rzadkością, lecz pod dostatkiem było innej amunicji. Ze splądrowanego poboju wracały ciężko obciążone wozy, Martwe konie stanowiły lepsze pożywienie niż to, do jakiego przywykła hałastra Sataki, więc były cenne. W katapulcie umieszczano ograbione ciała oficerów Sandotneri. Nie czyniły większych szkód murom miasta, ale taka walka miała zastraszający wpływ na morale obrońców.

Kane'owi nudziła się już ta zabawa. Ciągle pamiętał, że nie znaleziono ciała Jarvo. Szpiegzy i dezertrzy z miasta donosili, że generała Sandotnen nie było pomiędzy uciekinierami, którzy przywlekli się do stolicy po klęsce pod Meritavano.

Pokonany generał nie zostałby mile powitany. Miażdżące zwycięstwo Kane'a obciążało hańbą imię Jarvo. Jarvo zostawił w mieście garnizon pod dowództwem swych rywali, aby nie dzielili z nim chwały zwycięstwa. Jego posunięcie ocaliło im życie, a teraz om odpłacali mu się, głośno dowodząc, że klęska była spowodowana tylko jego nieporadnym dowodzeniem.

Śmierć Owrinosa zostawiła Sandotneri bez choćby tytularnego monarchy. Generał Ridaze, który w ostatniej chwili otrzymał rozkaz pozostania wraz z garnizonem miejskim, został awansowany na stanowisko, które zajmował Jarvo. Będąc w łaskach u Esketry, Ridaze został niekoronowanym dowódcą Sandotneri. Być może odkrył on, że nagłe spełnienie jego ambicji nie jest aż tak wspaniałe, jak mu się zdawało,

Kane pamiętał, że Ridaze jest zdolnym oficerem, lubianym przez podwładnych, a jeszcze bardziej przez kobiety. Ciemnowłosey, dziarski, śmiały – był romantycznym ideałem oficera kawalerii, ale nie posiadał żadnego szczególnego talentu ani umiejętności.

Kane zdecydowanie wolałby mieć pewność, że Jarvo spoczywa bezpiecznie pogrzebany w głębinie bagna w Meritavano. Kane gardził Jarvo jako człowiekiem i uważał go za generała pozbawionego wyobraźni, ale przyznawał mu swoistą ocieźłą zawziętość, która przy łucie szczęścia czyniła go groźnym przeciwnikiem. Jego szermierka była charakterystyczna: dość dobra, by bronić się przed lepszym szermierzem, nie dać mu wyczuć słabości i czekać na choćby jeden błąd przeciwnika... Kane widział wielu mistrzów miecza, którzy padli z rąk rzemieślników mających w najważniejszej chwili szczęście.

Oblężenie ciągnęło się nużąco – Kane nie chciał szturmować murów, Ridaze nie miał odwagi uczynić wypadu. Kane nie opuszczał swego namiotu i utrzymanie porządku w armii pozostawił swym oficerom. Natomiast sam ponuro popijał gorzałkę i obmyślał następne posunięcie. W oddali, znad zrujnowanego pałacu wzbijały się co jakiś czas kłęby kurzu i odłamków gruzu. Kane posępnie rozmyślał o rozmiarach zniszczenia. Wydawało mu się, że zupełnie niedawno knuł intrygi, by odkryć tajne przejścia w tym pałacu; a teraz, jakby po chwili, obraca go w perzynę. Chyba jest tak, że zawsze niszczy to, czego nie może mieć.

Kane zaklął i rozejrzał się za następną butelką. Depresja pogłębiała się teraz po każdej bitwie. Zastanawiał się, jak długo jeszcze ta gra będzie go bawić i odpędzać straszliwy ciężar wieków od jego duszy. Bezczytność i będące jej skutkiem rozczarowanie czyniły nudę coraz gorszą bo silniejszą. Kane stwierdził, że znowu rozmyśla o Wieży Yslsła. Od zbyt wielu wieków dręczy go ta niespokojna, zabójcza pokusa...

Zmierzch przyniósł dwa wydarzenia, które wyrwały go z posępnego nastroju.

Z Sandotneri wyruszyła delegacja ze sztandarem rozejmu. Generał Ridaze pragnął przedyskutować warunki honorowego poddania się.

Na północnym horyzoncie zakotłowała się ciemna masa ludzi. Horda Sataki przybyła do Sandotneri.

Żadne z tych wydarzeń nie było zaskoczeniem. Jednakże istniało coś, na co Kane nie był przygotowany.

Na czele Mrocznej Krucjaty jechał Orted Ak-Ceddi.

TRAKTATY I WEZWANIA

Ten obrót wydarzeń nie podobał się Kane'owi. Zakładał on, że Prorok nie opuści bezpiecznej i wygodnej Ceddi, i będzie śnić o bogatych łupach, jakie jego wierni słudzy przywiozą do fortecy – a co ważniejsze, zostawi dowodzenie Mieczem Sataki – Kane'owi.

Jego obecność była złowieszcza. Ten wieczór zaczął się jednak całkiem dobrze dla Kane'a.

W cieniu swego namiotu Kane wyciągnął się na krzesło i beznamiętnie oczekiwał przybycia posłów. Obie stopy oparł na stoliku, tak że widział ich zaniepokojone twarze pomiędzy czubkami butów. Posłowie czekali wystraszeni, sztywni i formalni. Kane był ubrany w skórzane kawaleryjskie spodnie i pikowany kaftan bez rękawów, który zwykle nosił pod zbroją, ale teraz był tak pijany, że nie zwracał na takie drobiazgi uwagi. W porównaniu z wyszukaną elegancją posłów z Sandotneri wyglądał jak podobny do małpy zbir. Jednak sardoniczny błysk w jego oczach nie pozostawiał wątpliwości co do tego, kto jest panem sytuacji.

– Oblężenie do niczego nie prowadzi – zaczął przywódca posłańców. – Ty nie masz dość wojsk, by szturmować nasze mury. My nie posiadamy wystarczająco licznej kawalerii, by przerwać twoje oblężenie. Nic nie możemy zyskać, dalej znosząc twoje bombardowanie, ani ty nie zyskasz niczego kontynuując bezcelowe oblężenie. Wyczerpujesz tylko zapasy żywności wojska i narażasz się na atak naszych sprzymierzeńców.

Kane przerwał jego przemowę. – Zanim zanudzicie mnie zupełnie, powinienem poinformować was, że moje posterunki już zawiadomiły mnie o zbliżaniu się nowych, pieszych oddziałów Proroka. Ponieważ liczba wojsk przekracza sto tysięcy, bez wątpienia zauważyliście ich zbliżanie się z wież Sandotneri. Sądzę, że ten fakt niewątpliwie jest przyczyną naszych rozmów, skończmy zatem z tą nonsensowną mową o sytuacji bez wyjścia.

– Ci nowi „piechurzy” to hołota Sataki – parsknął poseł. – Nie muszę ci chyba przypominać, że mury Sandotneri są dobrze bronione.

– Dziękuję, znam umocnienia Sandotneri dość dobrze – odrzekł spokojnie Kane. – I wiem, że moje maszyny oblężnicze mogą rozbić te mury, kiedy tylko to rozkażę. Oczywiście, nigdy nie mieliście dostatecznego pecha by zobaczyć, co ta hołota Sataki potrafi zrobić z wrogim miastem, kiedy już znajdzie się za jego murami, chociaż jestem pewien, że słyszeliście niezliczone ponure i makabryczne opowieści. Zapewniam was, że wszystko, co słyszeliście, okaże się zaledwie złagodzonymi wspominkami tego, czego możecie się spodziewać przed jutrzejszym zachodem słońca.

Ten język był pełen gardłowych dźwięków i zawsze sprawiał, że Kane'owi chciało się pić. Wyszukanym gestem opróżnił puchar.

– Nudzicie mnie – powiedział wylewnie. – Oblężenie mnie nudzi. Mam ochotę okazać łaskawość przy określaniu warunków. Kto jest upoważniony do przyjęcia ich w imieniu Sandotneri?

Przywódca delegacji spojrział na kolegów, którzy bezradnie odwrócili wzrok. – Dopóki nowy władca nie zostanie ukoronowany, Esketra jest regentem, a generał Ridaze dowódcą jej wojsk.

Kane pokiwał głową i rzucił im wilczy uśmiech. – W takim razie, niech Esketra i generał Ridaze przybędą do mnie dziś wieczorem by podpisać traktat w sprawie kapitulacji.

– Na jakich warunkach? – zapytał natarczywie poseł.

– Na moich – odrzekł Kane. – Nie martwcie się – mam zamiar zaproponować zwyczajowe warunki honorowego złożenia broni. Przedyskutuję je z waszymi przełożonymi.

Dodał jeszcze, przerywając ich protesty: – Jeśli me otrzymam żadnej wiadomości od was do zapadnięcia zmroku, jutro Satakijczycy urządzą święto na ulicach Sandotneri. Ich warunki nie będą się wam wcale podobały.

Będąc już w znacznie lepszym nastroju, Kane przyglądał się, jak posłowie pośpiesznie odchodzą. W przyływie troski o zasady dobrego wychowania, Kane rozkazał zaprzestać bombardowania i wezwał skrybę, który miał ułożyć artykuły dotyczące kapitulacji na podstawie tego, co Kane mu podyktuje. Procedura nie była niczym nadzwyczajnym. W sytuacjach niemal niekończących się wojen w królestwach południowych, rytuały towarzyszące zwycięstwu i klęsce zostały sprowadzone do konwencjonalnych formułek. Z łatwością płynącą z długiego doświadczenia, tak szybko, jak tylko urzędnik mógł zapisywać, Kane omawiał zaprzestanie działań wojennych, zrzeczenie się praw do terytorium, uznanie władzy zwierzchniej oraz temu podobne kwestie.

Był to zgrabny dokument; dość sprawiedliwy, biorąc pod uwagę okoliczności, i Kane był z niego zadowolony. Mogli go podpisać albo nie, ale spodziewał się, że podpiszą dość chętnie, skoro motłoch Sataki zbliżał się do obleżonego miasta. Kane był zadowolony, że tak zręcznie zakończył sprawę, bez uciekania się do pomocy hałastry Proroka.

Kiedy atrament wysechł, Kane przeczytał pismo i doszedł do wniosku, że powinno ono służyć za wzór dla innych identycznych dokumentów. Nakazał urzędnikowi, by przepisał go w trzech egzemplarzach i zawołał służącego, by przyniósł mu następną butelkę. W tym momencie konna eskorta, którą, posłał po oddziały Satakijczyków, wjeżdżała do obozowiska, a milę za nią ciągnęły się mroczne tłumy znużonych mężczyzn, kobiet i dzieci. Tak jak poprzednio, armia Sataki składała się z nieprzeliczonej masy ludzi pchanych przez religijny zapał i strach.

Kane nie zwracał uwagi na hordę Proroka, dopóki jego powracający oficerowie nie oznajmili mu, że jechał z nimi Orted Ak-Ceddi. Kane popatrzył na powoli zbliżające się morze ciał, wyłaniające się z coraz głębszego mroku. Miał jakieś niejasne przecucie.

Jego rozmyślania przerwało zbliżanie się pod flagą rozejmu dużej grupy z Sandotneri. Nawet z oddali, Kane rozpoznał wysoką postać Esketry jadącej w damskim siodle na pięknym kremowym wałachu. Uśmiechnął się i wstał, by ubrać się w swą najlepszą długą szatę z brokatu. Oczekując na delegację, Kane posłał do Orteda wiadomość o zbliżającej się kapitulacji miasta. Miał zamiar szybko zakończyć sprawę, a potem dowiedzieć się, co wyciągnęło Proroka z jego bezpiecznej kryjówki.

Nie było to serdeczne spotkanie, ale ostatecznie Kane nie pozostawał w najlepszych stosunkach z nikim spośród nich, nawet kiedy miał stanowisko generała w Sandotneri. Esketra była najwyraźniej przerażona i skrywała swój strach pod drżącą maską wyniosłości. Ridaze zbladł z ledwo powstrzymanej wściekłości – a była to paląca wściekłość kogoś, kto osiągnął szczyt swoich ambicji tylko po to, by zostać upokorzonym przez znenawidzonego rywala. Pozostali z eskorty zdawali się rozmyślać ukradkiem, czy Kane nosi kolczugę pod swą długą szatą.

Kane zaoszczędził wszystkim chłodnych formalności powitania. – Wydaje mi się, że to jest dość jasne – powiedział, podając im akt poddania.

Posel, z którym Kane rozmawiał wcześniej, obejrzał dokument i przeczytał go na głos Esketrze i jej generałowi. Kamienne twarze, zaciśnięte wargi i gniewne spojrzenia – obraz skazańców słuchających sędziego, który odczytuje wyrok.

– To niemożliwe! – warknął Ridaze.

Kane uniósł brew. – Nonsens. W zasadzie te same warunki zaproponowaliśmy Bavostni cztery

lata temu. Dopiero wtedy czujesz ból, gdy to na twojej szyi zaciska się pętla.

Zapadała ciemność. Kane wskazał na jeszcze mroczniejsze niezliczone tłumy, które właśnie otaczały mury miasta. Nie widzieli twarzy z tej odległości, ale słychać było straszną wojenną pieśń Sataki grzmiącą z tysięcy gardeł.

– Jeśli się wam wydaje, że domagam się zbyt wielkiego haraczu to wyobraźcie sobie, po co sięgną te brudne ręce, kiedy będą jutro plądrować Sandotneri. Dopóki będziecie dotrzymywać warunków, gwarantuję wam zachowanie życia i bezpieczeństwo. Kiedy wędrze się motłoch, nie będę mógł zagwarantować wam nawet godnej śmierci.

Wahali się, ale Kane wiedział, że to tylko ostatnia, słaba próba sprzeciwienia się nieuchronnemu. Wiedzieli, że muszą przyjąć jego warunki, bo inaczej ani Esketra, ani Ridaze nie przyjechałoby do obozu Kane'a.

– Zauważcie – zwrócił ich uwagę Kane – że traktat uznaje Esketrę za następczynię Owrinosa, a Ridaze za jej głównego ministra, choć oczywiście podporządkowanego władzy Ingoldi.

– Marionetkowa władza! – parsknęła Esketra.

– To brzmi nieładnie – zamruczał Kane. – Uważaj się za władcę tytularnego. Można zawisnąć w gorszy sposób niż na sznurku marionetki.

– Dla dobra Sandotneri sugeruję, abyśmy podpisali – powiedział zdecydowanie Ridaze. Ich obecne stanowiska były nie do utrzymania, a warunki Kane'a rzeczywiście zapewniały nominalną władzę. Później sytuacja może się zmienić, a układ to tylko kawałek pergaminu.

Kane przyglądał się, jak niechętnie podpisywali dokument, potem sam podpisał się zamasyście i przyłożył pieczęć Sataki. Piękna robota – pomyślał – i zgrabnie zakończona.

– Zrobiło się ciemno – zauważył Kane. – Sądzę, że należy jakoś uczcić tę okazję. Poleciałem służącemu przygotować zimną kolację. Możemy poczekać w namiocie, dopóki wasi posłowie nie ogłoszą w mieście podpisania traktatu.

-- Nie mam zamiaru przyjmować twej gościnności – powiedziała chłodno Esketra.

– Przepraszam – czy myśleliście, że to było zaproszenie? – przez uprzejmość Kane'a przebiła się groźba. – Więc nie było. Wy dwoje jesteście moimi gośćmi dopóki nie zobaczę, jak obywatele Sandotneri honorują nasz nowy układ. Mam nadzieję, że wasi posłowie będą działać przekonująco.

Z lodowatą łaskawością udali się do namiotu Kane'a, gdzie służba podawała lekką kolację. Kane wydał pewne polecenia swoim ludziom i wysłał drugiego posłańca do Proroka, aby poinformować go o formalnym poddaniu się miasta, a potem dołączył do przymusowych gości.

Kane nie podzielał radosnego nastroju wyższych oficerów zbierających się, by świętować kapitulację wroga. Ktoś niewtajemniczony mógł go wziąć za jednego z pokonanych, tak ponury i roztargniony był tego wieczoru. Kane nie miał wątpliwości, kto był źródłem tego niepokoju: Orted Ak-Ceddi. Co robi tu Prorok? I dlaczego jeszcze się z nim nie skontaktował?

Do tego momentu wszystkie starannie ułożone plany Kane'a powiodły się doskonale – podpisany układ, czyniący Kane'a nieformalnym władcą Sandotneri był udanym spełnieniem zaledwie pierwszego etapu jego wielkiego zamysłu. Miał powody do zadowolenia, lecz niespodziewana obecność Orteda przypominała Kane'owi, że Prorok wciąż jest niepewnym elementem w jego grze.

Kane zadał sobie wiele trudu, by odkryć wszystko, co mógł, o Ortedzie Ak-Ceddi. Wiedział, że pomimo pozy bohatera ludu i obrońcy uciśnionych, Orted – wódz bandytów – był bezlitosnym zbrojnym, który zostawiał za sobą szlak morderstw i grabieży. Jednak to, co umożliwiała Ortedowi władzę nad kultem Sataki – i na odwrót – pozostawało dla Kane'a tajemnicą. Zasadniczo, Kane uważał Orteda za chytrego oportunistę, który przybrał pozę Proroka Sataki, aby pod przykrywką

religijnej krucjaty dokonywać masowych okrucieństw. Masowa władza przez masową histerię – prości ludzie są dumni, że umierają dla chwały, w świętej sprawie, a elita z zadowoleniem czerpie władzę i bogactwo z poświęcenia wiernych.

Była to znana historia. Kane nie widział w Ortedzie niczego co sugerowałoby, że bandyta zamieniony w proroka wyróżnia się czymś nadzwyczajnym. Orted był chytry i chciwy, co do tego nie było wątpliwości. Posiadał dobre rozeznanie w sprawach taktyki działań partyzanckich i brutalności tłumu, ale brakowało mu jakiegokolwiek wykształcenia w kwestii prowadzenia wojny na pełną skalę przeciwko zdyscyplinowanemu wrogowi. Do tego był potrzebny Kane. Orted na tyle dbał o swoją osobę, aby pozwolić swym pacholkom wykonywać robotę i ponosić ryzyko, podczas gdy sam zostawał w domu, w luksusie i bezpieczeństwie, żeby kontemplować owoce ich pracy. Dlatego właśnie przystał do niego. Wobec tego, dlaczego Orted się tu pojawił? Czyżby Kane źle go ocenił? Zbyt wcześnie dojdzie do spięcia, jeśli Orted zechce objąć czynne dowodzenie Mieczem Sataki.

Być może, rozmyślał Kane, Prorok sądzi, że sytuacja jest opanowana i dlatego doszedł do wniosku, że może bezpiecznie przybyć, by ujrzeć triumf swej nowej armii. Jednak to wiązałoby się z wielką pompą i widowiskiem. Orted przybył niezapowiedziany. Wewnętrzny głos podpowiadał Kane'owi, że gdzieś popełnił błąd. Niesamowity śpiew hordy Satakijczyków zdawał się podkreślać jego dotkliwe wątpliwości. Pomimo wcześniejszej decyzji, że przestanie pić, Kane spełniał ze swymi oficerami toast za toastem.

Do namiotu dobiegł odgłos tęniących kopyt. Zadzźwięczały łańcuszki przy wędzidle. Kane czekał z niecierpliwością i wyczuwał zdenerwowanie strażników stojących na zewnątrz. W cieniu pod markizą namiotu pojawił się zbiór plam czarniejszych od panującej ciemności. Orted Ak-Ceddi przekroczył próg namiotu, a za nim weszli jego kapłani.

Prorok, zanim przyłączył się do nich, zdążył zmyć kurz podróżny, a jego wejście zrobiło imponujące wrażenie. Brązową grzywę Orteda ułożono w precyzyjne, uperfumowane loki, a jego leniwe, lwie rysy były rozmyte przez rozpustę. Miał na sobie obcisłe, skórzane spodnie i koszulę z czarnego jedwabiu, a na szyi, w rozcięciu koszuli, wisiał złoty znak Sataki. Orted zaszczycił zebranych uśmiechem pełnym sardonicznego rozbawienia i przez chwilę spoglądał Kane'owi w oczy.

Ci dwaj mężczyźni, prowadzący Mroczną Krucjatę, stanowili osobliwe studium kontrastów, Orted, wąski w biodrach i szeroki w barach, miał zwinność i siłę pantery. Pomimo miesięcy rozpusty pod miękką warstwą tłuszczu i perfumowanego fircykostwa wciąż kryła się stal. Za nim stali jego kapłani w czarnych szatach, z twarzami na pół ukrytymi w kapturach. Kane miał masywną, wypukłą pierś, grube kończyny i siłę topornego olbrzyma, lecz mimo swych rozmiarów był zwinny jak kot. Na twarzy o grubych rysach malowała się demoniczna inteligencja i pomimo pozornego luzu Kane emanował grozą. Za Kane'em ustawili się jego główni oficerowie – z wyrazem nieufności na surowych twarzach, niby od niechcenia odstawiali puchary, by mieć wolne ręce do sięgnięcia po miecze.

Pomiędzy nimi stali Esketra i Ridaze, wyczuwając nagłą atmosferę napięcia, a ich wyniosłe twarze ściągało poczucie niepewności.

Czarne oczy Orteda spoglądały w błękitne oczy Kane'a. Oczy ciemne od kosmicznego zła i oczy, które płonęły lazuruwą żądzą zabijania. To tajny znak zostawiony przez starego boga: znamię Kane'a. Orted odwrócił spojrzenie i zakończył nieruchomą scenę.

– Orted Ak-Ceddi, Prorok Sataki – niepotrzebnie przedstawił go Kane. – Esketra z Sandotneri i generał Ridaze. Ufam, że moi posłańcy powiadomili cię, że właśnie przypieczętowaliśmy traktat mówiący o poddaniu miasta.

Kane wskazał na dokument leżący na stole, na którym zazwyczaj rozkładano mapy. Spojrzenie

Orteda prześliznęło się po nim od niechcenia, a polem szybko wróciło, by spocząć na Esketrze. Esketra rzuciła mu dumny uśmiech, lecz w jej oczach można było dostrzec chłodne kalkulacje.

– Tak, generale Kane, poinformowano mnie. – Orted wyciągnął rękę i jeden z kapłanów podał mu dokument. Prorok przeczytał nieuważnie. – Tak, wszystko wydaje się być w porządku.

Sprawiało to dobre wrażenie, chociaż Kane wiedział, że były bandyta nie umie czytać. Orted oddał pergamin kapłanowi.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że zostałeś upoważniony do podpisywania układów, Kane – zauważył, gestem każąc służącemu przynieść puchar.

– To się rozumie samo przez się, skoro jestem generałem twojej armii – powiedział uprzejmie Kane. – W końcu, decyzje trzeba podejmować w terenie, a przecież nie masz czasu, by tolerować w Ceddi wiecznie płaczących ci się pod nogami moich kurierów, zadreęczających cię wszystkimi trywialnymi sprawami. Oczywiście, wszelkie decyzje, jakie podejmuję, są zależne od twojej zgody.

– Oczywiście, to się rozumie samo przez się – zgodził się Orted. – Dobrze wiesz, jak bardzo ufam twojemu osądowi.

Prorok jednym łykiem wypił gorzałkę. – Całkiem dobra. Napiję się jeszcze. – Rozglądał się po bogato wyposażonym namiocie, w trakcie gdy służący napełniał jego puchar. – Nie za dużo – ostrzegł. Za jego plecami kapłani stali wyniośle i nieruchomo jak cienie zmarłych.

– Cóż, Kane – powiedział Orted, wytarłszy podbródek w rękaw – świetnie się spisałeś. Jestem nadzwyczaj zadowolony z tego, czego dokonałeś do tej pory. Ty i twoi ludzie spełniliście wielkie dzieło dla chwały Sataki. Zniszczyliście armię Sandotneri, zajęliście miasto i ponieśliście przy tym tylko umiarkowane straty. Gratuluję zwycięstwa.

– Dziękuję – odrzekł Kane, każdym nerwem usiłując wychwycić groźbę, która czaiła się za pijanym uśmiechem Orteda.

– Jednakże, uczyniłeś jeden błąd – powiedział Prorok z mylącą łaskawością. – Oczywiście nie winię cię za to. Działałeś najlepiej, jak mogłeś.

„Ile ten głupiec się domyślił?” Wyraz twarzy Kane’a był obojętny i lekko pytający. Tylko ułamek sekundy dzielił jego dłoń od rękojeści noża i serca Orteda.

– Błąd?

– Tak. Sandotneri dwukrotnie sprzeciwiło się Mrocznej Krucjacie. Sandotneri wymordowało niezliczone rzesze Dzieci Sataki!

Głos Proroka nagle zaczął ociekać jadem. – Nie może być pokoju z Sandotneri! Za swoje grzechy muszą umrzeć!

Dochodzący z głębi nocy, pulsujący śpiew Satakijczyków – wznoszący się coraz wyższym tonem w tych ostatnich chwilach – nagle ucichł. Wtedy rozległ się słaby, przejmujący jęk jakby odległego, zimnego wiatru szumiącego w konarach drzew. Zabrzmiało to tak, jakby ze stu tysięcy gardeł wyrwał się jeden przeraźliwy wrzask przerażenia, zduszony całunem ołowianej mgły.

Dreszcz nieopisanej ekstazy zaćmił oczy Proroka.

Stłumiony, śmiertelny krzyk miasta stał się przeraźliwym wyciem upióra. Strach szukał zdobyczy w mrokach nocy, a ci, którzy usłyszeli ten dźwięk, wiedzieli, że śmierć odsłoniła swą twarz.

– Ty diable! – warknął Ridaze.

Kane skoczył w stronę wyjścia. Dostrzegł, co Ridaze ma zamiar zrobić, ale nie uczynił nic, żeby temu zapobiec. Inni stali jak zaczarowani, wsłuchani w złowieszczy jęk zguby, który przeszył noc.

Ridaze wyciągnął sztylet z rękawa swojego kaftana. Jednym rozpaczliwym ruchem rzucił się na zauroczonego Proroka i wbił ostrą jak igła klingę sztyletu w jego serce.

Kane poczuł w tym momencie wielką radość wiedząc, że nawet jeśli Prorok nosi kolczugę, ten

wściekły cios trafi ostrzem sztyletu między metalowe ogniwa.

Orted zachwiał się. Trójkątne ostrze pękło: jego odłamany czubek przeleciał przez cały namiot.

Ridaze skulił się, a jego twarz znieruchomiła z niedowierzaniem. Na przebitym jedwabiu nie było nawet siadu krwi.

Orted zignorował go – w tym samym momencie kapłani otoczyli napastnika. Załopotały czarne szaty, błysnęły szare ostrza, a potem trysnęła struga czerwieni. Ridaze osunął się na ziemię, a na jego martwej twarzy wciąż malowało się niedowierzanie.

Kane przebiegł obok wciąż niesiony początkowym impetem w stronę wyjścia. Wszystko skończyło się w ułamku sekundy. Z głębi namiotu doszedł go urwany krzyk Esketry, a potem jego oficerowie wybiegli za nim, a kapłani zgromadzili się wokół roześmianego Proroka.

Noc była czarna i bezgwiezdna. Kane widział pierścień pochodni Satakijczyków otaczających miasto. Tam, gdzie powinny być widoczne wieże i mury Sandotneri, nie było nic, żadnego światła. Żadnych wież. Nic, z wyjątkiem absolutnej ciemności.

Kane, którego oczy przeszywały mrok równie dobrze jak oczy jego matki, zobaczył tańczącą horde cieni, która wiła się nasycona, opuszczając milczące Sandotneri i znikła w bezgwiezdnej otchłani nocy.

Światło dnia rozproszyło całun nocy i odsłoniło umarłe miasto. Żadna napaść, zaraza czy trucizna nie mogłaby dokonać takich spustoszeń. Kane, jadąc przez nie o świcie, myślał o skutkach zatrucia gazem, choć wiedział, że nie to było przyczyną śmierci tych ludzi.

Trupy leżały wszędzie – miały szare, wykrzywione twarze, zamarłe w przerażeniu oczy i zastygłe w ostatnich konwulsjach kończyny; spuchnięte języki wysuwały się z otwartych ust. Żołnierze polegli na murach, dzieci leżały skulone obok zabawek. Kupcy padli na swoje towary, a matki przykryły swym ciężarem martwe niemowlęta. Na ulicach, w domach i karczmach, bastionach, zaułkach czy kramach...

Na jedną straszną chwilę otworzyły się wrota do mrocznego świata i wyszło przez nie coś obcego i złego, aby urządzić sobie ucztę.

Satakijczycy wili się jak robactwo w trupie Sandotneri – ograbiali zabitych, plądrowali ciche sklepy i domy, kradli broń i zbroje, nie chroniące już nikogo przed okropnościami świata. Przywłaszczony woz skrzypiał pod ciężarem zdobyczy, a szerokie, chłopskie plecy uginały się pod workami łupów. Tak właśnie trupa Sandotneri ograbiano z wszelkiego bogactwa, które wywożono do lasów Shapeli.

Kane był przyzwyczajony do takich widoków i okropności, mimo to kiedy jechał na spotkanie z Ortedem Ak-Ceddi, wyglądał na przygnębionego. Prorok rozejrzał się dookoła z zadowolonym zadowoleniem artysty, który patrzy na swoje dzieło. Kane nie widział go od czasu piekła, jakie nastąpiło, gdy prorok ze swoją świtą wybiegł z jego namiotu, zabierając ze sobą przerażoną Esketrę. Resztę nocy Kane spędził na rozmyślaniach, podczas gdy Satakijczycy triumfalnie szaleli w mieście trupów, a podlegli mu oficerowie usiłowali utrzymać porządek wśród żołnierzy.

W ciągu nocy Kane wzywał na rozmowy zaufanych ludzi. Niektórzy wyruszyli od razu, w misjach znanych tylko Kane'owi i im samym.

Do świtu humor mu się nieco poprawił, dosiadł więc Anioła i pojechał do miasta, gdzie, jak mu powiedziano, może spotkać Orteda Ak-Ceddi. Znalazł go, gdy błogosławił uśmiechem swych świętujących wyznawców.

– Twoja twarz jest posępna tego ranka, generale – przywitał go Prorok. – Chyba widok masakry nie wzbudza w tobie odrazy?

– Ta masakra była konieczna – odrzekł Kane. – Miasto poddało się nam.

– Poddało się tobie. Kane -- przypomniał mu Prorok. – Nie mnie,

– Podpisałem układ.

– I został on zlekceważony. Nie ma w tym nic nowego. Z pewnością czyn nie może jeszcze bardziej splamić twego imienia.

Kane spojrział ostro na Orteda zastanawiając się, jak głębokie są jego drwiny.

– Oh, Kane – nie patrz tak ponuro. Uczyniłeś to, co obiecałeś i jestem z ciebie bardzo zadowolony. Wykułeś Sataki prawdziwy miecz i władałeś nim chwalebnie w bitwie z wrogami wiernych. Doskonale rozumiesz wojnę i sposoby jej prowadzenia. Nie potrafisz jednak zrozumieć

świętej misji Mrocznej Krucjaty. Ty jesteś mieczem, Kane – a jak sam powiedziałeś mi kiedyś, miecz nie ma duszy. Twoim obowiązkiem jest pokonać wrogów Sataki. To, co zechcą uczynić z pokonanym wrogiem, zgodne jest z wolą Sataki. Nie zajmuj się sprawami, których nie możesz zrozumieć – i które nie należą do ciebie.

Orted przerwał i wskazał na szeregi powalonych niczym huraganem, martwych obrońców leżących pod murem. – Wieść o klęsce, jaka spadła na Sandotneri, roznie się jak zaraza po południowych królestwach. Sandotneri sprzeciwiło się Mrocznej Krucjacie – zostało więc zgładzone. Wydaje mi się, Kane, że taki los jest ostrzeżeniem, które przyda się, kiedy będziesz prowadzić miecz Sataki przez południowe królestwa.

– Nie mam wątpliwości, że owo ostrzeżenie zostanie zrozumiane – odrzekł Kane i spojrzał w ciemne, gorejące oczy Proroka.

– Doskonale – Orted uśmiechnął się bez wesołości.

– Wydaje mi się, że następną przeszkodą na naszej drodze jest Ripestnari.

– Kiedy ono padnie, inne pograniczne królestwa prawdopodobnie skapitulują – zgodził się Kane.

– Dopilnuj tego – Orted odesłał go gestem. – Znasz swoje obowiązki.

– Doskonale – odparł Kane.

XVI

ZŁAMANY MIECZ

Człowiek leżący w trawie wydał ochryply, gulgoczący krzyk w chwili, gdy zwierzę wbiło kły w jego nogę. Ten dźwięk zaskoczył dzikiego psa, który od tygodni żywił się ludzką padliną. Ani razu pożywienie nie zaprotestowało. Z nastawionymi uszami, przyglądał się trupowi podejrzliwie w gasnącym świetle dnia.

Dźwięk ucichł i przeszedł w słaby, chrapliwy jęk. Nabrawszy śmiałości, pies mocniej chwycił gołą nogę.

Tym razem trup zaryczał jak byk tonący w bagnie i zaczął wymachiwać brudnymi kończynami.

Na ten okrzyk odpowiedział głos znad pobliskiego jeziora. Ktoś biegł przez trawę w kierunku rzucającego się ciała. W okolicy nie było trudno o łatwą zdobycz, więc dingo uciekł pospiesznie.

Dziewczyna ostrożnie zbliżyła się do jęczącego w wysokiej trawie człowieka, a jej sztylet zabłysł w promieniach zachodzącego słońca.

– Co się dzieje, Erill? – rozległ się krzyk dochodzący z wozu stojącego przy jezioru.

– To człowiek, Boree! – odpowiedziała. – Wydaje mi się, że żyje.

Starsza kobieta chwyciła siekierę i skoczyła do niej z przekleństwem na ustach. – Nie dotykaj go!

Mężczyzna był niemal nagi; miał na sobie tylko podarty kaftan, pokryty starą krwią i zaschniętym brudem. Jego gołe kończyny były popękane, spalone słońcem i pokaleczone ostrymi źdźbłami trawy. Pod skorupą błota i zaschniętego mułu widać było liczne stare rany, gnijące pod ropiejącymi strupami, a z ugryzienia na nodze ciekła jasna krew.

Człowiek jęknął słabo i podczołgał się do pobliskiej sadzawki. Jeśli zdawał sobie sprawę z ich obecności, nie było tego po nim widać. Ledwo widoczny ślad zgniecionej trawy wskazywał na to, że mężczyzna czołgał się już od jakiegoś czasu – najwyraźniej zabrakło mu sił zanim zdołał dowiec się do wody.

Boree chrząknęła gardłowo. – To żołnierz, z wielkiej bitwy.

– Nasz, czy ich? – zastanawiała się Erill.

– Kogo to obchodzi. Najlepiej skończyć męki tego biedaka i mieć to z głowy – Boree uniosła siekierę.

– Nie! – zaprotestowała gwałtownie Erill. – On nie wygląda na ciężko rannego. Może tylko potrzebuje wody.

– Potrzebuje dużo więcej, kotku. Może jest cały zgruchotany w środku. Do diabła, co masz zamiar zrobić?

Mniejsza dziewczyna nachyliła się, żeby pociągnąć mężczyznę za ramiona. – Pomóż mi, Boree. Zaciągniemy go do sadzawki. Widziałam już zbyt wiele trupów.

– A więc jeszcze jeden nie powinien cię zmartwić – burknęła Boree. – No, daj mi go wziąć za ramiona, pociągnę go. Ty chwyć za nogi. Jeśli ma coś złamanego, to nie będzie już na co zwracać uwagi.

Zakłęła podnosząc ramiona mężczyzny. – Do diabła, kotku. Gdyby mógł, na pewno by powiedział, że nie chce żyć. Ma wygryzioną połowę twarzy.

– Boree, zamknij się i ciągnij.

Z wielkim wysiłkiem, bowiem mężczyzna był masywnej budowy, a bezwładne ciało trudno jest nieść, dwie kobiety zaciągnęły go do obozowiska. Kilka dni wcześniej ich wóz jechał wraz z hordami Satakijczyków idących na Sandotneri – nie tyle z powodu sympatii dla Mroczonej Krucjaty, ale dlatego, że bierność mogła być uznana za przejaw niewierności wobec Sataki, a niewierność nie uchodziła uwadze jego sług. Teraz, kiedy wracały ze splądrowanego miasta, kulawy koń zmusił je do pozostania w tyle maszerującej powoli hordy. Po trochu oddalały się od głównych sił Satakijczyków: wracały do Ingoidi, ponieważ nie było dokąd pójść.

Erill zastanawiała się nad ucieczką na południe. Jednak teraz, gdy Sandotneri padło, Miecz Sataki szala! po południowych królestwach jak niszczycielski wichur. Mroczonej Krucjaty ogarniała kolejne kraje i nie było dokąd uciekać. Wracały więc powoli do lasów Shapeli, a tego wieczoru zatrzymały się tu, mając przed sobą jeszcze dzień drogi wozem.

Ostrożnie położyły mężczyznę na brzegu jeziora. Ledwo odzyskał siłę, by wychłęptać parę łyków, a potem znowu stracił przytomność, Erill zdjęła z niego poszarpany kaftan i zaczęła zmywać brud z jego udręczonego ciała. Mężczyzna leżał nieprzytomny cały czas, nawet wtedy, gdy tarła jego zaskorupiałe rany.

Boree, która zabrała się ponownie do gotowania kolacji, podeszła zobaczyć, czy ranny jeszcze żyje. Pokręciła głową, a potem skrzywiła się, mrużąc oczy w słabnącym świetle słońca.

– Ta rana na jego twarzy jest stara. To tylko blizna.

– Wygląda na starą bliznę po oparzeniu – stwierdziła Erill. – Nie sędzę, żeby był ciężko ranny. Jest głównie spragniony i wyczerpany.

– I gorączka – zauważyła Boree. – On ma gorączkę. To go zabije, nawet jeśli nie dostanie od tych ran zakażenia krwi.

– Nie są głębokie, tylko paskudnie wyglądają, bo są zaropiałe – powiedziała Erill. – I wokół nich są okropne sińce.

– To urazy od uderzeń – oceniła Boree. – Najprawdopodobniej miał wtedy na sobie zbroję. Trzeba nie lada wysiłku, żeby rozłupać stalową płytę pancerną, chyba że trafisz w spojenie.

Popatrzyły na nieprzytomną twarz, której poznaczona bliznami połowa była nienaturalnie biała w porównaniu z zaczerwienioną od gorączki prawą stroną. To była kiedyś ładna twarz.

– Erill, czy wiesz, kto to jest? – szepnęła nagle Boree.

– Tak.

– Erill, to jest Jarvo! To musi być oni

– Wiem. Domyśliłam się, kiedy go podniosłyśmy. Boree oblizwała grube wargi. – Wyznaczono za niego wielką nagrodę. Za żywego lub umarłego.

– Utrzymamy go przy życiu – powiedziała Erill. – Jeśli zdołamy.

– Nagroda jest taka sama.

– Nie zatrzymamy go dla nagrody.

– Nie dla nagrody? – Boree usiłowała zrozumieć żart.

– Ukryjemy go i wyleczymy.

– Erill, ty chyba oszalałaś!

– Nie. – Twarz Erill była równie zacięta jak jej głos. – Kiedyś Satakijczycy uczynili ze mnie narzędzie zniszczenia miasta. Teraz ja uratuję miecz, który zniszczy Mroczonej Krucjaty.

– Oh, Erill – szepnęła Boree. – Oh, Erill.

GODZINA DZIECI

– Nuczii! Nuczii! Nuczii!

Jarvo obrócił się gwałtownie, słysząc szydercze wrzaski dzieci i zobaczył, że tylko bawią się w zaułku. Rozluźnił się, a potem niespokojnie rozejrzał wokół, czy aby nikt nie zauważył jego nerwowego drgnięcia.

– Nuczii! Nuczii! – Żałosny jęk a potem piski śmiechu. „Nuczi”. On był „inucziri” – albo „nuczi”, jak zostało to skrócone w obecnej gwarze. Na świecie zostały tylko dwa rodzaje ludzi: Satakijczycy i inucziri – dosłownie „ci, którzy zdradzają jedyną wiarę”. Równie dobrze można było powiedzieć: żywi i martwi, bo tam gdzie padał cień Mrocznej Krucjaty, nie było innego wyboru.

Jarvo zamarł, a w chwilę potem starał się wyglądać nonszalancko. Po drugiej stronie ulicy zobaczył dwóch strażników w czerwonych opończach z czarnym avellańskim krzyżem Sataki – mundurach Obrońców Sataki, przybocznej straży Proroka. Czy tylko tak sobie stali, czy obserwowali go? Mogli zastanawiać się, dlaczego krzyk „nuczii!” nakazał mu się odwrócić. Udając lekkie zaciekawienie, Jarvo nie zwolnił kroku i podszedł do miejsca, gdzie dzieci śmiały się i bawiły przy wyjściu z zaułka. Patrząc kątem zdrowego oka, zauważył, że Obrońcy w czerwonych opończach niespiesznie idą w jego stronę. Przez chwilę Jarvo zastanawiał się, czy nie rzucić się do ucieczki w głąb zaułka. Dwie rzeczy powstrzymały go. Potwierdziłoby to tylko ich podejrzenia i nakłoniło do dmuchnięcia w gwizdki co było teraz sygnałem rozpoczęcia polowania na nuczi. Poza tym uliczka była ślepa.

Jarvo popatrzył w głąb ciemnego zaułka, jakby ciekawiło go, jaką zabawę znalazły tam dzieci. Przez chwilę ciemność skrywała odległy kraniec uliczki, a potem jego oko przyzwyczało się do mroku.

Na drugim końcu dzieci zbiły z niepotrzebnych desek ramę w kształcie litery X, naśladującą avellański krzyż Sataki. Na niej wisiała głową w dół dziewczynka – nie mogła mieć więcej jak sześć lat – i całym chudym ciałem ocierała o niewprawnie wbite gwoździe. Jej twarz była zniekształcona grymasem bólu i sińcami, a niezrozumiałe, żalosne jęki były ledwo słyszalne.

– Nuczii! Nucziiii – wrzeszczały dzieci piszcząc i wbiegając do ślepego zaułka, obrzucając ją odpadkami i kawałkami gruzu. Przypadkowe trafienie wywoływało nowy skowyt bólu.

– Nuczii! Nuczii! Nuczii!

Jarvo chciał podejść, ale poczuł, że ktoś chwyta go za ramię. Odwrócił się gwałtownie. Ogarnięty mdlącą odrazą, zapomniał o dwóch Obrońcach.

– Żaden problem, przyjacielu – jeden z nich wyszczerzył się w uśmiechu. – To z pewnością bachor nuczi, Aresztowaliśmy jej rodzinę zeszłej nocy, ale dzieciaki wypłoszyły ją z ukrycia dopiero dziś rano.

– I pomyśleć, że zrobiły sobie własny mały Plac Sprawiedliwości, tak jak dorośli – zachichotał towarzysz. – Dzieciaki wszystko podpatrują.

– Przyglądałem im się przez cały poranek – dodał pierwszy strażnik. – Czasami nastraszą jakiegoś dorosłego, tak jak ciebie. Ale to tylko bachor nuczi.

Jarvo uśmiechnął się krzywo. Obrońcy patrzyli na niego w taki sposób, żeby zrozumiał, o co mogą być podejrzeni przechodnie, którzy chcą przeszkodzić w egzekucji nuczni. Jarvo poczuł skurcz mięśni brzucha. W bucie miał ukryty sztylet, a przecież dla bezpieczeństwa publicznego Prorok zabronił obywatelom noszenia broni. Mogli mieć broń tylko biorący udział w Krucjacie. Obrońcy nosili stalowe hełmy, zbroje oraz ciężką broń. Jeśli rozpoznają go pod charakterystyką Erill, nie ma szans, żeby uciec.

– Jak masz na imię, przyjacielu? – zapytał pierwszy strażnik.

– Insiemo – odrzekł Jarvo, podając się za osobę, której tożsamość nadała mu Erill.

– Powiniennem pamiętać twarz taką jak twoja. Skąd jesteś?

– Z Cechu Teatrów. Pracuję głównie przy dekoracjach i nie wychodzę często.

– Dokąd idziesz, Insiemo?

– Mam przerwę. Idę się napić.

– Co się stało z twoją twarzą?

– Byłem w pierwszym szeregu, który przedostał się przez mury w Emleoas.

– Ach, tak? To był zachodni mur. – Zostało to powiedziane jakby od niechcenia.

– Nie – Jarvo wyczuł pułapkę. – Zachodni mur był nad rzeką – nie było tam nawet dość błota, żeby postawić drabinę. Przedostaliśmy się od wschodniej strony, po silnym ostrzelaniu ze wzgórz. Wspiąłem się na przedmurze w samą porę, żeby ukryć się przed płonąca smołą, która zalała drabinę pode mną. No cóż, zdążyłem uchylić się przed prawdziwą lawiną.

– Jeden z tych pierwszych, co? – W ich głosie słychać było ślad współczującego szacunku. – No tak, nic dziwnego, że nie chcesz za bardzo pokazywać się wśród ludzi.

– Bez farb i wosku wyglądałoby jeszcze gorzej – dodał Jarvo.

– Zauważyłem, że jesteś jakby ucharakteryzowany.

– Już wiem! – Drugi strażnik, który milczał podczas przesłuchania, uderzył pięścią w dłoń. –

Jarvo!

Jarvo zamarł, a jego twarz stała się podwójną maską.

– Co? – wybełkotał pierwszy strażnik.

– Jasne! Jarvo! – wykrzyknął jego towarzysz zadowolony z siebie. – To ten facet, który gra Jarvo w nowej sztuce, jaką cech wystawia w tym miesiącu: „Niepowstrzymany Pochód Miecza Sataki” Oglądałem ją już trzy razy.

– A ja jeszcze tego nie widziałem.

– To lepiej obejrzyj. Jak do tej pory to najlepsza sztuka.

– Nie sądziłem, że ktoś mnie rozpozna bez kostiumu

– tłumaczył się niezręcznie Jarvo, mając nadzieję, że nie zdradzi go łamiący się głos.

– Nie domyśliłbym się, gdybyś nie wspomniał, że jesteś z Cechu Teatrów. Pewnie, z taką poparzoną twarzą jesteś stworzony do tej roli. Co prawda nie jesteś wystarczająco wysoki, ale to nie ma większego znaczenia na scenie.

– No, to ja już pójdę, bo nie zdążę napić się przed powrotem do pracy – zasugerował Jarvo. – Zróbcie nam owację następnym razem, kiedy będziecie wśród publiczności.

– Oczywiście. To wspaniałe przedstawienie. Cech Teatrów może nie produkuje broni ani zbroi, ale mimo to wszyscy wnosicie wielki wkład do Krucjaty. Każdego wieczoru, po obejrzeniu tego nowego przedstawienia, wracałem do koszar, myśląc o tym, żeby wstąpić w szeregi Miecza Sataki i mieć swój udział w chwale.

– Cóż, Obrońcy Sataki też mają ważne zadanie do wypełnienia – powiedział Jarvo, wycofując się pomału.

– Masz rację, Insiemo. Tylko że nas nigdy nie oklaskują tak, jak przejeżdżającą konnicę.

Jarvo mruknął coś współczująco i wymknął się, szukając schronienia w karczmie na rogu. Mimo wszystko samotne wyjście na ulice Ingoldi nie było dobrym pomysłem. Erill będzie na niego wściekła. Jednak, po zbyt wielu tygodniach bezczynności i ukrywania się w pobliżu wozu Erill w Cechu Teatrów Jarvo poczuł, że musi wyjść sam, bo inaczej oszaleje. Świadom, że wciąż jest obserwowany

– Obrońcy Sataki mieli na oku wszystko – wszedł do karczmy.

Przedtem nie był spragniony, ale teraz poczuł, że zaschło mu w ustach. Jarvo zawołał, żeby przyniesiono mu kubek piwa i stwierdził, że trunek jest bardzo drogi. Zastanawiał się, czy starczy mu pieniędzy. Zapłacił błyszczącymi, nowymi monetami, które miały na jednej stronie wybity znak Sataki, a na drugiej profil Orteda Ak-Ceddi. Monety udawały srebro, ale brzęczały, jakby zrobiono je głównie z cyny. Prorok przetapiał zdobyte w wyprawach złoto i srebro na sztaby. Podobno po to, by wybijać nowe monety – które jednak coraz bardziej traciły na wartości, w miarę jak cenne metale szły do skarbców Ceddi albo na utrzymanie Miecza Sataki. Karczmarz nie wyglądał na zadowolonego z tych nowych monet, ale w pobliżu stali dwaj Obrońcy i nie było mądrze się skarżyć.

Niosąc piwo, Jarvo podszedł do ławy w cieniu pod ścianą, gdzie mógł spoglądać przez otwarte okno. Po jednym łyku poznał, że piwo było rozwodnione. Popijał je bez utyskiwań. Główna sala w karczmie była niemal pusta. .

Strach. Widać go było na twarzy każdego przechodnia na ulicy. Służba Sataki albo śmierć, takie było prawo. Wypisano je na ścianach i sztandarach w całym mieście, w całym Shapeli. Prawdopodobnie również we wszystkich królestwach południowych, bowiem każdy tydzień przynosił wieści o kolejnym miażdżącym zwycięstwie Kane'a i Miecza Sataki. Prorok powiedział, że narzuci to prawo całemu światu. Może to rzeczywiście uczyni.

Jarvo popijał swoje ciepławe piwo i spoglądał na obraz namalowany na ścianie karczmy. Przedstawiał on Orteda Ak-Ceddi na czele bohaterskich wyznawców w czasie pierwszej bitwy na Targu Cechów; szable splamione krwią bezbronnych mieszczan i szczerze twarze zbirów ze straży miejskiej, którzy kulili się ze strachu i próbowali uciec. Jarvo odwrócił się ponownie do okna.

Strach. Satakijczycy albo unicestwili, albo wchłonęli wszystko, co stało na drodze Mroczej Krucjaty. Nie było pośredniego stanowiska. Zaprzysięgałeś swą duszę Sataki i przyłączałeś się do triumfującej hordy. Albo sprzeciwiałeś się Sataki i dołączałeś do jeszcze większej społeczności martwych. Jednak niezbędna była czujność, aby nowo zaprzysiężeni Satakijczycy potajemnie niepozostawali inucziri. Człowiek może skłamać, żeby ocalić skórę, myśląc, że zdoła uciec następnego dnia. Obrońcy Sataki stale czuwali, by wykryć podobną zdradę. Niewierność wobec Sataki oznaczała pewną i straszną śmierć na Placu Sprawiedliwości albo w tajemnych piwnicach pod Ceddi.

Nuczi ukrywali się wszędzie. Spiskowali przeciw Mroczej Krucjacie. Błuznili przeciw Sataki. Szeptali zdradzieckie słowa przeciwko Ortedowi Ak-Ceddi. Kiedy Prorok rozkazywał wiernym pracować w jakimś podniosłym celu dla dobra ogółu, nuczi narzekali. Kiedy Prorok odbierał łupy z podbojów swoim wiernym, żeby kupować następnych żołnierzy i broń dla publicznej obrony, nuczi skarżyli się. Kiedy Prorok żądał, aby wierni uczyli się pieśni i obrzędów Sataki, nuczi nie wykazywali zapału. Całe szczęście, że Obrońcy Sataki potrafili tak wprawnie wyszukiwać nuczi.

Jarvo doszedł do wniosku, że nie ma potrzeby dalej się narażać. Udowodnił sobie, że nie może bezkarnie chodzić po ulicach Ingoldi. Teraz czas na coś innego.

Kiedy wychodził z karczmy, beznadziejny jęk dochodzący z zaułku przeszedł nagle w przeszywający krzyk boni, głośniejszy niż wycie i śmiechy dzieci. Jarvo dostrzegł wydostający się

dym i tylko przez chwałę wydawało mu się, że nie czuje nic więcej niż smród palonych odpadków.

– Przekłete dzieciaki! – Dwaj Obrońcy pobiegli w stronę zaułka. -- Spalicie całe cholerne miasto, jeśli nie będziecie ostrożniejsze!

– Nuczii! Nuczii!

XVIII

SEN I DELIRIUM

Kiedy Erill gniewała się, jej oczy zwęziały się i błyszczały tak jasno i zielono, jak opaska z jadeitowych paciorków na czole. Teraz właśnie była rozgniewana.

– Do diabła, Jarvo! Ostrzegałam cię, żebyś jeszcze nic wychodził sam! A ty najpierw co zrobiłeś? Wpakowałeś się na dwóch Obrońców!

Była wściekła. Sama ustaliła, że będzie go zawsze nazywać Insiemo – żeby nie został odkryty, gdyby ktoś ich podsłuchiwał.

– Jestem tu zamknięty od miesięcy – odkrzyknął Jarvo. – Do diabła, kobieto! Wdzięczny jestem za wszystko co zrobiłaś, ale nie mam zamiaru wiecznie ukrywać się pod twoim łóżkiem, podczas gdy Esketra cierpi w haremie tego diabła!

Erill zacisnęła szczęki i jeszcze bardziej zmrużyła oczy,

– Do diabła ze wszystkim! Nie obchodzi mnie co robisz, żeby narazić na niebezpieczeństwo swoje cholerne życie! Czy nie może dotrzeć do twojej tępej głowy, że jeśli spaprzesz robotę, trafią za tobą do nas – i wszyscy, po raz ostatni, wystąpimy na szafocie Placu Sprawiedliwości!

To dotknęło go boleśnie, bowiem zdawał sobie z tego sprawę wcześniej, a mimo to zaryzykował.

– Przepraszam, Erill – szepnął Jarvo, ustępując przed gniewem. – Ryzykujesz bardzo wiele z mojego powodu i nie mam prawa narażać na niebezpieczeństwo ciebie, Boree i wszystkich twoich przyjaciół. Do cholery, nie mogę jednak siedzieć w ukryciu i nic nie robić. Kiedy pomyślę o tym, co musi znosić Esketra...

Erill przeklinała samą siebie, spoglądając na niego ponuro. Musiała być całkiem szalona, żeby poinformować Jarvo, iż jego Wielka Miłość żyje i spoczywa wśród jedwabi i futer w wieży Proroka w Ceddi. Tak bardzo się załamał, kiedy usłyszał, że Sandotneri jest tylko miastem duchów. Powiedziała mu o niewoli Esketry w rozpaczliwej nadziei, że może to wyrwie go z posępnego nastroju, który trawił jego duszę mocniej niż gorączka. Rzeczywiście, wyrwało go to z melancholii i od tej pory krążył niespokojnie, układając szalone plany uwolnienia Esketry z fortecy Proroka. W gorączce wykrzykiwał ciągle jej imię, a teraz, kiedy był zdrowy, mówił o niej bez przerwy. Erill zaczęła nienawidzić kobiety, której nawet nigdy nie widziała.

Przerwała kamienne milczenie. – Posłuchaj, mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. Czy obiecasz mi, że nie oddalisz się od cechu, dopóki nie wrócę?

– Nie wyjdę z wozu nawet, żeby się wysikać – odburknął.

Dziewczyna wyszła bez pożegnania, a Jarvo nawet nie podniósł głowy. Był w parszywym nastroju i powiedział sobie, że nie powinien czuć się winny. W końcu Erill urodziła się i wychowała w rynsztoku, Ocaliła mu życie, ryzykując własnym, i za to winien jej wdzięczność. Jednakże była zbyt nisko urodzona, aby zrozumieć obowiązki, jakich honor wymagał od szlachty, tak jak była również zbyt pospolita, by pojąć miłość tak głęboką \ pełną poświęcenia, jaką on czuł do Esketry. Erill i jej przyjaciele uczynili wiele dla niego, a Jarvo czuł tę sarną wyniosłą wdzięczność, jaką każdy wielki pan czuje do swych wiernych poddanych.

To nie mogło być nic więcej. To nie może być nic więcej. Jarvo zachował zaledwie mgliste

wspomnienia tych pierwszych tygodni, gdy leżał w gorączce w jej wozie. Był w stanie pomiędzy delirium a agonią, podczas gdy Erill zmuszała go do łykania bulionu, herbaty z eukaliptusa, wyciągów z kory drzewa chinowego i innych proszków, jakie przygotowywała Boree. Przez cały czas obozowały nad stawkiem, obawiając się ruszyć go, póki nie ustąpi gorączka. Ich obóz mijali inni maruderzy z hordy Satakijczyków. Kiedy ktoś pytał, Erill wyjaśniała, że ten chory to Insiemo, jej kochanek, ciężko ranny w wielkiej bitwie pod Meritavano. Nikt nie zadawał dalszych pytań. Były tysiące rannych, wielu o twarzach tak obandażowanych jak twarz dzielnego Insiemo.

Po kilku dniach Jarvo bywał już przytomny i to na tyle długo, by rozglądać się po wnętrzu wozu i obserwować jasnowłosą dziewczynę, która z niepokojem opiekowała się nim, i ciemnowłosą starszą kobietę, której dziobata twarz była zawsze skrzywiona. Stopniowo mgła majaków rozwiewała się, aż zrozumiał swoją sytuację. Wtedy rozpacz zaczęła dręczyć go okrutniej niż gorączka.

Jarvo przypomniał sobie bitwę, uświadomił beznadziejną klęskę oraz odtworzył rozpaczliwą próbę zebrania rozproszonych wojsk i ostateczny koszmar, kiedy paniczny odwrót zakończył się ugrzęźnięciem w zdradzieckim bagnie pod Meritavano. Wspomnienia dręczyły go wciąż na jawie i we śnie.

Wyczerpany bitwą, targany bólem z ran pod powgniataną zbroją, nie od razu w pełni zdał sobie sprawę z tego, jak straszliwą zgubą okazała się ucieczka na bagno. Wysoka trawa nagle zmieniła się w trzciny, a twarda gleba w bezdenne błoto. Koń Jarvo ugrzązł w niewidocznym trzęsawisku, zrzucając go przez kark w lepkie błoto. Bezradny w swej ciężkiej zbroi, Jarvo nie mógł wydostać się ze śliskiego mułu. Szarpanina wpychała go tylko jeszcze głębiej w bulgoczącą otchłań mokradła. Przerażony Jarvo zrozumiał, że ciężar pancerza wciągnie go całkiem pod powierzchnię bagna, a rzęsa i cuchnący muł przeciekną przez otwory w przyłbicy, topiąc go w błocie; jego trumną będzie stalowa zbroja. I wtedy niewidoczne ręce przytrzymały jego tonące ciało. Czyjeś palce gorączkowo odpięły hełm z maską demona, ściągnęły z głowy i odrzuciły daleko. Żołnierze z lekkiej konnicy, mniej obciążeni w lekkich pancerzach, podczołgali się do niego. Wierni do śmierci, zawzięcie starali się wydobyć swego wodza z pancernej trumny. Była to niełatwa walka, bowiem spadały na nich strzały pościgu Satakijczyków, zgromadzonych na twardym gruncie. Wreszcie wyczerpany i słaby jak noworodek i niemal równie nagi, Jarvo leżał na brzuchu w udeptanym błocie i dyszał ciężko.

Niektórzy z jego ludzi wydostawali się na przeciwległy brzeg podmokłej łąki i brnęli zmęczeni pośród wysokiej trawy, mając jeszcze nadzieję na ucieczkę. Jarvo wiedział, że Kane pośle swoją konnicę, by objechała mokradło i odcięła im odwrót. Stąd nie można było uciec, ale nie mógł również zostać tu, gdzie był. Lepiej utonąć w bagnie, niż dostać się w ręce Kane'a. Istniała jedna, rozpaczliwa szansa i Jarvo z niej skorzystał. Czołgając się w błocie jak jakaś niezdarna salamandra, zaczął brnąć przez mokradło. Poruszał się wzdłuż zarośniętej trzcina rzeki, jak najdalej od odgłosów masakry. Za nim wybuchło zamieszanie, gdy Satakijczycy wypełzli w bagno, by dobijać grzęznących w błocie kawalerzystów. Płynąc przez pokryte rzęsą sadzawki i czołgając się wśród wysokich trzcين, Jarvo umknął z kręgu rzezi. Był już daleko, kiedy mrok zakrył myśliwych i ofiary, zabójców i zabitych.

Następne dni przysłała mu mgła otępienia i nie pamiętał ich lepiej niż tych pierwszych, które spędził w wozie Erill. Wyczerpanie i ból z ropiejących ran stale mu dokuczały – dopóki gorączka nie stłumiła wszystkich innych doznań. Pamiętał, że pił wodę z cuchnących sadzawek w rozpaczliwej próbie ugaszenia palącego pragnienia, i że pożerał na surowo węże, żaby i ślepe robactwo, które było jedynym pokarmem, jaki mógł złapać. Pamiętał bolesne ukąszenia niezliczonych owadów i palący dotyk słońca. Kiedyś zobaczył przed sobą zwiniętą żmiję – jej jadowite ukąszenie

przyniosłoby miłosierną śmierć, lecz on zabił ją kamieniem i zjadł.

Jarvo przypuszczał, że prawie przez cały czas był całkiem obłąkany. Nigdy nie był pewien swoich planów, poza bezpośrednim pragnieniem ucieczki. Na początku chciał powrócić do Sandotneri, ale było to niemożliwe, bo ciągle trwało oblężenie Kane'a. Gdzieś w głębi duszy Jarvo wiedział, że po jego katastrofalnej klęsce Sandotneri musi paść. Czasami, kiedy zdołał zebrać myśli, wydawało mu się, że musi iść do Ingoldi – że jedyny sposób, aby odkupić swą hańbę, to odszukać tam Kane'a i zabić go. Tylko czasami jego sen o zemście nakazywał mu zabić również Orteda Ak-Ceddi. Po kilku następnych dniach bezcelowego wędrowania w kierunku mniej więcej północnym, jedyne o czym Jarvo pamiętał, to żeby nie dać się wziąć do niewoli. Potem nawet to zatarło się w jego świadomości. Nastąpił nie dający się określić czas pełnej bólu czerni, który zakończył się wreszcie, gdy jego rozgorączkowane spojrzenie dostrzegło twarz Erill. Zanim Jarvo zaczął sam jeść, zapuścił gęstą brodę pomimo potu i dreszczy. Z powodu blizn jasny zarost nadawał mu zdecydowanie parszywy wygląd, ale upłynie jeszcze wiele dni, zanim zacznie na to zwracać uwagę. Erill opowiedziała już, jak umiała, o losie Sandotneri. Jarvo leżał w tępej rozpaczycie zastanawiając się, czemu został oszczędzony. Jeszcze zacieklej niż zwykle przysięgał zemstę Kane'owi.

W takim ponurym nastroju dowiedział się od Erill, że Esketra żyje – została wywieziona przez Proroka do Ceddi, żeby zaspokajać jego żądze. Jarvo po tej informacji milczał przez wiele godzin. Kiedy już się odezwał; mówił znowu spokojnie, bowiem znalazł nowy cel w życiu. Powróci do Ingoldi z Erill i Boree, i tam będzie czekał na okazję, by uwolnić Esketrę.

To było możliwe, tego Jarvo był pewny. Uwierzyć, że mogło być inaczej byłoby torturą nie do zniesienia. Pozostało tylko zaplanować ucieczkę i czekać na sposobność. To prawda – Esketra nie była mu wierna, jednak on mógł to wybaczyć, wiedząc, że jej serce będzie znowu należało do niego, kiedy zuchwale wykradnie ją z cytadeli Proroka. Ich świat już nie istniał, a miłość będzie ich nowym światem.

Następne dni spędzał na układaniu tysięcy szalonych planów. Przypuści szturm na cytadele przy pomocy tajnej armii. Zorganizuje bunt. Wpadnie do wieży Orteda i potnie go na kawałki, a Esketra będzie przyglądać się temu z błyszczącymi oczyma. Zakradnie się do cytadeli w nocy i wykradnie ją z zuchwałością mistrza złodziejskiego fachu. Zastawi pułapkę na Kaneli, pokona go w bohaterskim pojedynku i daruje mu życie, zmuszając do uwolnienia Esketry.

Planów i ich wariantów była niezliczona ilość, od niemal prawdopodobnych do beznadziejnie fantastycznych. Każdy kończył się tą samą nutą triumfu i rozkoszy. Erili wysłuchiwała większości z nich cierpliwie, czasami wtrącając tylko zgryźliwą uwagę. Wreszcie gorączka ustąpiła, nie wiadomo czy od gorzkich leków, czy wybujających nadziei, i Jarvo wrócił do sił.

Musieli podążyć z powrotem do Shapeli, inaczej ryzykowaliby, że patrole Sataki zapolują na nich jak na inucziri, a przejeżdżały nieopodal coraz częściej, w miarę jak Kane prowadził Miecz Sataki coraz dalej w głąb królestw południowych. Erill początkowo planowała tylko podleczyć Jarvo i pomóc mu w ucieczce gdzieś, gdzie mógłby zgromadzić nową armię przeciwko Kane'owi. Do czasu, kiedy nie będzie dość silny, by odejść, wołała, żeby został. Kiedy upierał się, żeby pojechać do Ingoldi, jej protesty nie były zbyt przekonujące.

Mimo wszystko, przed Mroczną Krucjatą nie można było nigdzie się schować. Co więcej, powszechnie uważano, że generał Jarvo jest już pokarmem robaków w bagnie – a nawet gdyby jakimś cudem uszedł z życiem tamtego dnia, czyż było mniej prawdopodobne miejsce schronienia dla niego niż Ingoldi? Wreszcie Jarvo był zdecydowany udać się do miasta. Jeśli Erill zawiezie go swoim wozem, to doskonale. Jeśli nie, sam tam dotrze.

Erill przywiozła go więc do Ingoldi. Wiedziała, że gdyby przybył sam, mógłby od razu

wzbudzić podejrzenia. Jarvo śmiał się z jej obaw. Erill powstrzymywała swój gniew i ostrzegała go, że nie ma pojęcia, co czeka ich w stolicy Proroka. Jarvo śmiał się. Tak jak to zwykle bywa, był to niestety śmiech ignoranta.

Jarmarczny wóz z dwiema kobietami i okaleczonym weteranem nie wzbudzał natychmiastowych podejrzeń, nawet w Shapeli. Erill postarała się, by nie było powodu do żadnych domniemywań, bowiem obrońcy Sataki byli wiecznie czujni i rzadko mieli skrupuły, szczególnie jeśli chodziło o rozróżnienie rzekomych podejrzeń od udowodnionej winy.

Jarvo stał się Insiemo, wiernym wyznawcą Sataki, którego twarz okaleczono pod Emleoas. Stare rany nie pozwalały mu wstąpić w szeregi Miecza Sataki, ale przyłączał się do hordy Satakijczyków, która zgotowała zgubę Sandotneri. Jego rany otworzyły się w drodze powrotnej z Sandotneri. Erill znalazła go wtedy, udzieliła rannemu bohaterowi schronienia w swoim wozie i stali się kochankami. Boree drwiła z tego, ale Jarvo zgodził się, że taki podstęp uspi czujność straży. Humanitarne gesty były podejrzane w Shapeli.

Poza regionalnymi dialektami język Shapeli i wszystkich królestw południowych był taki sam. Tylko akcent Jarvo był podejrzany. Erill tak długo ćwiczyła jego wymowę, aż mógł uchodzić za mieszkańca jednego z przygranicznych miast, którego akcent nabrał obcych cech po latach społecznych przewrotów w Shapeli.

Jarvo był gładko ogolony – Insiemo nosił pełną, choć miejscami nierówną brodę. Jarvo miał jasne włosy i był zadbany – Insiemo miał przefarbowaną na brąz brodę i kędzierzawe, przyprószone siwizną włosy. Jarvo nosił opaskę na oku – lewe oko Insiemo ślepo przypatrywało się światu. Niech się gapią na okaleczone oko – powiedziała mu Erill – mniej uwagi zwrócą na resztę twojej twarzy. Tłuste farby i barwniki uczyniły jasną cerę Jarvo smagłą. Pasemka gumy przedłużały bliznę na nos i nie-oparzoną stronę twarzy; woskowa charakteryzacja sprawiała wrażenie, że mężczyzna chce ukryć jak najlepiej blizny, ale maskowała również woskową nakładkę, która z jego prostego nosa czyniła garbaty dziób.

Erill zastanawiała się nad takimi szczegółami, jak gumowe wkładki pod policzki, aby zniekształcić rysy twarzy, albo srebrne łuki w nozdrzach, które rozszerzyłyby i zadarły nos, czy też zmieniające kształt uszu przypinki i gumowe wkładki. Doszła do wniosku, że nie należy tego robić. Zbyt długo się je zakładało, wymagały stałej uwagi, a można było je dostrzec przy bliskich albo uważnych oględzinach. Lepiej poprzestać na prostym przebraniu, które Jarvo mógł nosić tygodniami. Było ono dobre; tym skuteczniejsze, że niewielu żywych znało Jarvo z widzenia. Jarvo nie żyje, a w Shapeli wielu było takich okaleczonych weteranów jak Insiemo.

Potrzebna była kryjówka. Erill i Boree utrzymywały kontakty z jarmarcznymi aktorami podczas całych zamieszek. Dzięki temu miały co jeść i nie groziły im oddziały przymusowej pracy. Teraz, gdy wojna opuściła Ingoldi, Cech Teatrów zaczął rozkwitać. Wystawiano patriotyczne przedstawienia, aby podnieść ducha w ludziach; moralitety, aby przypomnieć o ich obowiązkach wobec Sataki i nowym wieku, jaki nadejdzie, kiedy Mroczna Krucjata odniesie zwycięstwo. Erill była zdolnym mimem i nie miała trudności z powrotem do dawnego zajęcia. Jarvo był silny i potrafił nawet trochę pracować, a w cechu było dość roboty, by wyjaśnić jego obecność – tylko trzeba poczekać na okazję.

Te tygodnie były dla niego udręką. Kręcił się i ciągle rozmyślał o Esketrze, a nic nie mógł zrobić. Pocięsział się zbieraniem szczegółowych informacji o fortecy Proroka i o funkcjonowaniu Mrocznej Krucjaty. Przyszło mu na myśl, że te informacje byłyby nieocenione dla armii najeźdźcy, ale dla Jarvo był to tylko ostateczny sposób dostania się do wnętrza Ceddi i uratowania Esketry.

Zadanie okazało się dużo bardziej skomplikowane, niż to sobie wyobrażał. Ingoldi żyło w ciągłym strachu i podejrzeniach. Obrońcy Sataki obserwowali wszystko, a co przegapili, mógł im

szeptnąć wierny obywatel. Za donoszenie na nuzi były nagrody. Ceddi była absolutnie zamknięta dla osób nieupoważnionych; nikt nie mógł tam wejść ani wyjść bez dokładnej kontroli. Nikt, z wyjątkiem kapłanów Sataki, nie wiedział na pewno, co dzieje się we wnętrzu cytadeli Proroka. Prawdopodobnie dopiero skazańcy zaciągani do tajnych lochów Ceddi dowiadywali się tego, ale żaden stamtąd nie wyszedł.

Po miesiącach frustracji Jarvo nawet nie ujrzał Esketry i wiedział tylko z plotek, że ulubiona nałożnica Proroka wciąż żyje.

Przy zdrowych zmysłach utrzymywało go układanie w myślach tysięcy szalonych spisków – marzył o ukrytych przejściach, drabinach przez mury, tajnych notatkach, szpiegach i podobnych próżnych nadziejach. Ostatnio zaczął myśleć o ryzykownym planie wstąpienia w szeregi kapłanów Sataki. Nikt nie wiedział dokładnie, w jaki sposób kapłani Sataki przyjmowali nowych braci.

Kiedy przygotowywano nowe przedstawienie, ktoś zasugerował, że Insiemo świetnie nadaje się do zagrania niczemnego Człowieka z bliźną – Jarvo. Przyjął tę rolę po słabych sprzeciwach. Był to zuchwały wyczyn, który odpowiadał jego nieprawdopodobnej brawurze. Sekretny żart; nic więcej niż granie na nosie wrogowi za jego plecami. Ale Jarvo wiedział, że musi wkrótce znaleźć sposób wyładowania się, bo inaczej wpadnie w szal.

Miesiące dłużyły się. Był pokonany, zhańbiony, ale uratowany od niechybnej śmierci, a teraz żył w cieniu samej fortecy wroga, uzależniony od ledwo dorosłej dziewczyny – jarmarcznej aktorki o dziwnych humorach i niepewnym charakterze. A w czasie, gdy on ukrywa się bezradny, Kane obraca w perzynę królestwa południowe, Orted Ak-Ceddi zapełnia swe skarbcze splamionymi krwią łupami, a Esketra pada ofiarą wyuzdanych żądz Proroka.

A Erill była na niego wściekła, że odważył się wyjść bez niańki. Jarvo siedział więc nachmurzony, dopóki wracająca do wozu Erill nie wyrwała go z tego ponurego rozmyślania. Jej twarz wyrażała zaniepokojenie.

– Co się stało? – zapytał ostro.

– Obawiam się, że mamy kłopoty. Właśnie dostałam wiadomość od starszych cechu.

– Kłopoty z cenzurą? – To mogło okazać się bardzo poważne.

– Chciałabym, żeby tak było. Nie, nowe przedstawienie spotkało się z bardzo przychylną oceną najwyższych urzędników. Jest to przedstawienie oddające ducha zwycięskiego postępu Mrocznej Krucjaty. Wszyscy wierni powinni je obejrzyć dwa razy.

– Więc w czym problem?

-- Jesteśmy za dobrzy. Prorok zażądał wystawienia sztuki w wielkiej sali w Ceddi.

Jarvo skoczył na równe nogi, śmiejąc się triumfalnie.

– To zbyt piękne, by mogło być prawdziwe! Nareszcie! To szansa jakiej potrzebowałem, żeby dostać się do Ceddi! Przynajmniej ujrzę Esketrę, może przekażę jej wiadomość, może nawet...

– To będzie uczta na cześć zwycięstwa i powrotu Kane'a.

Wprawne palce Boree przetasowały czarne kwadraciki z laki i pchnęły talię po blacie stołu do Erill.

– Spróbuj jeszcze raz, kotku.

Erill skrzywiła się i potrząsnęła ze złością jasnymi lokami.

– Dwa razy wystarczy, do cholery! Mam co innego do roboty. Zostaw mnie w spokoju.

Na twarzy Boree nie malowały się żadne emocje, ale jej oczy były posępne. – Jeszcze raz.

– Idź do diabła. Nawet nie chcesz mi powiedzieć, co poprzednio przeczytałaś w kartach. – Erill przyłożyła zapalone drewnienko do zimnej fajki i zapaliła ją pykając.

– Trudno dziś coś w nich wyczytać, kotku.

– Jest więc źle i nie chcesz mnie straszyć. Cóż, ponowne odczytanie kart nie zmieni losu.

– Mogłam gdzieś popełnić błąd.

– Więc nie warto marnować czasu. -- Proszę. Jeszcze raz.

Erill zakląła i wzięła czarną talię. Złościło ją, że trzęsą się jej ręce.

Jarvo spojrział na swoje ręce i zaklął. Drzenie nie przeszło. Nerwy – powiedział sobie i zacisnął mocno szczęki. To go zdradzało. Skurcz wstrząsnął jego muskularni; zęby zadzwoniły przez chwilę. To nie nerwy, to gorączka. Na Vaula! Nie dzisiaj...

Jarvo wściekle wytarł pot spływający po pobladłej twarzy. Zastanawiał się znowu, jak to możliwe, że się poci, skoro w żołądku czuje lodowaty chłód. Nieważne. Znajoma gorączka i dreszcze znów zdradziecko chwyciły go w swoje szpony – kiedy był pewien, że siły wróciły mu w pełni, pewien, że noce dygotania pod przesiąkniętymi potem kocami minęły na dobre. Nieważne; wróciły.

Erill nie może się dowiedzieć. Zrezygnowała z przekonywania go, by nie brał udziału w przedstawieniu u Proroka – ale tylko dlatego, że wiedziała, iż nie zatrzymają go żadne argumenty. Gdyby dowiedziała się o nawrocie jego choroby, nie dałaby mu spokoju, póki by nie zrezygnował – tłumacząc, że jego choroba pozwoli komuś innemu zagrać jego rolę bez wzbudzenia podejrzeń, a z pewnością w jego stanie...

Jarvo skrzywił się. Już słyszał jej rozgniewany głos. Erill portafiła być przekonywująca. Nic dziwnego, że krzepka Boree zawsze ustępowała wybuchowej dziewczynie.

Spojrzał w stronę zachodzącego słońca. Upłynie jeszcze parę godzin, zanim aktorska trupa zbierze się na występy w Ceddi. Być może do tej pory choroba ustąpi. Ataki były lżejsze, a odstępy między nimi coraz dłuższe.

Nieważne. Dziś wejdzie do Ceddi. Dzisiejszego wieczoru zobaczy Esketrę, nawet gdyby nie miał ujrzeć następnego świtu.

Jarvo ostrożnie wśliznął się do wozu i otworzył skrzynię stojącą obok jego łóżka. Na wierzchu czekała znajoma fiołka. Powstrzymując drzenie rąk, Jarvo odmierzył porcję sproszkowanej kory z drzewa chinowego i popił gorzkie lekarstwo łykiem wody.

Orted Ak-Ceddi wciągnął ze swego kciuka w nozdrza niewielką porcję sproszkowanych liści koka. Parsknął, kichnął i przełknął ślinę. Pociągnął parę łyków, aby zabić gorycz, którą poczuł, zanim zdrętwiało mu gardło i nos.

Kokainowa fala rozlała się miłym, ciepłym dreszczem po jego zdrętwiałych kończynach, likwidując senne otępienie niczym dotykający pajęczyny płomień. Potarł twarz i poczuł się odświeżony. Znikły ostatnie resztki kaca.

Leżąca obok niego na łóżku Esketra wydała przez sen płaczliwy dźwięk. Orted spojrzął na jej nagie ciało beznamiętnie jak nasycony uczestnik biesiady, który budzi się, przygląda resztkom uczyty i w otępieniu zastanawia się, jak minęła owa uroczystość.

Nałożywszy jedwabną szatę, Prorok poczłapał do wysokiego okna i odsunął ciężkie zasłony. Światło słoneczne zalało komnatę, ale stojący w oknie człowiek nie rzucał cienia.

Świtało, kiedy Prorok zawołał Esketrę i opuścił salę biesiadną, a teraz było już dobrze po południu. Kane życzył mu dobrej nocy; Orteda złościło, że po masywnym generale nie było znać godzin ucztowania.

Wspomnienie Kane'a przyciągnęło spojrzenie Orteda ku zasłonie dymu za murami miasta. Dym tysiąca ognisk. Miecz Sataki powrócił do Ingoldi, pędząc przed sobą niezliczone wojsko neofitów z podbitych miast południowych królestw. Orted rozmyślał o obładowanych skarbami wozach, które bez końca wjeżdżały przez bramy Ceddi. Gdyby nie wydatki wojenne, jego forteca z pewnością zostałaby pogrzebana pod lawiną złota – tak jak mury Ingoldi pęczniały od stale przybywających wyznawców.

Dziś wieczorem odbędzie się kolejna wielka biesiada na cześć niekończących się zwycięstw Mrocznej Krucjaty. Na cześć Kane'a.

Orted zachmurzył się na widok dymów unoszących się nad obozowiskiem głównego wodza. Jaki był ukryty powód jego powrotu? Szpiedzy Proroka donosili, że w Sha-peli już szeptano, iż generał może rządzić cesarstwem równie dobrze, jak dowodzić armią...

Orted wyjął następną szczyptę sproszkowanych liści koka ze złotego pudełka. Kane dobrze mu służył – dotychczas. Jednak każdy z nich wiedział, że grają w śmiertelnie groźną grę i żaden nie zamierzał przegrać. Orted zaciągnął się, potarł nos i uśmiechnął się lekko. To on wyznacza reguły w tej grze, a Kane może jeszcze pożałować swego triumfalnego wmaszerowania do Ceddi.

Orted odłożył pudełko i sięgnął po puchar.

Kane opróżnił kielich i niedbale odstawił go na bok. Kostka, którą właśnie rzucił, pokazywała dwójkę. Nachylając się nad stołem, przesunął jeden z gładkich, jadeito-wych sześcianów o jedno pole na heksagonalnej planszy.

Siedzący naprzeciwko pułkownik Alain, jego zastępca, mruknął coś pod nosem i rzucił kostką. Piątka. Przyglądał się planszy w milczeniu i wreszcie przesunął jedną z błyszczących brył na spotkanie pionka, którym ruszył Kane.

Zacisnął wargi.

– Rzucam wyzwanie.

– Wyzwanie przyjęte. – Kane odwrócił jadeitowy sześcian, odsłaniając trójkę. Alain zrobił to samo ze swoim pionkiem: czwórka. Kane zdjął pionek Alaina, odwrócił swój własny i przesunął go na zwolnione miejsce. Alain posepnie podrapał się po brodzie; z jego dwudziestu jeden pionków przeciwnik wziął do niewoli dziewięć, a sam stracił dwa.

– Kontynuuj raport – zachęcił go Kane, sięgając po kostkę.

Dolnes oderwał uwagę od planszy i wzruszył masywnymi ramionami.

– To już wszystko.

Kane wyrzucił trójkę, zawahał się moment, a potem cofnął jeden z wysuniętych pionków⁷ o jedno pole. Znow zwrócił się do swojego szpiega.

– Czyżby? Jesteś pewnien, że to ona?

– Całkowicie pewien – zapewnił go Dolnes. -- Musisz pamiętać, że uzyskanie jakiegokolwiek informacji jest niemal niemożliwe. Zbyt wiele dokonano tu zniszczeń. Nie ma żadnych dokumentów i, ogólnie rzecz biorąc, zbyt mało przeżyło osób, które mogłyby coś powiedzieć. Trzeba znaleźć ludzi, którzy mogą wiedzieć, mogą pamiętać i którzy może nawet zechcą o tym mówić. A zadawanie pytań w tej okolicy jest bardzo niebezpieczne.

– Znam trudności – powiedział chłodno Kane. – Gdyby było łatwo, nie płaciłbym ci tak szczerze. Płacę za rezultaty.

– Cóż, to jest prawdopodobnie ta dziewczyna, której szukasz – tyle mogę stwierdzić bez rozmowy z nią.

– Rozmowa nie jest konieczna – powiedział Kane, przestawiając kolejny pionek. – Rzucam wyzwanie.

– Nie przyjmuję – niechętnie zdecydował Alain. Wycofał pionek, a Kane zajął opuszczone miejsce, o które toczył się spór.

– Co określa rzut kostką? – zapytał Dolnes, nie mogąc ukryć ciekawości.

– Z którego boku sześciokąta można ruszyć pionkiem – odrzekł Kane. – Zakładam, że zdołasz odnaleźć tę dziewczynę.

– Oczywiście – Dolnes przyglądał się dziwnej planszy. – Jaką wartość mają pionki?

– Jedynek jest najwyższa, wartość zmniejsza się kolejno do szóstki. Jest tyle pionków poszczególnych wartości, ile wynosi cyfra na każdym z nich.

– Nie znam tej gry – zauważył zaintrygowany Dolnes.

– Jest dosyć stara – powiedział sucho Kane. – Chcę, żebyś przyprowadził mi tę dziewczynę. Dziś wieczorem. Nie zawieźdź mnie. Pułkownik Alain przydzieli ci ludzi do wykonania zadania.

Dolnes pokiwał głową. – Wszystkie pionki wyglądają jednakowo. Skąd wiesz, jakiej wartości jest pionek, który przesuwasz?

– Trzeba znać je na pamięć – powiedział Kane. – Poza tym wiele zależy od siły dedukcji i domysłów. No i zawsze można rzucić wyzwanie.

– A jeśli nie zgadniesz?

– A jak myślisz? – odrzekł Kane.

JEJ WARGI SĄ CZERWONE...

Specjalne przedstawienie „Niezwycięzonego Marszu Miecza Sataki” odniosło wielki sukces. Być może pomógł fakt, że publiczność była radośnie pijana. Pewne jest, że ci wyniosli, ubrani na czarno kapłani, nigdy nie oklaskiwali nikogo tak spontanicznie.

W cytadeli Proroka zrobiono miejsce na końcu wielkiej sali i wzniesiono tam scenę. Kiedy nadszedł wieczór, zaczęły wjeżdżać do Ceddi wozy z dekoracjami i kostiumami, a towarzyszyli im aktorzy, chór i wszyscy ci z cechu, którzy zdołali znaleźć pretekst, by wziąć udział w hucznej zabawie urządzonej przez Proroka. Kiedy z głównych dań pozostały już tylko ogryzione kości, publiczność stała się zadziorna, a aktorzy szykowali się do rozpoczęcia przedstawienia.

Sama sztuka była długa, głośna i pełna zamętu – składała się głównie z ciągu scen i procesji, przerywanych dramatycznymi mowami i hałaśliwymi, udawanymi walkami.

Narrator komentował i wyjaśniał sytuację, podczas gdy chór śpiewał pieśni bojowe i religijne, muzycy walili w instrumenty, a obsługa biegła po scenie, zmieniając dekoracje i troszcząc się o efekty specjalne. Odnosiło się wrażenie, że połączono moralitet z parodią i bijatyką. Publiczność reagowała entuzjastycznie wrzaskami i gwizdami. Aktorzy nosili starannie wykonane kostiumy i maski. Mieli lekkie, teatralne zbroje i wymachiwali drewnianymi mieczami. Konni galopowali po scenie na wiklinowych wierzchowcach umieszczonych u ich bioder. Przy czterdziestu czy pięćdziesięciu aktorach biorących udział w chaotycznej bitwie – a wszyscy wrzeszczeli, okładali się nawzajem i biegali wkoło – hałas był ogłuszający. Większość ról była nierozpoznawalna. Zabici żołnierze i oficerowie wstawali pomiędzy scenami, bili się znowu i ponownie ginęli. Główne postacie dramatu często miały role mówione – zwykle monologi i dramatyczne mowy – deklamowane na środku sceny i podkreślane przez ekstrawaganckie gesty i pozy.

Aktor odgrywający Orteda Ak-Ceddi miał rolę główną – przedstawiony był jako wysoka postać w czarnych jedwabiach, która wypowiadała niezliczone, podnoszące na duchu mowy i zawsze ruszała nieustraszenie do ataku w pierwszym szeregu. Jednakże większa część publiczności wołała Kane’a – masywnego aktora w ogromnej zbroi, który wiecznie się miotał, wykrzykiwał rozkazy i przekleństwa, oraz deptał wszystkich wchodzących mu w drogę. Mniejsze role przypadły ważnym oficerom. Wszyscy byli dzielnymi i odważnymi ludźmi, a dowódcy wrogiej armii – tchórzami i parszywymi draniami.

Rola Jarvo, odgrywana przez niejakiego Insiemo, była typowa dla tego gatunku; grał i bufona, i łajdaka. Zbroję Jarvo można było zobaczyć jeszcze na pół tuzinie innych aktorów w trakcie przedstawienia, ale czarny charakter z Sandotneri łatwo było poznać po poznaczonej bliznami twarzy, makabrycznie uwydatnionej przez sceniczny makijaż. Poza tym Insiemo nosił idiotyczną blond perukę, wkładki w butach, żeby zwiększyć wzrost i mówił wysokim, piskliwym głosem. Była to wspaniale zagrana rola, ulubiona przez publiczność, a wysiłki aktora były zawsze nagradzane głośnymi wrzaskami i wyciem.

Jarvo wygłaszał krótką, chełpliwą przemowę o tym, jak to będzie bluźnić przeciwko Sataki i zgniecie Mroczną Krucjatę. Śmiejąc się demonicznie, skakał po scenie, mordując bezbronnych

wieśniaków i matki zasłaniające swymi ciałami krzyczące dzieci.

W czasie przerwy na zmianę dekoracji i wyjście zabitych za kulisy, narrator wciąż opowiadał monotonnym głosem, a chór śpiewał żałobne pieśni i wezwania do boju. Na środkowej scenie pojawili się Orted i Kane: wygłosili długie, wspaniałe przemowy i uściskali się po przyjacielsku. Kane uniósł swój miecz. Dopiero co wskrzeszeni aktorzy w kolczugach i zbrojach pośpiesznie zgromadzili się wokół niego, jadąc na scenicznych koniach, które kołysały się wokół ich bioder. Maszerowali za Kane'em po całej scenie śpiewając głośno „Miecz Sataki został wyciągnięty”, a ich szeregi rozrastały się. Publiczność wiwatowała i przyłączała się do śpiewu.

Znowu zmiana dekoracji. Z przeciwległego skrzydła wyszedł Jarvo i jego banda morderców. Na widok Miecza Sataki, śmiało wyjeżdżającego z drugiego skrzydła sceny, kawaleria Sandotneri zatrzymała się w panice. Jarvo pisał i biegał w popłochu, krzycząc do swych ludzi, by go ratowali. Na nic się to zdało. Miecz Sataki wpadł na scenę, przewracając ogarniętych paniką żołnierzy Sandotneri i siejąc zniszczenie. Jarvo miotał się tu i tam, szukał ucieczki – tylko po to, by wpaść prosto na szarżę Kane'a. Błagając Sataki o litość i przebaczenie, Jarvo ginął nędznie od ciosu drewnianego topora Kane'a w zgiełku krzyków i szyderstw.

Przedstawienie miało się ciągnąć jeszcze godzinę, lecz rola Jarvo już się skończyła. Ponuro zdejmował kostium i zbroję, podczas gdy Kane i zwycięski Miecz Sataki maszerowali po scenie, śpiewając: „Miecz Sataki zawsze trafia”. W zasadzie Jarvo powinien zostać z trupą i pomagać przy dekoracjach i kostiumach lub statystować w nadchodzących bitwach, ale ponieważ tych, którym udało się wejść na przedstawienie było tak wielu, to jego nieobecności nikt nie zauważył.

Częścią zabawy były wymyślne, noszone przez zaproszonych maski. Zakrywały one górną część twarzy tak, by nie przeszkadzały w jedzeniu i piciu. Jarvo ściągnął perukę i zmył sceniczną charakterystykę. Przywłaszczył sobie elegancki, niezbyt wytarty kaftan z magazynu kostiumów i starannie nałożył maskę, którą przyniósł ze sobą. Była to woskowa karykatura jego własnej twarzy. Tak odziany wymknął się z zamętu za kulisami i znikł w mroku wielkiej sali, wtapiając się w tłum służby i gości. Po przedstawieniu będą występować akrobaci i tancerze, a potem znów będzie picie i ucztowanie. Aktorzy mogli brać udział w uczcie pod warunkiem, że nie będą widoczni. Nikt nie zwróci na niego uwagi, a w kłębiącym się tłumie może znajdzie sposób, by dotrzeć do Esketry.

Jarvo nie miał żadnych konkretnych planów co zrobi potem. W pierwszej ryzykownej grze wygrał – ani Kane, ani nikt inny nie zauważył nic szczególnego w postaci miotającego się po scenie Jarvo. Dlaczego zresztą mieliby cokolwiek podejrzewać? Jarvo nie żyje. Jednak Kane...

Nieważne. Dziś wieczorem szczęście mu sprzyja. Gorączka ustąpiła, zostawiając tylko uczucie szybkiego przepływu krwi. Niepostrzeżenie dostał się do twierdzy wroga. Kiedy już dotrze do Esketry, znajdą jakieś wyjście. W czasie uczy, w zamęcie pakowania się po przedstawieniu, wszystko było możliwe.

Jarvo wziął od służącego puchar wina i wkroczył pewnie pomiędzy stojące w mroku stoły bankietowe. Przy stołach siedziało kilka setek gości – oficerowie Miecza Sataki wraz z oficerami Obrońców Sataki i rosnących pułków piechoty Proroka. W przyjęciu brali udział również doradcy Orteda oraz inne ważne osobistości. Wśród siedzących gości znajdowali się także liczni odziani na czarno kapłani Sataki, chociaż nie brali udziału w zabawie. Niezależnie od tego co sądzili o hucznej rozpuście królującej w ich pradawnym sanktuarium, ich twarze pozostawały ukryte w cieniu kapturów. Za stołami tłoczyli się niefrasobliwie służący, świta, pomniejszych osobistości, zabłąkani aktorzy, strażnicy i, bez wątpienia, szpiedzy.

Jarvo zajął miejsce obok kolumny, skąd mógł obserwować główny stół. Tam znajdował się Kane. Nie można było nie rozpoznać jego masywnej sylwetki, pomimo że nosił maskę lwa. Siedział

po prawej stronie Orteda Ak-Ceddi, który założył czarną maskę bez żadnych ozdób. Zdawało się, że kłócą się zaciekle. Wyróżniali się na pewno na tle coraz większej wesołości uczujących. Jarvo niepokoił się na próżno, bo całkowicie ignorowali przedstawienie. Spojrzał na lewo od Proroka i poczuł, jak krew uderza mu do skroni. Maską jastrzębia nie mogła zasłonić dumnych rysów Esketry.

Kane kipiał wściekłością pod podwójną maską – z lwiego futra i uprzejmości. Domagał się czegoś więcej niż wyniosłego unikania odpowiedzi na jego pytania, a Prorok nie miał zamiaru na nie odpowiadać.

– Ależ kontynuowanie naszego natarcia jest głupotą – warknął Kane.

– Dlaczego? – sprzeciwiał się Orted. – Wygrywamy każdą bitwę, więc bijmy ich, aż padnie ostatnie miasto.

– Tak, ale przy każdym zwycięstwie ponosimy również straty. Potrzeba mi więcej ludzi, więcej koni, więcej...

– Posłałem ci tysiące ludzi na posiłki.

– To wciąż zbyt mało. Im dalej odsuwa się nasz front od Shapeli, tym więcej potrzebuję ludzi do pilnowania tyłów i szlaków dostawczych. Do diabła, do tej pory przebyłem tysiąc milową drogę przez królestwa południowe.

– I możesz pójść tysiąc mil dalej – przerwał mu Orted.

– Czy ty masz pojęcie, co taka odległość znaczy dla konnej armii? To nie kłus przez plac parad. To oznacza długie tygodnie, a nawet miesiące w siodle – szukanie jedzenia i wody, a kiedy nawet szlaki dostawcze zaczną zawodzić, przedzieranie się nadal mila po mili przez wrogą okolicę.

– To Mroczna Krucjata, Kane – nie wyprawa konnych rabusiów. Jeśli nie potrafisz poradzić sobie z wojskowymi problemami, znajdę kogoś, kto to potrafi.

– Rozwiązanie jest proste – warknął Kane. – Potrzebuję więcej konnych i potrzebuję czasu na zjednoczenie podbitych terytoriów.

– Dopilnuję, żebyś dostał to czego potrzebujesz – obiecał zwięźle Orted.

Kane zaklął i zajrzał do dzbana. Miał zamiar porozmawiać o tym na osobności, ale Prorok ostatnio go unikał.

– Część twojej strategii jest niezrozumiała – naciskał Kane. – W Ingoldi panuje już bezsensowny tłok. Mimo to domagasz się, żebym wciąż przysyłał nowo nawróconych z podbitych królestw. W chwili obecnej masz więcej ludzi, niż może mieszkać w tych murach.

– Więc wzniosę nowe mury – powiedział Orted.

– Będziesz miał największe miasto, jakie kiedykolwiek wybudowano – odrzekł Kane. – W jakim celu? Ci ludzie muszą jeść, muszą gdzieś mieszkać, muszą...

– Oni są dziećmi Sataki. Wystarczy, że mieszkają w pobliżu świątyni swego Boga.

Kane przyglądał się Prorokowi uważnie. Musi istnieć jakaś podstępna logika w fanatyzmie tego człowieka – za jego retoryką i frazesami kryje się jakaś chęć zysku.

– Byłoby lepiej odesłać neofitów do ich miast, oczywiście po dokładnej indoktrynacji. Ponieważ jasne jest, że nie można utrzymać dużych obszarów podbitego terytorium, dobrze byłoby, gdyby lojalni Satakijczycy okupowali miasta na tyłach armii. Podbijałem jedno królestwo po drugim, ale jeśli niezdobyte królestwa na zachodzie zjednoczą swoje wojska, odetną nam szlaki dostaw...

– Będziesz więc musiał zrobić wszystko, aby do tego nigdy nie doszło – ostrzegł go Orted. – Moje rozkazy pozostają niezmiennione. Nie nalegam, żebyś je zrozumiał: domagam się, abyś je wypełnił. Inaczej...

Żaden z nich nie uważał za konieczne dokończyć zdania.

Przedstawienie zakończyło się głośną owacją. Aktorzy uklonili się i rozbiegli, by uczestniczyć

w końcówce uczy. Ich miejsce zajęła nowa trupa muzyków i tancerek. Między Kane'em a Ortedem Ak-Ceddi panował ponury rozejm, podczas gdy jedwabie i nagie ciała wirowały szaleńczo, a służba biegła od jednego pustego kielicha do drugiego.

Wreszcie tancerki musiały odpocząć. W przerwie Orted wstał, by wygłosić beznamiętną i niekończącą się przemowę – wyrażającą, w imieniu Sataki, wdzięczność Kane'owi za doskonałe dowodzenie armią, niezłomną odwagę okazaną przez Miecz Sataki, za nie znającą granic wierność dzieci Sataki i nieustające poświęcenie kapłanów. On sam, Prorok Sataki, również jest wdzięczny i dumny ze wspólnego wysiłku, ale choć dokonano wielkich czynów, niezbędne są dalsze wysiłki i ofiary, by zakończyć Mroczną Krucjatę ostatecznym zwycięstwem. Radosne okrzyki, oklaski i kilka zaimprovizowanych, popierających słowa Proroka demonstracji często przerywały jego przemowę. Następnie wstał Kane, żeby wygłosić podobne przemówienie – wyrażał swoją uniozoną dumę i poczucie osobistego spełnienia: służył Sataki tak, jak mógł, podkreślał wzniosłość celu i honor, jaki staje się udziałem każdego żołnierza walczącego dzielnie, by wspierać postęp Mrocznej Krucjaty w zmaganiach z siłami ucisku i tyranii, które tylko czyhają na zniaczenie jedynie prawdziwej wiary i jej kochających wolność wyznawców.

Rozbrzmiały oklaski. Kane usiadł bardzo spragniony. Wrócili muzycy i tancerze. Goście zabrali się na dobre do picia i hulania. W tym czasie Jarvo niecierpliwie wyglądał z cienia. Prześladowała go myśl, że w samobójczym ataku mógłby teraz zabić Kane'a i Proroka. Ocaliłby życie niezliczonych niewinnych ludzi – gdyby akcja się powiodła. Nie zdobyłby jednak Esketry.

Czarno i biało cętkowane pióra jastrzębiej maski zasłaniały jej twarz jak gronostajowe futro – ostry, haczykowaty dziób zakrywał jej patrycjuszowski nos. Ukryte za kępkami piór szare oczy rozglądały się obojętnie po Sali – spojrzenie docierało wszędzie, niczego nie dostrzegając. Czarne włosy tworzyły hebanowe obramowanie bladej, doskonałej twarzy. Zimna, wyniosła i godna pożądaniami jak pocałunek ostatniego świtu. Od niechcienia jadła z talerza pełnego słodczy i małych ptaszków, krusząc ich kosteczki małymi, ostrymi zębami.

Minuty ciągnęły się. Wiedząc, że nie wolno mu ściągnąć na siebie uwagi, Jarvo pił umiarkowanie i wymieniał uprzejmości z innymi gośćmi. Uczta zaczynała przekształcać się w pijaństwo przed długą nocą rozpusty. Goście opuszczali miejsca przy stołach i odchodzili, by porozmawiać z przyjaciółmi. Mężczyźni i kobiety zbierali się w grupy i spacerowali po sali. Weszła pospiesznie służba, by wynieść stoły i zrobić miejsce.

Otworzono sąsiednią komnatę służącą za salę balową i gwarny tłum szybko ją opanował. Muzycy chwycili instrumenty strunowe, tamburyny oraz flety, a kilka par rozpoczęło taniec. Część gości przeniosła się do sali balowej, inni pozostali w wielkiej sali, by przebierać w resztkach uczy i być bliżej wina. Grupa oficerów kawalerii przywłaszczyła sobie kilku muzykantów i zaczęła głośno śpiewać „Radośnie maszerują na śmierć”, stukając do taktu pucharami.

Kane został w wielkiej sali, pijąc i śpiewając z oficerami. Orted zniknął w ogólnym zamęciu – Jarvo widział, jak porwała go śmiejąca się blondynka w masce leśnego duszka. Eskerta pozwoliła się odprowadzić do sali balowej, wsparta na ramieniu oficera w masce diabła, a Jarvo podążył za nią najbliżej, jak śmiał.

Esketra i towarzyszący jej oficer zaczęli tańczyć, a Jarvo zmuszony był czekać pod ścianą sali balowej i naśladować pijacką wesołość pośród innych gości w krzykliwych maskach. Istną torturą było znajdować się tak blisko ukochanej i stać bezradnie, podczas gdy ona wirowała po posadzce w objęciach prześladowców. Zastanawiał się, ile kobiet w tej sali jest niewolnicami z seraju Proroka, a ile z własnej woli towarzyszy tej bandzie grabieżców i bezlitosnych morderców.

Esketra ubrana była w długą, luźną spódnicę z przejrzystego szarosrebrnego materiału. W talii

była naga: obcisły kaftan z podobnej tkaniny kończył się tuż poniżej piersi. Jej gołe nogi pojawiały się wśród rozwianych w tańcu spódnic, a Jarvo czuł wściekły łomot w czaszce za każdym razem, gdy obejmował ją nowy partner. Kiedyś ta noc się skończy. Jeśli będzie miał szczęście – Esketra będzie wolna. Później on, Jarvo, policzy się z jej prześladowcami. Wydawało mu się, że mógłby wmieszać się w tłum tańczących i zbliżyć do dziewczyny. Nie chciał jednak tego robić. Może ich zdradzi jej zdumienie, kiedy go rozpozna. Lepiej podejść, gdy będzie sama.

Czekał, aż wreszcie jego cierpliwość została nagrodzona. Była już późna noc. Wraz ze zbliżaniem się świtu wychodziło coraz więcej gości. Śpiewacy w wielkiej sali byli zmęczeni i zachrypnięci. Wielu biesiadników chrapało w kątach albo leżało z głowami wspartymi na stołach. Tancerze w sali balowej znużyli się i wymykali para za parą w celach bardziej intymnych. Służba zostawiła możnych w ich pijackim otępieniu, a większość komediantów dawno już wyszła.

Esketra, wsparta na ramieniu ostatniego partnera, spojrzała po sali balowej spod maski ponurego jastrzębia. Zdawało się, że jest czymś rozgniewana, gdyż szorstko odprawiała pozostałych biesiadników. Niezbyt pewnie trzymając się na nogach, zesza z parkietu tanecznego i wmieszała się w malejący tłum gości. Kiedy wyszła z sali balowej na korytarz, Jarvo skoczył za nią.

Szedł, mijając niezliczone pary i śpiących w sąsiednich korytarzach fortecy pijaków. Można było sądzić, że Esketra ma jakiś cel, idąc w głąb czeluści Ceddi.

Jarvo zaczekał, aż wokół nie było nikogo, a potem zawołał cicho: – Esketro!

Wchodziła na schody prowadzące na górne piętra. Na jego wezwanie odwróciła się gwałtownie. Wargi miała mocno czerwone, a skórę bladą, zaś maska jastrzębia zasłaniała wyraz jej twarzy. W głosie jednak pobrzmiwał chłód powstrzymanego gniewu.

– Kto tam?

– Esketro! – powtórzył głupio, podbiegając do niej.

Jej oczy patrzyły chłodno spoza maski. – Czego chcesz ode mnie?

– Esketro! Nie poznajesz mnie?

– Jesteś w masce, mój pijany bufonie. I mogę dodać, że twoja maska jest w wyjątkowo złym guście.

– W masce?

– Tak, idioto. Zdejmij ją, jeśli chcesz rozmawiać ze mną – albo wracaj szybko do swojej beczki z winem.

Jarvo zawahał się, nie wiedząc co powiedzieć. Niecierpliwym gestem Esketra zdarła woskową maskę, która naśladowała twarz Jarvo.

– Esketro! – szepnął podchodząc do niej. Odsunęła się. – Pijana świnia! Nosisz dwie takie głupie maski!

– Przed tobą nie noszę maski, Esketro.

– Och. – Przycisnęła drżącą dłoń do warg. – Och. NIE!

– Przyszedłem, żeby cię zabrać, Esketro.

– Ty nie żyjesz, Jarvo.

Roześmiał się, rozumiejąc jej zaszokowanie i odrazę.

– Kane popełnił najgorszy błąd, moja kochana. Przeżyłem bitwę i ukryłem się na mokradłach. Znalazły mnie dwie przyjaciółki, wyleczyły i przywiozły ze sobą do Ingoldi. Mieszkam z nimi w Cechu Teatrów, od tygodni układając plany, jak cię stąd wydostać.

Wpatrywała się w niego zawzięcie. Jej ciało nie reagowało, kiedy trzymał ją w objęciach. Jarvo poczuł, jak przechodzi ją dreszcz i zrozumiał, jaki to dla niej wstrząs zobaczyć go w sercu twierdzy jej prześladowców.

– Jak mnie stąd wydostać? – spytała cicho.

– Tak! – Jarvo rozejrzył się wokół, opanowując ogarniające go emocje. Nadal nikogo nie było widać. – Dzisiejsza noc jest doskonała, skoro połowa fortecy jest pijana do nieprzytomności, a druga połowa śpi, możesz owinać się w płaszcz i przemknąć obok straży, jeśli jeszcze jakaś stoi. Setki gości przez całą noc będą wracać do domu. Szybka zmiana stroju i masek, i będziemy wyglądać jak wszyscy inni.

Popatrzyła jeszcze przez chwilę, a potem powoli pokiwała głową. – Tak, oczywiście. Przybyłeś tu, żeby mnie uratować.

– Za godzinę będziesz znowu wolna! – radował się Jarvo. – Z wydostaniem się z Shapeli poczekamy do następnego dnia. – W przypiływie pewności wiedział, że wyjdą z Ceddi bezpiecznie.

– Oczywiście – szepnęła Esketra, nagle wrywając się ze stanu odrętwienia. – Tak jak powiedziałaś, będzie mi potrzebny inny strój i inna maska. Poczekaj tu, moje komnaty są w pobliżu. Przyniosę co potrzeba.

– Idę z tobą.

Odepchnęła go. – To zbyt niebezpieczne! Będą coś podejrzewać, jeśli zobaczą cię ze mną. Zostań tutaj. Tylko wezmę co potrzeba i szybko wrócę.

– A jeśli...

– Rób, co mówię! Zaczekaj na mnie tutaj! Czy chcesz zmarnować tę jedyną okazję?

– Nie. Oczywiście, zaczekam. Ale pospiesz się!

– Wracam za chwilę – obiecała posyłając mu całusa. Wbiegła po schodach. – Tylko czekaj na mnie.

Jarvo zaczął, aż ucichną jej kroki, a potem udręka napięcia niszczyła chwilowe uczucie zadowolenia. Czas dłużył się w nieskończoność. Krążył po korytarzu wypatrując straży Proroka lub gości. Byli jednak głęboko we [Wnętrzu](#) Ceddi, prawdopodobnie w pobliżu komnat Orteda. Nikt nie ośmieliłby się zejść tak daleko, ale przez to jego obecność tutaj również byłaby podejrzana. Zaklął cicho i rozejrzył się, szukając kryjówek.

Co mogło ją zatrzymać? Nie potrafił określić, jak dawno poszła. Jak dawno? Ile jeszcze czasu jej to zajmie?

Wstrząsnął się na myśl, że Esketra wbiegła do komnaty i znalazła tam pijanego Orteda Ak-Ceddi. Jarvo wyobraził sobie, jak lubieżnie uśmiechnięty Prorok przyciska szarpiącą się dziewczynę do spoconej piersi i zniewala ją – a on chodzi tam i z powrotem jak głupiec! Myśl była nie do zniesienia. Jarvo ukradkiem wspiał się po schodach, którymi Esketra weszła na górę. Pójdzie za nią – będzie gotowy rzucić się na pomoc, gdyby ktoś chciał ją zatrzymać.

Schody prowadziły na wyższe piętro, a we wszystkich kierunkach rozciągały się ciemne korytarze. Z korytarza widać było drzwi rozmieszczone w przypadkowych odstępach – najwyraźniej, jak podejrzewał Jarvo, w tym miejscu znajdowały się mieszkania panów Ceddi.

Zatrzymał się niepewnie i zaklął. Nie miał pojęcia, w którą stronę poszła Esketra. Jeśli będzie szukać na oślep, może się zgubić i rozminąć z nią, kiedy będzie wracała. Chciał zawrócić. Nie zaszedł jednak tak daleko bez powodu; zaryzykuje pójdzie w głąb korytarza jeszcze przez jakiś czas. Nie oddali się od schodów tak daleko, żeby nie mógł wrócić po własnych śladach.

Nie odszedł daleko, gdy jego natężony słuch wychwycił znajomy brzęk broni i kolczug. Korytarzem szli strażnicy.

Jarvo rozejrzył się raptownie. Nie ma czasu na ucieczkę, a jego obecności tutaj nie da się wytłumaczyć na przesłuchaniu. W pobliżu były drzwi. Nie były zamknięte Jarvo otworzył je pchnięciem, w chwili gdy grupa strażników pojawiła się na zakręcie korytarza i wszedł w mrok

wnętrza.

Zostawiwszy szparkę w drzwiach Jarvo czekał, żeby zobaczyć, czy miną go nie podnosząc alarmu. Docierały do niego ich głosy:

– Bądź cicho. Złapiemy go, zanim zdoła uciec.

To był Orted Ak-Ceddi. Ale skąd...

– Och, ten biedny głupiec nigdzie nie odejdzie. Kazałam mu obiecać, że nie pójdzie za mną.

– Wydaje się niemożliwe, aby Jarvo przez cały ten czas kręcił się w okolicy! – szepnął Orted,

– Powiedział, że uzyskał pomoc w Cechu Teatrów – odrzekła Esketra, śmiejąc się cicho. – To niesłychane, że ten prostak o okaleczonej twarzy wierzy w to, że mnie ratuje. Jestem kochanką najpotężniejszego i najbogatszego władcy na świecie, a ten głupiec był przekonany, że uratuje mnie przed moim losem!

– Jeśli weźmiemy go żywcem, możesz mu wytłumaczyć ten dowcip – zachichotał Orted. – Cicho teraz!

...WYGLĄDA JAKBY JĄ NAKARMIONO

Obok niego przeszedł cicho tuzin strażników, wezwanych pospiesznie po tym, jak Esketra wpadła na Orteda i jego jasnowłosą towarzyszkę z bankietu. Prorok, który spodziewał się wybuchu zazdrości kochanki, nie pozwolił, by zaskoczenie opóźniło reakcję na jej pospieszną relację.

Świat Jarvo zawalił się, przygniatając go gruzami. Przez niekończącą się chwilę stał sparaliżowany z zamartwionym sercem, bez ichu, otępiały. Gdyby ktoś znalazł go w tej chwili, mógłby pokroić Jarvo na plastry jak pieczoną gęś i nawet to nie sprawiłoby żadnego wrażenia. Ten

unieruchamiający go szok uratował mu życie – gdyby nie on, Jarvo wyskoczyłby z ukrycia i rzuciłby się Esketrze do gardła, nawet gdyby natychmiast porąbał go tuzin mieczy.

Minęli drzwi nie podejrzewając tutaj jego obecności. Dusza nie może wyrazić krzykiem swego cierpienia, więc słyszalny był tylko cichy szelest, kiedy Jarvo osunął się po ścianie, zasłaniając twarz dłońmi. Jego męka była nie do zniesienia.

Wszystkie nadzieje i ambicje, wszystkie głupie złudzenia, które uratowały prawie zniszczone życie, wszystko było gorzkim szyderstwem. Świadomość tego, że od dawna ignorował rzeczywistość i planował działania dopasowane do idiotycznych wyobrażeń, dotarła wreszcie do niego i nie mógł już dłużej prawdy przed sobą ukrywać. Przez krótką chwilę jego umysł znajdował się na krawędzi pełnego obłądzenia.

A potem nadeszła wściekłość.

Niech umrze serce. Niech umrą dusza i umysł.

Nie ma życia. Nie ma miłości, Nienawiść jest wszystkim.

Jarvo nie pamiętał, w jaki sposób uciekł z Ceddi. Ślepiec wędruje nietknięty przez płonące miasto. Pijany idiota śmieje się nieopodal, podczas gdy tysiące trzeźwych ginie w śmiertelnym boju. Straże nie zwracały uwagi na ducha. Jarvo oddalał się od Ceddi, nie zważając na odgłosy pościgu.

Potykał się mijanych strażników i zamoczonych biesiadników, zbyt pogrążonych w rozpuście, by docierał do nich dźwięk ostrego sygnału alarmowego. Resztki zwierzęcego sprytu kierowały jego chwiejne kroki jak najdalej od tych, którzy mogli go zatrzymać.

Tragiczny bufon. Jego twarz była zbyt groteskowa, aby mogła być prawdziwa. Jest zbyt pijany, by wzbudzać jakiegokolwiek uczucie, z wyjątkiem pogardy.

Czołgaj się, mały pajacu, życie pluje na twoje łzy.

Biegł chwiejnie przez puste korytarze, mijając chrapiących biesiadników, obmacujących się tancerzy, zataczających się strażników i ślepo miotających się kapłanów. Krzyczano na alarm na wszystkich rozchodzących się jak pajęczyna korytarzach, lecz w wirze zamieszania nikt nie zwracał uwagi na bladego trupa, który zataczając się szedł między nimi, a jego ślepe oko błyszczało ponuro zza groteskowej maski demona.

Przed nim stała otwarta brama, a za nią była noc. Jarvo wypadł w chłodną ciemność, nie zastanawiając się, dlaczego strażnicy, którzy powinni zagrozić mu drogę, leżeli w kałużach szkarłatu i patrzyli zeszklonymi oczyma. Martwi nie zatrzymują martwych.

Jarvo wędrował w mroku nie zauważony przez nikogo i sam nie zwracał na nikogo uwagi. Wokół niego tej nocy tańczyli i śmiali się bogowie wojny. Jeźdźcy mijali go w galopie. Uzbrojeni ludzie biegali ulicami. Ludzie ukrywali się za zabarykadowanymi drzwiami i zatrzaśniętymi okiennicami. Krzyki i wrzaski, które zapanował w ciszy przed świtem, nie docierały do jego otępiełego umysłu. Ani nie wiedział, ani nie dbał o to, że tej nocy śmierć urządziła krwawe święto w Ingoldi.

Jego dusza była martwa, ale z popiołów powstał szal. Instynkt samozachowawczy nie kierował jego ślepych krokami, bo chęć życia również umarła. Wściekłość ożywiała jego spalone gorączką ciało, a płomień zemsty zapłonął na pogorzeli jego duszy.

Chwiejąc się na nogach szedł pełnymi strachu ulicami Ingoldi, nie widziany i nie widzący niczego w tej ponurej godzinie tuż przed świtem. Targała nim gorączka, ale tłumilo ją cierpienie ducha. Powoli otępienie spowodowane wstrząsem ustępowało. Ból wzrastał, ale furia sprawiała, że nie docierały do niego żadne odczucia. Był jak śmiertelnie ranny człowiek, który w szalonej żądzy unicestwienia swego zabójcy nie czuje już nic, chociaż ręce ma śliskie od własnej krwi, a stopy potykają się o jego własne wnętrzności.

Szedł w cieniu murów Ceddi i zobaczył majaczącą przed nim plamę głębokiej czerni. To Wieża Ysłsla.

Drzwi były uchylone. Wszedł do środka. We wnętrzu panowała cisza i ciemność.

Schody wznosiły się spiralą w głąb nocy. Bezwolny zaczął wspinać się ku niebu. Doszedł do szczytu schodów. Gorączka i obłęd paraliżowały jego gasnącą świadomość. Jarvo stał na półce na szczycie wieży i patrzył niewidzącymi oczyma na pełgający znak w kształcie słońca, który złowieszczo spoglądał z pustej ściany.

Na krótką chwilę wróciła mu przytomność: „Co go tu przyciągnęło?” Tu nie znajdzie schronienia.

Majaczący znak słońca przyciągał jego pozbawioną racjonalności świadomość. W błysku szaleństwa Jarvo zobaczył, że jest to brama, za którą coś czeka i woła, aby otworzył owe drzwi. Coś po drugiej stronie wyczuło nie-znośny ból jego duszy. Coś pożało łączywie tego cierpienia...

Jarvo odsunął się chwiejnym krokiem od zimnego kamienia. Przepaść była tuż za jego plecami. Rzucił się do przodu w chwili, gdy powinęła mu się noga i pośliznął się na kamiennej krawędzi.

Przez chwilę rozpaczliwie wbijał palce w gładki kamień półki, wymachując nogami nad otchłanią. Potem, dzięki wyciągniętym ramionom, przerzucił ciężar ciała. Drapiąc kamień palcami i kopiąc nogami, wgramolił się z powrotem na półkę.

Przez dłuższą chwilę leżał tam, zbyt otępieły od gorączki i szoku, by powstać. O mało co nie zabił się podczas upadku, i to otarcie się o śmierć przerwało trans, w jakim pogrążony był jego umysł. Strach przed spadaniem – ten instynktowny lęk, jaki zna niemowlę, zanim jeszcze zaczerpnie powietrza do pierwszego krzyku – przywrócił mu przytomność i wyciągnął z otchłani szaleństwa.

Świt rozjaśnił krąg nieba nad nim, kiedy wreszcie obudził się z otępienia. Jarvo wstał jak ktoś, kto budzi się ze snu spowodowanego przez opium – rozmyślając o tym, czego był świadkiem i zastanawiając się nad pustymi miejscami w pamięci, niepewny tego, co było snem, a co rzeczywistością. Zmęczony potarł twarz i próbował zebrać myśli.

Jest w Wieży Ysłsla. Nic dziwnego, że nikt go nie znalazł. Przypomniawszy sobie na moment dziwne zdarzenie związane z czarnym kamiennym słońcem. To koszmar zrodzony z gorączki i bólu.

Reszta wieczoru nie była koszmarem. Ponuro, jak człowiek, który dotyka złamanej kończyny, aby sprawdzić, czy utrzyma jego ciężar, Jarvo odtworzył wydarzenia zeszłej nocy. Wspomnienie

zdrady Esketry przypominało ból przy nastawianiu złamanej kości. Był on nieunikniony. Kiedy już zetknął się z nim, myśli jego mogły płynąć dalej bez przeszkód.

Jarvo zaklął. Teraz będą przeczesywać miasto szukając go. Katastrofalny błąd, jaki popełnił, spowodował, że Ingoldi stało się śmiertelną pułapką. Musiał uciec – inaczej czeka go więzienie i pewna śmierć.

Kiedy zrozumiał jakie grozą niebezpieczeństwa, nowy przypływ obawy sprawił, że krzyknął. Powiedział Esketrze, gdzie się ukrywał i kto mu pomógł. Zemsta Orteda nie ograniczy się do jednego durnia o pociętej bliznami twarzy...

Jarvo na oślep zbiegał po spiralnych schodach. Jego życie nie ma wartości ale nie może pozwolić, aby Erill podzieliła jego los.

Czy ma jeszcze czas? Od jak dawna tu był? Prorok uderza szybko.

Pchnięciem otworzył ciężkie drzwi i wypadł na oświetlone wschodzącym słońcem ulice.

Przebiegł zaledwie niewielką odległość, kiedy natknął się na pierwszego leżącego trupa.

Jarvo tępo patrzył na zabitych, rozpoznając strażników armii Proroka, obrońców Sataki, a gdzieś martwych kawalerzystów. Część miasta stała w płomieniach, a szlak śmierci prowadził do głównej bramy.

Jarvo nie był w stanie zrozumieć takich tajemnic – ale widać było na pierwszy rzut oka, że napięcie między Ortedem Ak-Ceddi a Kane'em przekroczyło moment krytyczny.

Jarvo zatrzymał się na chwilę, by zabrać martwemu obrońcy czerwoną opończę i pancerz. Zakrwawioną szmatą obwiązał okaleczoną połowę swej twarzy, nałożył hełm i przypiął miecz. Zaledwie kilku ostrożnych obywateli wyglądało zza zabarykadowanych drzwi i nikt nie zatrzymywał biegnącego pełnymi trupów ulicami żołnierza w zakrwawionych bandażach.

Cech Teatrów nie był daleko i wkrótce stało się oczywiste, że dym dochodził z tej dzielnicy miasta. Wybiegając zza ostatniego zakrętu zobaczył przewrócone wozy i zniszczone kramy. Wokół dymiących zgliszcz zgrupował się gęsty tłum. Jarvo poczuł, jak chłód ścisną mu żołądek.

Gromadka dzieci grzebała w pogorzeli. Nie zwracały na niego uwagi, a dorośli szybko się rozeszli.

– Co tu się stało?

– Nie wiesz? – zdziwiła się mała dziewczynka. – Tej nocy wykryto tu kryjówkę nuczki. Potem generał Kane wyjechał z miasta i nikt nie mógł go zatrzymać. Ale ty to wiesz.

– Czy jacyś nuczki uciekli? – wybełkotał Jarvo, a potem spojrzał na dziewczynkę.

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała, próbując dopasować opaskę z jadeitowych paciorków.

NIECH KRWAWI

Mimo że upłynęły dni, zanim Kane złożył w całość wszystkie wydarzenia tamtej nocy. nie przewidziana przez nikogo obecność Jarvo w Ceddi pokrzyżowała wszelkie jego plany.

Nietrwale przymierze Orteda Ak-Ceddi i Kane'a mogło zakończyć się tylko śmiercią jednego z nich, Obaj rozumieli sytuację i każdy z nich miał własne poglądy ni. problem, czyja śmierć musi nastąpić.

Ta potencjalnie wybuchowa równowaga istniała tak długo tylko z dwóch powodów.

Orted, dopóki zależny był od stałych zwycięstw Miecza Sataki, nie chciał eliminować Kane'a. Oficerowie Kane'a i większość zawodowej konnicy była wierna swemu bezpośredniemu dowódcy. Nim Prorok nie zdoła zastąpić najemników rudowłosego generała wystarczającą ilością wiernych wyznawców Sataki, każde posunięcie przeciwko Kane'owi groziło katastrofalnym w skutkach buntem.

Z drugiej strony, Kane nie chciał otwarcie występować przeciwko Ortedowi, dopóki nie przejrzy charakteru magicznych sił demonstrowanych przez Proroka. Początkowo nie docenił byłego bandyty i przypuszczał, że jest on albo chciwym oportunistą, albo nierozważnym fanatykiem. W obu przypadkach Kane planował nakłonić Proroka na sfinansowanie wojsk pod swoim dowództwem i przy pierwszej nadarzającej się okazji chciał wysłać Proroka na spotkanie obiecywanej na tamtym świecie nagrody. Ale tu pojawiła się nieznana mu wcześniej przeszkoda. Orted Ak-Ceddi nie był zupełnie oszustem Kane mu siał więc dowiedzieć się więcej, ale coraz częstsze ingerencje Proroka zmuszały go do działania. Uderzył pierwszy, żeby przerwać impas.

Krocząc na czele Miecza Sataki podbił połowę królestw południowych. Już teraz u stóp Kane'a leżało cesarstwo nie mieszczące się w granicach marzeń najchciwszych zdobywców. Kane wiedział, że w końcu wszystkie królestwa południowe ukorzą się przed nim. Razem z Szapeli, ponad trzecia część gigantycznego wielkiego Północnego Kontynentu będzie pod jego rządami. A dalej, w swoim czasie, zostaną przyłączone stare prowincje i królestwa Cesarstwa Serranthonkiego. Poterr reszta wielkiego kontynentu.

Jednakże w tej chwili armia Kane'a była rozproszona na zbyt wielkich obszarach. Potrzebował on więcej ludzi i broni oraz czasu, by umocnić swe zwycięstwa. Orted natomiast domagał się, by Kane parł dalej w głąb królestw południowych i żądał przeniesienia podbitej ludności wprost do Shapeli. To ostatnie było niezrozumiałym szaleństwem, to poprzednie – narażeniem się na wojskową katastrofę.

Kane zadał cios.

Miał to być prosty zamach stanu. W noc wielkiej uczty sprytna kurtyzana, opłacona przez Kane'a, miała skłonić Oteda do wyjścia w samym środku bankietu. Potem, późną nocą, gdy forteca będzie pogrążona w rozpuście, mordercy Kane'a mieli zaskoczyć Proroka zamroczonym winem i narkotykami.

Ciało Orteda mogło być odporne na stal, lecz zabójcy wynajęci przez Kane'a wiedzieli o tym i mieli szukać sposobu na usunięcie Proroka.

Esketra, ogarnięta zazdrością na widok Orteda opuszczającego ucztę, szła już do jego komnat, gdy zaczął ją Jarvo. Wbiegła do pokoju Proroka w chwili, gdy mordercy Kane'a rozprawiali się ze strażami przy rzadko używanym wejściu do fortecy. Kiedy dotarli do jego komnat, Orted już tropił Jarvo w towarzystwie oddziału straży.

Kane, który czekał z garstką wiernych ludzi w wielkiej sali, źle zrozumiał nagły alarm i pojawienie się uzbrojonych straży. Przypuszczając, że jego spisek nie powiódł się i że Prorok zamierza zamknąć go we wnętrzu Ceddi, Kane uciekł ze swymi ludźmi. Wyciągnięto miecze, rozległy się okrzyki wyzwania i oskarżenia i w jednej chwili niepewny rozejm zmienił się w otwartą walkę.

W zamęcie walki Kane przebił się przez oszołomione strażę i wyjechał z Ceddi do miasta. Rozpoczęły się zacięte walki, bo Orted szybko zareagował na długo oczekiwany kryzys i chciał uwięzić Kane'a w Ingoldi, z dala od głównej części jego wojsk. Kane nie dał się schwytać tej nocy. O świcie szlak zabitych Satakijezyków zaznaczał jego drogę przez miasto, a obozowisko za murami było opustoszałe.

Kane dotknął bezwładnego ciała, które spoczywało na posłaniu. Spojrzał na Dołnesa i mruknął:

– Ona żyje, masz rację. Co się stało?

Jego giermek podrapał się po świeżym strupie na brudnym przedramieniu. Za ścianami namiotu Kane'a rozbrzmiewały po całym obozowisku odgłosy ludzi i koni. Ingoldi było dobry dzień jazdy za nimi i Dolnes z trudem dogonił wycofującego się dowódcę.

– Nie jestem całkiem pewny. Kiedy przyszliśmy po nią, tłum demolował okolicę. Najwyraźniej Obrońcy trafili tam wcześniej od nas. Ktoś doniósł, że jest tam gniazdo nuczi. Wiele nie zostało.

– Domyślam się – skomentował kwaśno Kane.

– Nie mogliśmy tego przewidzieć – protestował Doines. – I tak mieliśmy szczęście, że jeszcze żyła. Kiedy już z nią skończyli, zostawili ją przybitą do ściany wozu. Motłochowi nie podobało się, że ją zdejmujemy i musieliśmy rozbić parę łbów, żeby w ogóle odjechać. W tym czasie przy głównej bramie wybuchło piekło. Cwałowaliście za wami i ledwo nam się udało ująć z życiem. Sądzę, że tempo, jakim jechaliście, żeby was dogonić, też jej nie pomogło.

Kane popatrzył z bliska na posiniaczoną twarz. – Do diabła – mruknął. – Dziewczyno, powinnaś była skoczyć tamtej nocy.

– Co takiego?

– Nieważne. Idź po zapłatę do pułkownika Alaina. Najpierw jednak wezwij chirurgów do mego namiotu. Być może zasłużyłeś na swoje złoto.

Erill doszła do wniosku, iż ma szczęście, że żyje, jeśli stan w którym się znalazła można zaliczyć do dobrych rzeczy.

Odtwarzała powoli napaść Obrońców Sataki na cech. Był to koszmar. Przypominała sobie krzyki i wrzaski w nocy, trzask i huk wyważanych drzwi i wywracanych wozów oraz oraz uczucie, bezradności i przerażenia, kiedy pochwyciły ją brutalne ręce, a potem już tylko niekończąca się fala bólu...

Pomiędzy czarnymi odstępami bólu i przerażenia przeblyskiwały nie dające się zagłuszyć wizje: Boree, wymachująca okrwawioną siekierą, powalona przez masę ciał w kolczugach. Przyjaciele, którzy ginęli nie wiedząc nawet, dlaczego ich zabijają. Niekończący się ciąg lubieżnie uśmiechniętych, sapiących, wykrzywionych twarzy. Ból przeszywający jej ciało. Tępe zdumienie na widok gwoździ przyłożonych do jej unieruchomionego ciała i nieubłagane wznoszenie się, jak we śnie, drewnianego młota.

Erill słyszała bełkot ich gniewnych, chępliwych głosów. Rozumiała je jak przez mgłę. Jarvo znalazł Esketrę. Esketra zdradziła. Jarvo jest uwięziony w Ceddi, a Erill wisi, przybita żelaznymi gwoździami. Jeśli nawet była przytomna, kiedy ludzie Kane'a zdejmowali ją i zabrali wyjącemu tłumowi, nie pamiętała tego.

Poranny wiatr wiejący znad morza chłodził jej twarz, a fale Cieśniny Południowej omywały jej stopy. Erill spojrzała na blednące blizny, które znaczyły wierzch jej stóp. Miesiąc temu nie mogłaby chodzić z powodu pokaleczonego ciała i połamanych kości. Popatrzyła na pomarszczone blizny na obu dłoniach i przypomniała sobie, jak nie potrafiła nawet samodzielnie jeść przez wiele dni. Ból i wspomnienie bólu muszą więc minąć. Erill przypuszczała, że kiedy ma się dość czasu, można znieść każde cierpienie.

Popatrzyła ze smutkiem na morze. Za horyzontem leżał nieodległy Wielki Południowy Kontynent, a droga do niego wiodła przez Cieśninę Południową. Tam spały ruiny osławionego Carsultyalu – pierwszego miasta ludzkości, Kane często o nim wspominał. Jego miecz został wykuty w Carsultyalu wieki temu. Takie prastare klingi były warte więcej złota niż ważyły, bowiem nigdy już nie wykuto takiej stali po upadku legendarnego grodu. Może przyjemnie byłoby podróżować do Carsultyalu lub zagubić się na zimnym pustkowiu Herratlonai, pustyni, która, jak powiedział Kane, leżała na południowy wschód stąd. Nie było tam już życia. Rzeźbiona wiatrem pustynia nigdy nie słyszała o Mrocznej Krucjacie.

Być może Kane pozwoli jej tam pojechać. Czemu nie? Erill przestała dociekać motywów jego postępowania.

Obudziła się w namiocie z ranami opatrzonymi na polecenie Kane'a. Nieprzytomna od kilku dni, pogrążona była w stanie snu zrodzonego z gorączki i laudanum, którym poił ją Kane.

Wyjechali mile poza granice Shapeli, a Erill leżała nieprzytomna w taborze. Po drodze doszło do ciężkich starć, ale o tym Erill dowiedziała się później. Miecz Sataki został złamany przez bunt, bowiem Kane zebrał wokół siebie te pułki, które były wierne jemu, a nie szaleńcowi z Ceddi. Na

razie Kane trzymał złamany miecz za rękojeść, a jego najemnicy pokonywali oddziały rekrutowane z wiernych Proroka. W chwili gdy Erill zaczęła wracać do zdrowia i zdawać sobie sprawę z tego, gdzie jest, Kane rozbił tymczasowy obóz w Intantemri, jednej z twierdz w południowych królestwach, którą zajął przed odejściem od Satakijczyków.

Erill obudziła się i poczuła spojrzenie jego oczu. Siedział obok posłania, tak że kiedy otworzyła oczy, dwa nieruchome płomienie błękitnego lodu nie były już częścią narkotycznego mroku, lecz spoglądały na nią z grubo ciosanej twarzy. Nie było to miłe przebudzenie. Erill zamknęła oczy i czekała, aż ten koszmar też minie.

– Obudziłaś się już – powiedział Kane.

Nie spała więc. Wola Kane'a była tak potężna, że wyrwała ją z nieświadomości tak, jak silna dłoń wyciąga tonące dziecko z czarnej sadzawki.

Otworzyła oczy i rozejrzała się po namiocie nieprzytomnie. Nie łączyła tego świata z światem bólu i przemocą okrutnego tłumu. Świadomość tego miała przyjść później, kiedy zagoją jej się rany, kiedy będzie jechała szlakiem buntu Kane'a

– Chcę, żebyś odpowiedziała na moje pytania!

Jeśli on pyta, ona musi odpowiedzieć. Jej własna wola wciąż spoczywała na dnie czarnej sadzawki.

– Niegdyś byłaś w mieście zwanym Gillera – szepnął Kane.

Erill skrzywiła się. To był kolejny ból, kolejna blizna.

– Była noc – upierał się Kane. – Satakijczycy otoczyli miasto.

Erill jęknęła. Próbowwała oderwać spojrzenie od strasznych oczu Kane'a, ale nie mogła.

– Chcę, żebyś powiedziała mi wszystko, co przydarzyło ci się tamtej nocy.

– Nie – jęknęła.

– Powiedz mi, co zdarzyło się tamtej nocy.

– NIE!

– Erill, powiesz mi.

Oczy Kane'a zawładnęły jej wolą i chociaż nie krzyczała, kiedy drewniany młot wbijał żelazne gwoździe w jej ciało, teraz nie mogła powstrzymać się od krzyku. Wzrok Kane'a rozkazywał i wreszcie opowiedziała mu wszystko, co chciał wiedzieć.

Nawet teraz ta przerażająca noc przejmowała ją większym chłodem niż wspomnienie ukrzyżowania. Erill znów spojrzała na morze. Rozwiązała spódnicę i bolerko, położyła je starannie na suchym piasku i wskoczyła do ciepłej wody.

Morze było czyste. Fale unosiły ją bez wysiłku, słony oddech szczypał w usta, a puls morza był biciem jej serca. Erill kochała morze.

Kane ostrzegał ją przed rekinami i groźnymi falami przyływu.

Erill kochała morze i nie dbała o nic.

Kane był dziwnym człowiekiem. Erill niewiele o nim wiedziała. Nawet w Ingoldi niewiele mówiono o przeszłości rudowłosego generała, co było niezwykle w przypadku tak znacznej osobistości. Aby zająć się czymś w czasie powolnego powrotu do zdrowia, Erill wypytywała o niego. Jedni mówili to, drudzy co innego; nikt nie miał wiele do powiedzenia. Kane był dobrym generałem, dlatego go słuchali. Żołnierze nie muszą więcej wiedzieć.

Kane był tajemnicą. Ta tajemnica intrygowała Erill w czasie długich miesięcy bitew i spisków, ataków i odwrotów. Podejrzewała, że on sam nie mógłby jej odpowiedzieć, jeśli zapyta go o przeszłość. Z tego powodu Erill nigdy nie zadała tego pytania.

- Dlaczego zatrzymujesz mnie przy sobie? – spytała kiedyś Kane'a.

- Nie zatrzymuję cię. Idź, gdzie chcesz.

- Nie mam gdzie pójść.

- Więc zostań.

To nie siła bezwładności zatrzymywała ją przy nim. Erill czuła, że znajduje się w oku cyklonu, że wokół niej wojny Mrocznej Krucjaty i okropności świata cieni niszczą wszystko, co stanie im na drodze.

- Gdzie jest jakieś miejsce schronienia, Kane? – zapytała pewnej nocy, ośmielona oparami haszyszu.

- Na tym świecie nie ma schronienia.

- A na innym świecie?

- Nie wiem. Znam tylko ten świat. Jednak myślę, że na każdym świecie jest tak samo.

Dziewczyna wydmuchnęła kółko dymu. – Więc będę szukać ukojenia we śnie.

- Nie szukaj schronienia we śnie. Sen nie może się ziścić.

- Wiem za to, że koszmar może być prawdą – powiedziała gorzko. – Czy w koszmarze można znaleźć ukojenie?

- Koszmar można zwyciężyć.

- Jeśli nie zwycięży ciebie.

Erill dopłynęła do plaży i pozwoliła, by wiatr i słońce osuszyło jej chude ciało. Zauważyła, że morze zostawiło warstewkę soli na jej skórze. Narzuciła ubranie i wróciła do miejsca, gdzie Kane kopał w piasku.

- Dlaczego mnie odszukałeś, Kane? – zapytała go później.

- Jesteś fragmentem łamigłówki, którą usiłuję rozwiązać.

- Fragmentem?

- Znasz zaklęcie cieni używane przez Satakijczyków.

- Nie mam pojęcia o ich czarach.

- Ale wiele mi powiedziałaś.

- Czy są również inne takie fragmenty?

- Były. To trudna łamigłówka. W mojej pierwszej koncepcji niestety chybiłem. Ten błąd wiele mnie kosztował. Musiałem wszystko w pełni zrozumieć, aby odzyskać panowanie.

- Więc rozwiązałeś już swoją łamigłówkę?

- Tak.

- I odzyskałeś panowanie?

- Odzyskam.

- Czy umiesz to wyjaśnić? – zapytała Erill innej nocy, kiedy suchy wiatr jęczał na sawannie i szarpał namiotem.

- Być może – zastanowił się Kane. – Pamiętasz, jak zapytałaś mnie o Legowisko Yslsla?

- Myślałam, że drwisz ze mnie. Kane roześmiał się zjadliwie.

- Powiedziałeś, że świat jest komnatą w wielkim zamku i że Yslsl czeka za wrotami, które my możemy otworzyć, chociaż On nie może przez nie przejść.

- To dość dobrze oddaje sytuację, – Kane pokiwał głową. – Ta alegoria jest uproszczeniem, ale wystarcza.

- Co ma wspólnego Yslsl z Ortedem Ak-Ceddi?

- Pamiętaj, że zamek jest ogromny, być może nieskończony. Jest wiele innych pokoi. Pewne istoty – nazwijmy je dla wygody demonami lub bogami – żyją w niektórych z tych innych komnat.

Jedną taką istotą jest Yslsl. Inną jest Sataki.

Kane zmarszczył brwi, jakby nie był w pełni zadowolony z tej metafory. Mruknął coś w języku, którego Erill nigdy nie słyszała – nic zaskakującego – i kontynuował:

– Jest wiele wrót takich jak w wieży Yslsla, Prawa, które tam rządzą, różnią się, tak jak różnią się między sobą istoty, które za nimi czekają. Jednym z kluczy do magii jest wiedza, jak otworzyć niektóre z tych drzwi, aby władać i rozkazywać istotom z tej drugiej strony. Ta wiedza, starannie wykorzystana, może dać wielką potęgę, a fałszywy krok oznacza unicestwienie.

– Coś jak demony i magiczne kręgi – wtrąciła Erill.

– Bardzo dobrze – pochwalił Kane. – Twoje wyobrażenie czarnoksiężnika i jego pentagramu odnosi się dobrze do tej sytuacji, chociaż zazwyczaj mag wzywa istotę, którą niewiele interesuje to, co dzieje się w tej komnacie, którą nazywamy wszechświatem. Pamiętaj, że zamek jest ogromny. Wielu mieszkańców innych pomieszczeń nie wie o naszym pokoju lub nie interesuje się nim. Inni obserwują nasz wszechświat chciwie i czynią wrota do swych królestw tak dostępnymi, jak na to pozwalają prawa kosmosu. Miejsca na ziemi, gdzie znajdują się te wrota, wkrótce zostają otoczone złą sławą i rozsądni ich unikają.

– Jak wieża Yslsla.

– I Ołtarz Sataki pod Ceddi. „Ceddi” znaczy „ołtarz” w Starej Mowie. – Kane zamilkł i wzruszył ramionami.

– W piwnicach pod Ceddi jest Ołtarz Sataki. Znak Sataki jest jego kopią. To wrota podobne do znaku czarnego słońca na szczycie Wieży Yslsla. Kapłani Sataki poznali tę tajemnicę wiele wieków temu, wykopali ołtarz i utworzyli wokół niego zwyrodniały kult.

– Ale kto zbudował te wrota?

– „Che'evl'rhv” – same te istoty – wyjaśnił Kane.

– Przynajmniej takie są moje przypuszczenia. Są to struktury przypominające sieć pajęczą albo norę mrówkolwa – tylko że znacznie bardziej skomplikowane. To starannie założone sidła drapieżników, dla których celem istnienia jest wabienie i chwytanie nieostrożnych ofiar. Niewiele wiedzy o nich przetrwało. Sądzę, że Yslsl i Sataki są podobnymi istotami i że warunki w tym rejonie Shapeli sprzyjały zbudowaniu ich wrót blisko siebie, to tak jak pewne rejony są bardziej narażone na wybuchy wulkanów niż inne. Podstawową różnicą jest to, że Yslsl nie stworzył kultu i nie przyciągnął wyznawców, a o jego obrzędach zapomniano. Sataki to się udało, chociaż jego kult nigdy nie odgrywał większej roli.

– Dopóki nie poparł go Orted – szepnęła Erill.

– Tak, do czasów Orteda – pokiwał głową Kane. – I tu zaczyna się zagadka.

Milczał przez chwilę, wsłuchany w głos wiatru.

– Wtedy właśnie pomyliłem się w przewidywaniach. Wiedziałem, jaką Orted ma reputację; zobaczyłem w Mrocznej Krucjacie potężną siłę potrzebną do podbojów i przypuszczałem, że Orted wykorzystuje fasadę wojny religijnej, żeby zbudować cesarstwo dla siebie. Myliłem się. Orted Ak-Ceddi jest dokładnie tym, za kogo mają go kapłani. Jest człowiekiem, w którego ciało wstąpił ich bóg albo, jeśli wolisz, jest to człowiek opętany przez diabła.

Erill przypomniała sobie, że zadrżała wtedy, słysząc słowa Kane’a. Drżała nawet teraz na tę myśl, chociaż wiatr był ciepły, a woda morska już wyschła na jej skórze. Weszła na wydmy i spojrzała w dół, gdzie Kane i jego ludzie kopali w ruinach tego, co niegdyś było Ashertiri, które zostało zniszczone w starożytnych wojnach z czarnoksiężnikami z Carsultyalu.

– Fragmenty łamigłówek są rozrzucone i trudno je odnaleźć – powiedział Kane tamtej nocy. – Większość mogłem odtworzyć tylko na podstawie domysłów, lecz sądzą, że mam już całość. Kult

Sataki wymierał. Nigdy nie był potężny, ale teraz tylko garstka fanatyków odprawiała obrzędy. Kapłani składali Sataki ofiary – wabiąc nieszczęśników do Ceddi, kradnąc dzieci, napadając na pijaków i żebraków – składali je na Ołtarzu Sataki, wygłaszając przy tym zaklęcia, które otwierały wrota nieszczęsnym ofiarom. W jakiś sposób pojмали Orteda. Został raniony w czasie napadu na Targ Cechów, bo inaczej nigdy by go nie schwytali. Umieścili go na ołtarzu i odprawili obrzęd ofiarny. Wrota otworzyły się. Tylko że tym razem przeszedł przez nie Sataki. Nie wiem, jak to mogło się stać. W pewnych okolicznościach takie odwrócenie sytuacji może nastąpić. Być może przyczyną było szczególne ustawienie gwiazd, jakieś przejściowe zakłócenie w substancji kosmosu. Domyślałam się, że Sataki był bliski zagłady z powodu braku wyznawców i ofiar – był jak żarłoczny, umierający z głodu lew. Orted nie był zwykłym człowiekiem; fizycznie był silny, miał dynamiczną osobowość, był inteligentny – był wodzem o ogromnej sile woli. Albo Sataki skorzystał z jakiejś niewiarygodnej szansy, żeby przedostać się przez wrota, albo dusza Orteda była tak potężna, że wchłonęła osłabionego boga. Odwrócenie trwało krótką chwilę. Potem wrota zamknęły się. Tylko część siły życiowej Sataki została uwięziona po tej stronie wrót – została wcielona w Orteda Ak-Ceddi.

Kane uśmiechnął się z gorzkiego żartu. – Sataki skradł Ortedowi cień, ale dał mu nieziemskie ciało, którego nie przebije żadne żelazo. Zastanawiałem się nad brakiem cienia Proroka, ale nie jest to niczym nadzwyczajnym wśród istot nadprzyrodzonych. Wampiry nie rzucają ani cienia, ani odbicia w lustrze, jest to zresztą cecha, jaką dzielą inne istoty nadprzyrodzone – a sztuczka z usunięciem cienia nie jest też trudnym zaklęciem. Nie zważałem na to, sądząc że jest to pospolity trik, aby wzbudzić lęk i podziw tłumów. Nie robiła na mnie wrażenia również rozgłaszana odporność ciała Proroka na wszelką broń. Skoro Orted jest niewrażliwy na ciosy, dlaczego nie zajmie miejsca na czele swych wojsk? Myślałem, że to kolejna prymitywna sztuczka – złudzenie, które nie wytrzymałoby próby w ogniu walki.

– Czy można więc go zranić? – zapytała Erill.

– Nie żelazem czy stalą – powiedział Kane – Ale on odczuwa uderzenia, widziałem to. Posłałem zabójców do jego komnat i uzbroiłem ich w srebrne noże, lance z utwardzanego w ogniu drewna i kamienne mioty. Orted musi bać się jakiejś broni, bo inaczej z pewnością stałby już na czele swej armii.

– Zamiast tego wysłał on swoje wojsko mordujących cieni – ostrzegła Erill.

– Nie zrobi tego, chyba że mu na to pozwolę – odrzekł Kane. – To był bicz, którym wymuszał na mnie posłuszeństwo, groźba jego hordy cieni. I to był najważniejszy fragment łamigłówek, który ty mi dostarczyłaś.

– Ja?

– Trzeba być posłusznym pewnym prawom i procedurom, zanim magiczny czyn może uzyskać moc. Czarodziej nie może wezwać demona prostym machnięciem ręką – ani też wojownik nie może zabić wroga każąc mu umrzeć. Byłaś pionkiem w Gillera, ale twoje przeżycia tamtej nocy odsłoniły przede mną część zaklęcia. Inni świadkowie dostarczyli następnych informacji. Wiedziałem, że magia cieni Satakijczyków musi mieć jakieś ograniczenia – bo inaczej Prorok nie potrzebowałby armii do dokonywania podbojów.

Kane bawił się rękojęścią swego miecza. – Jest to odmiana zaklęcia ofiarnego, przywołująca posłuszne istoty, które żyją na granicy królestwa Sataki. Wymaga ono ciemności i kopii Ołtarza Sataki oraz mocy zapewnianej przez pieśni Satakijczyków. Na początku używano go tylko w stosunku do pojedynczych osób skazanych na śmierć. Wyśledzili kiedyś człowieka zatrudnionego przeze mnie, który zdradził Orteda. Kapłan pojechał za nim do Sandotneri i uderzył, kiedy ten głupiec pozwolił, by ogarnęła go ciemność. Później kult czerpał moc z nowych wyznawców. Mogli wtedy rzucić czar na

wybrany, ograniczony jednak obszar, mogli gasić światło pochodni swoją mocą, ale czasami musieli korzystać z jakiejś osoby, która miała umieścić kopię ołtarza i wypowiedzieć ostateczne zaklęcie, kiedy ani kapłan, ani cień nie mogli zbliżyć się dostatecznie, by wykonać zadanie. Ich moc rosła wraz z powiększaniem grona wyznawców Sataki. Moment kulminacyjny nastąpił w chwili, gdy Prorok sam stanął na czele hordy czcicieli, by zniszczyć Sandotneri – miała to być zemsta i ostrzeżenie. Pomimo całej swej okropności, czyn ten był tylko przeprowadzonym na ogromną skalę obrzędem ofiarnym, jaki odprawia krąg kapłanów wokół Ołtarza Sataki.

W głosie Kane'a pobrzmiwał triumf. To zabójcze zaklęcie byłoby groźne tylko wtedy, gdybym był na tyle nieostrożny, że pozwoliłbym Satakijczykowi go użyć. Podjąłem wszelkie kroki ostrożności, aby to uniemożliwić. Ani pospolity zabójca, ani kapłan z cieni nie zbliżą się do mnie w nocy – a Orted wie, że moja kawaleria wyrznęłaby śpiewającą zaklęcia horde, gdyby spróbował ją wysłać przeciw mnie. Jarvo dał mu taką nauczkę, że Satakijczycey długo jej nie zapomną.

Oczy Erill zaszyły mgłą na dźwięk imienia Jarvo Kane zauważył to, ale nic nie powiedział. Wiedział, że Erill udzieliła Jarvo schronienia w Ingoldi. Teraz wieść głosiła, że stary wróg Kane'a uciekł w zamęcie rewolty i dotarł do niepodbitych jeszcze, południowych królestw. Tam stara się zgromadzić nowe wojsko, aby poprowadzić je przeciw Kane'owi i Ortedowi Ak-Ceddi.

Kane nie miał pretensji do Erill za przedłużenie egzystencji drażniącego go Jarvo. Uważał, że Erill miała okazję zastanowić się nad wtrącaniem się w nie swoje sprawy, kiedy wisiała przybita gwoździami przez tłum,

– Co teraz zrobisz? – zapytała.

– Zaczekam, aż bunt rozprzestrzeni się po Shapeli odrzekł Kane. – Orted nie może mierzyć się z moją armią na sawannie. Zniszczyłem już oddziały byłego Miecza Sataki, które pozostały wierne Sataki. Panuję nad podbitymi prowincjami południowych królestw. Nie mogę pozwolić, żeby Orted przeżył – jest zbyt niebezpiecznym wrogiem. Jeśli lud Shapeii nie zbuntuje się i nie zrobi czegoś za mnie, będę musiał dostać się do jego twierdzy. Zawalę mu ją wtedy na głowę.

W zamyśleniu dodał: Ale to nie będzie łatwe.

– A co robi Orted?

– Ma pełne ręce roboty usiłując zapanować nad ludnością, której zapał religijny szybko ostygnie bez groźby Miecza Sataki. Orted podjął ogromne ryzyko, domagając się sprowadzenia podbitej ludności do Shapeli,

– Jeśli to było ryzyko to po co je podjął? Mógł przecież przekazać władzę gubernatorom okręgowym, tak jak w każdym cesarstwie.

Kane roześmiał się. – To był ostateczny błąd, jaki popełniłem, osądzając Orteda. Zawsze zakładałem, że – niezależnie od tego czy jest oszustem, czy fanatykiem – celem Orteda jest utworzenie cesarstwa. To nie jest prawdą. Dlatego nie mogłem przewidzieć jego postępowania.

– Jaki jest więc jego cel?

– Orted potrzebował władzy, by osiągnąć cel, ale przez cały czas był to cel Sataki. Potrzebne mu są miliony dusz wiernych do obrzędu ostatecznego wezwania. Ciekaw jestem, ilu jeszcze czcicieli będzie potrzebował Prorok, by pozyskać dość mocy i otworzyć wrota ostatni raz – aby Sataki mógł przez nie przejść cały.

POD MORZEM PIASKU

Kane wgramolił się na szczyt wykopów, a potem zszedł do jamy w piachu.

– To jest to! – krzyknął. – Uważajcie na łopaty! Złamiecie tę pieczęć, a wszyscy zginiemy.

Jego ludzie natychmiast odsunęli się, a Kane ukląkł na dnie wykopu i zaczął grzebać palcami w wilgotnym piasku. Kopali w ruinach Ashertiri, jak polecił Kane, już od dobrego tygodnia, odsłaniając kolejne pogrzebane mury i zapadnięte budynki. Czego on tutaj szukał, tego nikt nie wiedział dokładnie.

Wczoraj odkopali coś, co wyglądało na stertę stopionych zielonych kamieni. Kane ucieszył się i rozkazał im kopać głębiej. Po wielu godzinach pracy odsłonili coś, co najwyraźniej było niegdyś wieżą z ceramicznej substancji o kolorze szmaragdu, z której niemal wszystko, z wyjątkiem fundamentów, zostało stopione przez wybuch energii o niewyobrażalnej sile. Odsunawszy kawałki gruzu odkryli wreszcie coś, co wyglądało na pogrzebaną posadzkę najniższego poziomu wieży.

Podniecenie Kane'a wzrosło, kiedy odsłonili sześciokątną metalową płytę umieszczoną w miejscu, które kiedyś było środkiem podłogi lochu. Grzebiąc w piasku, Kane znalazł sześciokąt ze srebrnego metalu o około dwu i półmetrowej średnicy. Ledwo zauważalne szczeliny dzieliły tę niezwykłą płaszczyznę na sześć trójkątnych elementów, a w miejscu, gdzie schodziły się wierzchołki, znajdowała się jakby pieczęć odciśnięta w czymś, co mogło być czerwonym szkłem.

– Zostawcie mnie samego – powiedział Kane, przyglądając się karmazynowej pieczęci. Jego rozkaz został wykonany niezwykle chętnie.

Erill wdrapała się na szczyt wykopu w chwili, gdy wszyscy odchodzili. Ogarnęła ją ciekawość, mimo że żołnierze posłusznie wycofywali się. Zajrzała do wykopu w samą porę. Zobaczyła, jak trójkątne części srebrnego sześciokąta wsuwają się gładko w kamień posadzki.

W chłodną ciemność w dole prowadziły schody. Niewidzialny podmuch wzniosł się z głębi jak migoczące fale ciepła nad rozżarzoną stalą. Kane zakończył wykonywanie skomplikowanych czynności nad ziejącą jamą, a potem zstąpił w mrok, w który od tysiącleci nie wchodziła żadna żywa istota.

Erill wyczuła raczej niż usłyszała złowieszczy syk dochodzący z głębin ziemi. Nawet wytrzymałość Erill miała granice. Dziewczyna uciekła szybko do miejsca, gdzie ludzie Kane'a oczekiwali jego powrotu.

Minuty dłużyły się. Słońce stanęło w zenicie, a potem zaczęło zniżać się ku zachodowi. Nikt nie odważył się podejść do wykopu.

Kane powrócił raczej niespodziewanie, niosąc małą szkatułkę ze srebrnoszarego metalu, której zamknięcie zabezpieczone było pieczęcią podobną do tej na drzwiach odkrytych pod piachem. Ludzie nigdy nie widzieli go tak zmęczonym jak teraz.

– Zakopcie to – rozkazał Kane. – Zakopcie dokładnie.

Łopaty zrzucały piasek do wykopu stałą lawiną. Erill szybko spojrzała na dno jamy. Srebrny sześciokąt był zamknięty, a czerwona pieczęć nienaruszona. Potem piasek znów zasypał sekrety martwego miasta.

– Co to jest, Kane? – zapytała, przyglądając się srebrnoszarej szkatułce.

– Coś, co nie lubi cieni – powiedział Kane.

Następnego dnia o świcie opuścili nawiedzone ruiny Ashertiri. W nocy przyjechali do obozu wycieńczeni posłańcy, niosąc Kane'owi ponure wieści. Pogłoski okazały się prawdą.

Jarvo zgromadził nową armię.

Od czasu nieudanego zamachu stanu Kane'a w Ceddi minęła jedna pora roku. Wtedy gdy Orted i Kane zmagali się o przywództwo Mrocznej Krucjaty, Jarvo działał wśród niezdobytych jeszcze królestw południowych. Jego wysiłki okazały się nadzwyczaj skuteczne.

Kane podbił połowę regionu, ponieważ pojedyncze królestwa nie mogły sprzeciwić mu się zjednoczoną siłą. Dzieliły ich wieki zazartych wojen, niegasnącej zazdrości i nienawiści. Niektóre królestwa chciały sprzymierzyć się z Kane'em, aby zniszczyć odwiecznych wrogów; inne nie były w stanie oprzeć się Mieczowi Sataki i skapitulowały bez walki. Mroczna Krucjata pochłaniała je jedno po drugim.

Zamieszanie wywołane buntem Kane'a, pozwoliło pozostałym królestwom zastanowić się nad swym losem. Postępki Satakijczyków były już zbyt dobrze znane, by dopuścić jakąkolwiek myśl o pokojowym przymierzu z Mroczną Krucjata. Co więcej, bezlitosne podboje dokonywane przez Miecz Sataki udowodniły najbardziej nawet tępym władcom, że Prorok nie zatrzyma postępu swych wojsk, póki ostatnie miasto nie wpadnie w jego ręce.

I w tej atmosferze rosnącej paniki, pojawił się niespodziewanie Jawo. Jako generał, który zadał Satakijczykom jedyną klęskę – a w porównaniu z następnymi zwycięstwami Satykijczyków, jego klęska pod Meritavano wydawała się bardzo wyrównaną bitwą – Jarvo zaczął nagle cieszyć się ogromnym prestiżem. Był imponującą postacią o twarzy poznaczonej bliznami i duszy pałającej nieubłaganą żądzą zemsty. Przeniknął do samej twierdzy Proroka i wy dostał się stamtąd, aby ogłosić światu wieść o okrucieństwach Mrocznej Krucjaty.

Poznaczony teraz bliznami zarówno psychicznymi jak i fizycznymi, Jarvo zdawał się aniołem zniszczenia. Tłumy i rady miejskie słuchały go z przejęciem. Ludność widziała w nim zbawcę, wojsko uważało go za niezwykłego dowódcę, a władcy starali się o jego łaski i porady.

Jarvo zawsze marzył o zdobyciu takiej potęgi. Teraz, kiedy ją zdobył, nie dbał już o nic.

Rozwiązanie, jakie proponował, było proste: Wysłać na spotkanie konnicy Kane'a jeszcze większą armię.

Było to bezprecedensowe wydarzenie – wolne państwa południowych królestw sprzymierzyły się tymczasowo, tworząc Wielkie Konsorcjum. Wojska poszczególnych królestw zgromadziły się pod dowództwem Jarvo.

Kiedy wieść o zbliżaniu się potężnej armii dotarła do Kane'a w Ashertiri, Jarvo dowodził wojskiem składającym się z dwustu tysięcy ludzi, w tym niemal pięćdziesięciu pułków ciężkiej konnicy. Była to największa zawodowa armia, jaka kiedykolwiek wyruszyła do boju na tym kontynencie.

Kane nie mógł mieć nadziei na zwycięstwo. Armia Wielkiego Konsorcjum była niemal dwukrotnie silniejsza od Miecza Sataki w jego szczytowym okresie. Przy każdym nowym podboju armia Kane'a zmniejszała liczebność, a teraz bunt jeszcze bardziej ograniczył jego siłę. Całe wojsko

liczyło zaledwie dwadzieścia pięć tysięcy ludzi.

Kane nie miał innego wyjścia jak uciekać.

A ponieważ musiał gdzieś uciec, wyprawił posłańców do Orteda Ak-Ceddi.

Był to rozpaczliwy krok, ale i sytuacja była rozpaczliwa. Kane wiedział, że armia Konsorcjum unicestwi jego wojsko, jeśli dojdzie do otwartej bitwy. Mógł unikać starcia dopóki będzie wycofywać się przez rozległą sawannę, ale Jarvo będzie ścigał go do końca. Podbite prowincje zostały spustoszone i ograbione przez Satakijczyków, a z Shapeli nie nadchodziły nowe dostawy ani posiłki. Kane mógł tylko uciekać przez pustkowia, popędzany przez znacznie większą i lepiej zaopatrzoną armię. Jego siły będą malały z każdą przebytą milą i tylko kwestią czasu będzie – kiedy zostanie osaczony i zmiażdżony przez przeważające siły wroga.

Jeśli to było oczywiste, tym bardziej łatwy do przewidzenia stawał się los Shapeli. Jarvo był nieubłagany przeciwnikiem, a Wielkie Konsorcjum złożyło przysięgę, że zniszczy Mroczną Krucjatę całkowicie i że wyzwoli podbite królestwa wschodnich równin. Tym razem gęste lasy Shapeli nie staną się przeszkodą – armia Konsorcjum jest zbyt potężna. Nie dał się zatrzymać, a Jarvo poprzysiągł wszak obrócić Ceddi w gruzy. Wielkie Konsorcjum wedrze się do Shapeli, nawet gdyby musiało wyrwać z korzeniami wszystkie drzewa, a uszczuplona armia Proroka nie mogła nawet mieć nadziei na odparcie ich ataku.

Zguba była nieunikniona – dla Kane'a i dla Orteda [Ak-Ceddi](#).

Istniała tylko jedna szansa i Kane wysunął tę propozycję: Przymierze i wspólna walka z Wielkim Konsorcjum.

Dla Kane'a logika tej niewygodnej propozycji była niezaprzeczalna. Jeśli obecna sytuacja potrwa dłużej, będzie to oznaczało pewną zgubę dla nich obu. Gdyby natomiast wrogie sobie odłamy Mrocznej Krucjaty połączyły się, istnieje jeszcze szansa zwycięstwa w tej prawie beznadziejnej sytuacji.

Kane stał na czele dwudziestu pięciu tysięcy zaprawionych w boju żołnierzy – było to wszystko, co pozostało z Miecza Sataki. Orted Ak-Ceddi mógł zgromadzić prawdopodobnie trzy razy tyle wyszkolonych i w pełni wyposażonych piechurów, wliczając w to obrońców Sataki. Czerpiąc z zasobów hordy Satakijczyków, Prorok mógł zebrać setki tysięcy walczących – problem polegał tylko na dostarczeniu skutecznej broni ludziom, którym można było ufać, że nie zwrócą się przeciwko hierarchii kapłanów.

Na otwartej przestrzeni ociążała armia takiego przymierza nie miałyby jednak szans w walce z potęgą Wielkiego Konsorcjum. W lesie natomiast sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Jarvo mógł posuwać się naprzód tylko tak szybko, jak na to pozwalały warunki. Prawdopodobnie poprowadzi oddziały szturmowe drogą do Ingoldi. Będzie wycinał drzewa, by rozszerzyć front i znacznie pustoszyć twierdze i miasta.

Satakijczycy nie mogli równać się w bitwie z wojskami Konsorcjum – kiepsko wyposażona hałastra była bydlętem na rzeź dla wyszkolonych żołnierzy. Kane proponował, by pospolite ruszenie stale napadało wojska Konsorcjum, spowalniając w ten sposób ich marsz. Niech rzucają się do samobójczych ataków na wyrabujących las żołnierzy Jarvo. Nie wyrządzą większych szkód, ale stale nękania i napadani ludzie nie będą mogli rąbać drzew. Nastąpi straszliwa rzeź, ale natarcie Jarvo zostanie zahamowane, a jego wojsko będzie wyczerpane, kiedy wreszcie dotrze do Ingoldi. Tam, pod osłoną umocnień miejskich, Kane będzie mógł zorganizować skuteczną obronę, kierując piechotę Proroka do pilnowania murów, a kawalerię prowadząc do kontrnatarcia.

Gdyby wszystko potoczyło się dobrze, Kane miałby szansę przetrwania oblężenia Jarvo, a nawet zmuszenia wojsk Konsorcjum do wycofania się – a kiedy tylko armia najeźdźców zacznie się

wycofywać, zdziesiątkowanie jej na obszarze niegościnniej puszczy nie będzie trudne. W takiej sytuacji byłoby to coś więcej, niż tylko odsunięcie zguby – byłaby to kwestia zagarnięcia wszystkiego przez zwycięzcę. Bowiem królestwa zachodu postawiły wszystko na wojsko Wielkiego Konsorcjum; gdyby Kane pokonał najazd Jarvo, wszystkie południowe królestwa stałyby otworem przed Mroczną Krucjatą.

Wszystko więc mogło się jeszcze odmienić dla Mrocznej Krucjaty. Logika wojny była oczywista. W tych okolicznościach Kane nie miał wątpliwości, że Orted Ak-Ceddi zgodzi się na proponowany rozejm.

Orted zgodził się.

– Ale czy możemy mu zaufać? – protestował Alain.

– Możemy zaufać Ortedowi z tego samego powodu, dla którego on musi ufać mnie – odrzekł Kane. – Ponieważ musimy polegać na sobie, jeśli chcemy przeżyć.

Umilkł, coś sobie przypominając. – Kiedyś wszedłem do karczmy, by zabić człowieka. Byliśmy rywalami – śmiertelnymi wrogami, którzy zaprzysięgli sobie walkę do ostatniej kropli krwi przy pierwszym spotkaniu. On był dobrym wojownikiem, nie mogłem go zabić od razu. W czasie gdy walczyliśmy, karczma została otoczona i do środka wbiegła straż miejska. Żołnierze stanęli przeciwko nam. Walczyliśmy więc ramię w ramię – on i ja – a straż zmagala się z nami oboma. Żaden nie obawiał się zdradzieckiego ciosu drugiego, bowiem straż natychmiast zabiłaby każdego, gdyby był sam. To była masakra. Zginęło chyba ze dwudziestu żołnierzy, zanim garstka, która została, nie uciekła.

– A co było potem? – zapytał Alain.

– Potem – powiedział Kane. uśmiechając się do wspomnień – zabiłem go.

DESPERAT

Wiszący na horyzoncie tuman kurzu posuwał się bezlitośnie za Kane'em, który wycofywał się do Shapeli, jakby uciekał przed burzą o niewyobrażalnej sile. Jarvo ścigał ich zawzięcie, miążdżąc wszystkich, którym nie udało się zbiec. Kane wyprzedził swojego prześladowcę. Utrzymywał jednak tempo, które sprawiało, że konie padały, a ludzie trzymali się siodła tak kurczowo jak tonący żeglarze połamanych belek. Kane zastanawiał się czy kawaleria Konsorcjum radziła sobie lepiej. Prawdopodobnie tak. bowiem wyruszyła z wypoczętymi wierzchowcami i z pełnymi zapasami żywności.

Sam czas stracony na uzgodnienie rozejmu z Ortedem Akk-Ceddi okazał się niemal zgubny dla Kane'a. Konsorcjum posuwało się z szybkością, jakiej generał nie spodziewał się po tak wielkiej armii – nawet biorąc pod uwagę, że Jarvo jechał nie napotykając na przeszkody w terenie i nie obawiając się zasadzek. Kiedy tylko armia Konsorcjum natrafiła na ślad Kane'a, zaczęła podążać szlakiem stratowanej ziemi uścielonej martwymi wierzchowcami i porzuconym sprzętem. Jednodniowa przewaga kurczyła się jak wosk stapiany w płomieniu, a morderczy wyścig przedłużał się. W chwili, gdy dotarli do lasu, Kane wątpił czy Jarvo jest dalej niż parę godzin za nimi.

Nie ma po co myśleć teraz o niszczeniu dróg, wznoszeniu barykad i urządzeniu zasadzek na jego drodze. Za późno już na organizowanie oporu – czas tylko na jazdę na oślep do Ingoldi. Trzeba spać w siodle i wpychać w czasie jazdy do ust garści tego, co zostało do jedzenia. Konie muszą zatrzymać się, by jeść, pić i odpoczywać; ludzie nie. Nie ma już tych niezdrożonych wierzchowców, a każdy martwy koń oznacza martwego człowieka, kiedy dogoni go pościg Konsorcjum. Trzeba jechać do Ingoldi i modlić się, by jego mury nie okazały się grobem.

Po minięciu Sambrand leżącego na krawędzi puszczy, Kane'owi udało się zwiększyć przewagę nad Jarvo. Do Ingoldi pozostało wiele dni drogi od granicy, a szlak dla armii Wielkiego Konsorcjum będzie prowadził przez nieprzyjazny teren. Jarvo musiał skierować swą gigantyczną armię na wąskie leśne drogi, obawiając się cały czas pułapek i zorganizowanego oporu, który w rzeczywistości nie istniał. Jego cel został osiągnięty – osaczył wroga. Jarvo może więc pozwolić sobie teraz na wolniejsze tempo, by oszczędzać konie i ludzi przed zbliżającym się atakiem na Ingoldi.

Niech ofiara zmęczy się ucieczką. Teraz, gdy koniec łowów był bliski, nie miało większego znaczenia czy Jarvo dotrze do Ingoldi tego dnia czy następnego. Bitwa może mieć tylko jeden wynik.

Kane posepnie patrzył, jak bramy Ingoldi zamykają się za ostatnimi z jego wycieńczonych jeźdźców. Było popołudnie, a jego ludzie jechali przez całą noc. Kane oceniał, że jeśli dopisze im szczęście, będą mieli czas do następnego dnia, żeby przygotować się na atak Konsorcjum. Jarvo nie mógł zabrać ze sobą maszyn oblężniczych, skoro jechał w takim tempie. Upłyną dni, nim je skonstruuje, a jeśli słudzy Orteda zdołają tak długo bronić murów, ludzie i konie Kane'a powinni wypocząć na tyle, by zrobić wypad.

Kane nie spodziewał się co prawda, by taka zbrojna eskapada mogła przerwać oblężenie Jarvo, lecz była to taktyka – błyskawiczne najazdy, a potem szybki powrót za mury. Tak można

spowodować wielkie straty i zniszczyć nowe maszyny oblężnicze Konsorcjum. Muszą jednak także czekać z nadzieją, że Prorok wezwie swych wyznawców z odległych miast Shapeli. Nawet chłopska armia może zagrozić tyłom Jarvo, jeśli będzie wystarczająco liczna. W swoim czasie będzie można zgnieść wojska Konsorcjum między dwoma frontami.

Kane zastanawiał się, czy wyznawcy Proroka zareagują na takie wezwanie – czy może ci z nich, którzy pochodzą spoza Ingoldi będą życzyć Jarvo powodzenia w zgnieceniu znieawidzonego tyrana.

Honorowa straż Obrońców Sataki zbliżyła się do niego. Ich dowódca poinformował Kane'a, że Prorok oczekuje go w Ceddi.

– Nie idź! – szepnęła Erill.

Kane uśmiechnął się, znużony. – Musimy uzgodnić strategię obronną zanim Jarvo przyjdzie, by wtrącić się do dyskusji. Odpocznę później.

– Do diabła, wiesz, co mam na myśli. Nie ufaj mu. Kane spojrział na nią i wzruszył ramionami. – Ortem wie, że musimy walczyć razem, jeśli chcemy mieć jakieś szanse. Jeśli ma jakieś zdradzieckie zamiary, będzie musiał się pośpieszyć, zanim Jarvo nie zakończy naszej kłótni. – Alain, będziesz mi potrzebny. Dolnes, ty znasz miasto. – Zawołał innych ze swojego sztabu i dodał: – Jestem pewien, że Orted nie będzie miał nic przeciwko ternu, żebym przyjechał z osobistą gwardią.

– Kane – powiedziała Erill. – Zabierz mnie z sobą. – Dlaczego?

– Dlaczego nie? Zajechałam tak daleko.

– Jak chcesz. – Kane nigdy nie pytał dziewczyny, kaczego została z nim w czasie męczącego pościgu. Mogli pójść w swoją stronę albo zatrzymać się w jednym z mijanych w trakcie odwrotu miast. Wiedział, że nie żywi wobec niego ani miłości, ani wdzięczności; nie miała do tego powodów. Erill była zbyt twarda, by demonstrować jakiegokolwiek uczucia; nie okazywała nawet strachu. Chciała tylko być obecna pod koniec całej sprawy.

Oficerowie Kane'a zaprowadzili wycieńczonych żołnierzy do ich byłych koszar, aby odpoczęli choć kilka godzin przed zbliżającą się bitwą. Kane w towarzystwie resztki swego własnego pułku pojechał za honorową strażą Orteda do Ceddi.

Prorok przyjął go łaskawie. Ich spotkanie było nie serdeczniejsze, niż nakazywał to zwyczaj. Wielokrotnie już dyskutowali o strategii i taktyce – a każdy z nich wiedział, że ten sojusz może zakończyć się tylko w jeden sposób. Dzisiejsze spotkanie nie było odmienne.

Robiło się już ciemno, kiedy zakończyli naradę. Orted zgodził się z wszystkimi propozycjami Kane'a – najwyraźniej zadowolony, że może powierzyć mu kwestie obrony, tak jak przedtem oddał w jego ręce dowodzenie Mieczem Sataki. Takie rozwiązanie odpowiadało obawiającemu się sprzeciwów Kane'owi.

Podano jedzenie i napoje radzącym oraz zmęczonej gwardii oczekującej Kane'a na dziedzińcu. Sen wydawał się teraz najważniejszą sprawą i Kane doszedł do wniosku, że już czas udać się na spoczynek. Wstał, by wrócić do swoich ludzi. Zastanawiał się jednak cały czas, co stało się z Erill.

Esketra leżała w perfumowanej kąpieli, przyglądając się przejrzystym banieczkom, które wirowały i pękały. Jej gęste, czarne włosy były ułożone w grube, przypięte złotymi szpilkami loki. Umyje je znowu jutro rano i pozwoli pokojówkom uczesać jedwabiste pukle oraz wetrzeć łagodnie perfumowane olejki. Teraz był wieczór i nie chciała czekać, aż włosy wyschną, zanim uda się do Orteda.

Prorok był ostatnio w dziwnym nastroju, myślała, muskając palcami swą miękką, białą skórę. Znajdował się w stanie tłumionego podniecenia, bardziej przypominał człowieka, który widzi już

spełnienie od dawna wyczekiwanego celu niż władcę, którego cesarstwo chwieje się i stoi na krawędzi ruiny. Być może powrót Kane'a do Ingoldi rozbudził ponownie wiarę Orteda w zwycięstwo.

Zwycięstwo. Nad niezwyciężoną armią, jaką prowadził przeciw nim Jarvo. Wieść głosiła, że jest to największe wojsko, jakie kiedykolwiek zgromadzono i że nowo utworzone Wielkie Konsorcjum zburzy mury Ingoldi tak, jak fale morza zmywają dziecinne zamki z piasku. Podobno żołnierze Konsorcjum mają rozkaz nie oszczędzać ani jednej żywej duszy z Mrocznej Krucjaty. Nuczyli powtarzali te kłamstwa nadstawiającym ucha wiernym. Wkrótce jednak mieli znaleźć inną stosowną okazję by spożytkować swoje gadulstwo. Mimo to atmosfera zbliżającej się zagłady nie ustępowała.

Być może popełniłam błąd, łącząc swój los z losem Orteda Ak-Ceddi – myślała – kto jednak mógł przypuszczać, że ten mały gad Jarvo może stanowić zagrożenie dla straszliwej potęgi Proroka? A jeśli Jarvo zniszczy Ingoldi? Co się ze mną stanie?

Esketra uśmiechnęła się. Przypominały jej się głupie zaloty i łaszenia Jarvo. Wystarczy, że rozplacze się, wspomni o potwornych okrucieństwach, a Brzydał nadmie się i będzie odgrywał zbawcę. Jedna łza z jej oka, jedno spojrzenie na piękne ciało, jedna obietnica pocałunku z czerwonych warg – a mały Jarvo uklęknie u jej stóp. Potem niech bogowie osądzą, kto jest niewolnikiem, a kto zwycięzcą. Los wojny miał się dopiero rozstrzygnąć, lecz Esketra była pewna zwycięstwa niezależnie od tego, na czyją korzyść przechyli się szala.

Czas już się ubrać. Wyszła ze złotej wanny i sięgnęła po ręcznik. Jej służące powinny tu być – gdzie się podziewają te dziwki? Esketra gniewnie zawołała, wycierając swą gładką skórę ręcznikiem.

Ktoś wszedł do łazienki. Kiedy Esketra opuściła ręcznik, którym zasłaniała twarz, zobaczyła, że to nikt z jej służby.

Była to chuda dziewczyna w brudnym ubraniu do konnej jazdy. Na jej twarzy, zszarzałej od kurzu i potu, widniały ślady zmęczenia. Jej oczy były zielone jak oczy kota.

– Co ty tu robisz?! – zapytała gniewnie Esketra.

– Przynoszę ci wiadomość od Jarvo – powiedziała nieznajoma dziewczyna, podchodząc z kocią szybkością.

– Jarvo! Na miłość boską, czyżby już wkroczył do miasta?

– Jarvo przesyła ci wyrazy miłości – powiedziała dziewczyna, wyciągając dłoń.

Esketra spojrzała, żeby zobaczyć, co przyniosła jej dziewczyna.

To był sztylet.

Wychodząc z sali narad, Kane zatrzymał się przy oknie wieży zmęczony. Zauważył, że było już ciemno. Jutro prawdopodobnie armia Wielkiego Konsorcjum stanie pod murami Ingoldi. Przedtem trzeba trochę odpocząć. Musi być silny, jeśli ma jeszcze odsunąć klęskę. Perspektywy były ponure, ale przeżył dużo gorsze sytuacje.

Kane od niechcienia spojrzał na miasto. Zmrużył oczy. Noc rozjaśniały płomienie pożaru zmieszane z kłębamii dymu. Płonęła dzielnica w pobliżu murów. Z pewnością Jarvo nie mógł jeszcze...

Kane zaklął. To płonęły jego koszary. Jego ludzie... Z oddali dochodził głuchy, zwierzęcy ryk atakującego motłochu.

– Alain! – krzyknął Kane. – Sprowadź pozostałych! Wyjeżdżamy! Natychmiast!

Ramię Kane'a zatoczyło łuk i w lewej dłoni zabłysnął miecz. Byli już sami w korytarzu – inni doradcy Proroka dyskretnie wycofali się do komnat na górze. Kane znajdował się w takim położeniu już kilka razy. Zdawał więc sobie sprawę z tego, co to oznaczało.

Wpadli do wielkiej, złowieszczo pustej sali. Główne drzwi były kusząco otwarte na dziedziniec, gdzie powinna czekać gwardia Kane'a. Nie spodziewając się, że Orted spóźnił się choćby o chwilę z zamknięciem pułapki, Kane wybiegi na ciemny dziedziniec.

Jego ludzie odpoczywali na podwórzu. Powitali go zaskoczonymi okrzykami, gdy Kane z oficerami pojawił się z obnażoną bronią.

– Na koń! – krzyknął Kane. – Wyjeżdżamy stąd jak najszybciej!

Jakby drwiąc sobie z jego rozkazu, właśnie w tej chwili masywna, żelazna krata głównej bramy spadła z grzmiącym hukiem. Również okute żelazem drzwi do wielkiej sali zamknęły się ze zgrzytem zasuw.

Kane szybko omiół spojrzeniem dziedziniec. Nieliczne drzwiczki, prowadzące do ogromnej cytadeli, również były zamknięte. Poza wyważeniem bramy albo wspięciem się po wysokich piętnastometrowych murach, nie było możliwości wydostania się stąd.

Dobiegł ich śmiech rozlegający się z okna wieży. Śmiech Orteda. Kane ujrzał sylwetkę Proroka, który znalazł się wysoko nad nimi.

– Tak ci spieszo wyjechać, Kane? – drwił Prorok. Nie możesz być nieobecny na spektaklu koronującym dzisiejszy wieczór!

– Orted, ty cholerny idioto! – wrzasnął do niego Kane. Czyś ty zupełnie oszalał?

– Nie, Kane! – ryknął Prorok. – Tej nocy ty wyszedłeś na głupca! Czyżbyś zapomniał o ostrzeżeniu, jakiego ci udzieliłem w Sandotneri?

– Oszalałeś, Orted! Potrzebujesz mnie, żebym bronił twego miasta przed Jarvo!

– Jarvo umrze innej nocy, Kane – kiedy wypróbuję swoją stal na mojej hordzie cieni! Jedzie ku swej zgubie, tak jak ty już do niej dotarłeś! Głupcy, czy myśleliście, że możecie bezkarnie zakłócać spokój Ołtarza Sataki?! Czy byłeś tak szalony, że sądziłeś, iż mógłbym kiedykolwiek wybaczyć ci zdradę?! Ty i twoja banda zdrajców jesteście nucziri – i wiecie, jaka kara czeka was za wasze grzechy!

– Orted, jesteś szalony! Zgubisz nas obu!

– Mylisz się, Kane! Nakarmię dzisiejszej nocy waszymi duszami sforę cieni, a duszami dumnej armii Jarvo innej nocy! A potem niech świat drży przed potęgą Sataki!

Ludzie Kane'a kręcili się niespokojnie po dziedzińcu, a drwiny i śmiech Proroka rozbrzmiewały echem w zamkniętej przestrzeni. Pułapka była mocna. Kane wiedział, że gdyby dano im czas, zdołaliby wyważyć jedne z wewnętrznych drzwi, wziąć szturmem barbakan i podnieść kratę. Tego czasu jednak nie będzie.

Do uszu skazanych na zgubę żołnierzy już dochodził straszliwy śpiew kapłanów. Orted przytrzymał ich tu do zapadnięcia zmroku tylko po to, by jego kapłani mogli rzucić czar wzywający zabijające cienie. Przywołanie nie potrwa długo.

Kane ignorował triumfalny śmiech Proroka. Wiedział, jaki błąd popełnił. Zakładał, że ma do czynienia z racjonalnie myślącym człowiekiem – z Ortedem, wodzem bandytów, który musiał się zgodzić z logiką proponowanego przez Kane'a sojuszu. Zamiast tego miał do czynienia z mściwym bogiem.

Kane szybko podbiegł do Anioła i sięgnął do juków, Czarny ogier nerwowo przebiera! nogami. napięcie tej nocy dawało się wyczuć jak atmosfera przed burzą z pióru na mi.

Jego palce odnalazły starannie owinięty pakunek. Nieuważnie, pospieszonymi ruchami Kane

zdarł warstwy miękkiego opakowania i odsłonił srebrnoszarą szkatułkę, którą z takim trudem wydobył z pogrzebanych ruin Ashertiri, wiedząc, że któregoś dnia będzie musiał zniszczyć Orteda Ak-Ceddi albo sam zginie. Miał nadzieję, że stanie się to w lepszych okolicznościach niż te, w których dał się uwięzić, ale nie miał teraz już innej szansy.

Nucąc zakłęcie wzywające, Kane złamał przyłożoną na zamknięciu szkatułki karmazynowa pieczęć. Poczul jak moc drgnęła we wnętrzu metalowego pudełka. Zgubna moc, lecz Kane gotów był zabrać Orteda ze sobą.

Przez hermetyczną pokrywę srebrzystej szkatułki już przeciekały pasemka niebieskiego światła. Kane nie musiał nikogo ostrzegać, żeby się odsunął. Wykrzykując zakłęcie w języku znacznie starszym niż zaginione Ashertiri, Kane szedł przez dziedziniec w stronę środkowej wieży cytadeli. Wydawało się, że w wyciągniętych rękach trzyma błękitnobiałą gwiazdę. Mimo że rzucił zakłęcie, czuł jak pali go skóra na rękach od siły, która zaczynała wydobywać się ze szkatułki.

Odwróciwszy twarz, Kane wykrzyknął ostatnie zdanie i odrzucił szkatułkę daleko od siebie. Starożytne pudełko stało się w tej chwili sześcianem z jarzącego się srebra i eksplodowało w powietrzu kulą ognia. Kane odskoczył modląc się, aby zakłęcie opanowało wyzwoloną przez niego straszliwą siłę.

Dziedziniec rozbłysnął ostrym, jaśniejszym od słońca, palącym światłem. Zdawało się, że u podnóża wieży wybuchła gwiazda. Konie stanęły dęba w nie dającym się opanować przerażeniu. Ludzie zasłonili rękoma oparzone twarze. Skąpana w aureoli żywiołowego ognia salamandra przeciągnęła swe rozrastające się kończyny i rozejrzała leniwie.

Kane krzyknął rozkaz w języku czarodziejów, którzy tysiące lat temu uwięzili żywioł ognia. Salamandra powoli odwróciła się, posłuszna potężnemu zakłęciu. Zwróciła groteskową głowę w kierunku kamiennego muru i ruszyła niezdarnie do przodu zgodnie z poleceniami Kane'a.

Ogień żywiołu dotknął kamienia i ściana wybuchła, rozpryskując fontanny lawy. Salamandra wkroczyła w wyrwę. Krople stopionego kamienia spływały po jej obrzydliwie rozdętym ciele i rozpuszczały się w ogniste opary od niezziemskiego żaru wrzącej substancji. Ciągnąc za sobą ogon jak ohydny kometę, żywioł ognia zagłębił się w sercu fortecy, wytapiając sobie ścieżkę do tajemnych lochów Ceddi.

Śpiew kapłanów, chełpliwy śmiech Orteda – wszystko ucichło. Na wpół oślepieni żarem płomieni ludzie Kane'a kichali teraz przerażonych wrzasków tych, którzy byli we wnętrzu Ceddi. Salamandra zniknęła w niższych poziomach kolosalnej fortecy. Z zostawionego przez nią żarzącego się tunelu strzelał w noc białobłękitny płomień.

– Trzymajcie się blisko zewnętrznych murów! – strzegł Kane. – Nie jestem pewien, co się stanie, kiedy...

A w ukrytej świątyni Satakijczyków salamandra pełzła do Ołtarza Sataki – tak jak rozkazał Kane. Kane rozkazał salamandrze niszczyć...

Ogień żywiołu liznął nieziemski kamień. Przez chwilę w czarnym lustrze odbijał się rozżarzony do białości krąg energii – za którym coś zdawało się drgnąć, kulić z bólu...

Zdawało się również, że płyty dziedzińca skoczyły w górę pod stopami ludzi. Z głębi ziemi wybuchała wściekłość eksplodującej gwiazdy. Ludzie i konie potwornym podmuchem zostali przewróceni, obaleni na ziemię. Stali się jedną przerażoną masą ogłuszonego i krwawiącego ciała. Za nimi część muru otaczającego dziedziniec wybrzuszyła się na zewnątrz.

Środkowa wieża Ceddi zawałiła się jak dziecinny zamek z klocków na kipiące płomienie i roztopione skały, które jeszcze przed chwilą były pradawną świątynią boga, a teraz już tam nikt nie mieszkał.

Wydawało się, że kamienie spadają przez całą wieczność. Echa wybuchów rozdarły noc. A potem nastąpiła chwila absolutnej ciszy – zanim uszy ogłuszone straszliwym hałasem nie zaczęły rozróżniać wrzasków bólu i trzasku płomieni dochodzących z głębi zawalonej fortecy. Słysząc było odległe przerażone krzyki dochodzące z ulic, na które wróciła ciemność.

Trzecia część Ceddi leżała w gruzach. Kane zauważył ku swemu niezadowoleniu, że wieża Proroka nadal stała, choć wybuch nieco ją przechylił. Jednak Orted nie będzie już się śmiał. Bóg go opuścił.

Jedyna nadzieja leżała teraz w rozpaczliwej ucieczce. Kane wstał z wysiłkiem i poczuł ulgę, widząc, że Anioł wyszedł z opresji również bez szwanku. Nie wszyscy z jego gwardii mieli takie szczęście.

Kane wskoczył na grzbiet czarnego ogiera i wyciągnął miecz.

– W porządku, wy parszywe dranie! – warknął. – Wstawać natychmiast, wyjeżdżamy! Nie jesteśmy tu już mile widziani, a chyba nie chcecie poczekać na Jarvo, żeby poskarżyć mu się, że nie płacę wam zaległego żołądu!

Kiedy wybuch przewrócił Erill, zastanawiała się właśnie, jakie ma szanse przemknięcia obok straży przy tylnej bramie fortecy. Doszła do wniosku, że są mniej więcej zerowe – ale również upłynie niewiele czasu, zanim ktoś zauważy, co leży pod powierzchnią szkarłatnej wody w złotej wannie. Erill nie martwiła się o konsekwencje swe-go czynu, teraz kiedy dokonała swej zemsty. Nie miała jednak szczególnej ochoty za to odpokutować. Eksplozja szarpnęła nią tak, jak rozłoszczone dziecko targa lalką. Dzięki szczęściu i zdolnościom akrobatycznym nie złamała karku. Strażnicy przy bramie nie mieli ani takiego szczęścia, ani umiejętności.

Nie zastanawiając się wiele, Erill zaczęła biec przez ruiny, zanim jeszcze ziemia przestała się trząść. Biegła dalej przez spanikowany tłum kłębiący się poza cytadelą na ulicach. Kiedy dopadła do murów obronnych, nogi bolały ją okrutnie od wysiłku.

Murów bronił garnizon trupów. Orted bowiem rozkazał większości swoich wojsk zaatakować konne pułki Kane'a podczas gdy spali w koszarach. Na murach została tylko nieliczna załoga. Jarvo był bliżej; niż Orted się spodziewał.

Erill nie wychodziła z cienia i przyglądała się bitwie doświadczonym okiem. Ludzie na murach zostali zabici strzałami, prawdopodobnie w pierwszych chwilach ataku. Zbliżywszy się do miasta rozdartego przez zdradę i wypuszczoną na wolność magiczną potęgę, Jarvo zaatakował natychmiast przednią strażą. Obecnie wydawało się, że bitwa skupiła się przy głównej bramie. Wszystko wskazywało na to, że armia Konsorcjum już wdarła się do wnętrza. W takim przypadku Ingoldi, Ceddi, Satakijczycy i Mroczna Krucjata byli zgubieni.

Bawiło to Erill. Świat popadał w ostateczny i absolutny chaos. Wydawało się, że ona jednak przeżyła.

Było mało prawdopodobne, by spokój opuszczonej wieży strażniczej zakłócono jeszcze raz tej nocy. Grill wśliznęła się do środka i otworzyła pudełko ze sproszkowanymi liśćmi koki, które skradła z komnat Esketry. Nastąpił ostatni akt igrzysk, a ona miała wspaniały widok.

Kane nie zajechał daleko, kiedy dotarła do niego pełna świadomość klęski.

Mieszkańcy miasta chwycili za broń przeciwko zdrajcom nuczni z konnicy Kane'a. Po drodze spotykał pokrwawionych swych ludzi, którzy opowiadali straszne historie o masakrze. Nie spodziewając się samobójczej zdrady Satakijczyków, wyczerpani ludzie Kane'a rzucili się na posłania i zapadli w głęboki sen. Żołnierze Orteda podpalili koszary i mordowali kawalerzystów

wybiegających z zamętu i kłębow dymu.

Wojsko Kane'a stanowili doświadczeni wojownicy i szybko zrozumieli niebezpieczeństwo. Zrozpaczeni zaczęli wyrywać się z pułapki i było ich dość, by zmienić pozornie nieuchronną masakrę w zażartą bitwę. Skoro miasto obróciło się przeciw nim, przerażeni najemnicy rzucili się do bram, chcąc uciekać do lasu. W mroku i zamęcie bitewnym nie zdawali sobie sprawy, że otwierają bramy miasta oczekującej armii Jarvo.

Cofając się przed nowym atakiem, nigdy niezwyknięta, armia Kane'a została rozsiekana i zgnieciona. Żołnierze Konsorcjum zabijali wszystkich w mieście, podczas gdy fanatyczni Satakijczycy zdecydowani byli zabić wszystkich co do jednego zdrajców nuczni.

Kane znalazł się w pułapce bez wyjścia, a szczęki potrzasku zamykały się zbyt szybko, by zdołał uciec. Istniała niepewna szansa przeżycia, gdyby udało mu się wycofać przez Ingoldi, wyważyć tylną bramę i dotrzeć do lasu. Żołnierze Konsorcjum nigdy nie zdołają wyłapać wszystkich uciekinierów. Niektórzy więc uciekną i dotrą wreszcie do bardziej przyjaznych okolic.

Wtedy nadeszła wieść od następnych grup rozproszonych żołnierzy. Orted Ak-Ceddi, zraniony przez spadające kamienie, lecz wciąż groźny, rozkazał fanatycznym Satakijczykom zgładzić Kane'a i wszystkich pozostałych jeszcze z jego armii żołnierzy. Mieli oddać swoje życie, aby ani jeden zdrajca inucziri nie uszedł żywy z ginącego miasta.

Przed nimi Jarvo i wojsko Wielkiego Konsorcjum. Za nimi fanatycy Sataki, którzy uszli zagładzie.

Śmierć błyszczała w oczach Kane'a, kiedy wrócił do niedobitków ocalałych z jego wojska. Ludzie wiedzieli, że czeka ich bliska zagłada, ale chcieli również dowiedzieć się, czy Kane może jeszcze raz dokonać cudu.

– Zobaczmy, czy nie zostało dla nas wina w Ceddi! – warknął Kane. – Potem zobaczymy się w piekle i dopilnujemy tego, by był tam tłok.

Zawrócili wierzchowce i pojechali przez zasłane trupami ulice Ingoldi w stronę dymiących gruzów Ceddi. Ostatnie kilka setek żołnierzy – wszystko co zostało z potężnego Miecza Sataki. Byli wycieńczeni, ranni i uzbrojeni w taką broń, jaką zdążyli chwycić. Ubrani w kolczugi i przypadkowe części zbroi płytowych dosiadali koni równie zmęczonych walką jak oni. Byli to zawodowcy, którzy zarabiali na życie mieczem.

A to była ich ostatnia bitwa.

Jadąc rozpędzali kłębiący się tłum mieszczan – przerażonych głupców, którzy utknęli w koszmarze, z którym nie umieli sobie poradzić ani nawet go zrozumieć. Rozbiegali się i znajdowali śmierć gdzie indziej.

Żołnierze Kane'a nie musieli długo cwałować, by natknąć się na tropiący ich tłum Satakijczyków. Nie było czasu na zastanawianie się ani na subtelne działania. Kane wbił ostrogi w boki Anioła i zderzyli się z Satakijczykami w galopie.

Noc zmieniła się w koszmar pełen dymu i smrodu, błyszczącej stali i wykrzywionych twarzy, krwi i potu oraz niewielkich ran, których niemal nie czuje się przez ból zmęczonych mięśni. Znacząca rana to ta, której także nigdy nie poczujesz.

Kane brnął wśród nich jak mściwy moloch, aż spienione boki Anioła zaczęły ociekać krwią, tak jak jego miażdżące kopyta. Ludzie rzucali się na Kane'a, a Kane ciął, powalając na ziemię bez zastanowienia jak zniwiarz wymachujący kosą. Ciosy ostrzy i nagich pięści kaleczyły jego ciało i rozrywały chroniącą go kolczugę. Ciśnięty kamień odbił się od hełmu Kane'a, a samobójczy napastnik wydarł mu tarczę i uczeplił się konia, podczas gdy jego towarzysze ciąli Kane'a po rękach. Ściskając carsultyański miecz w lewej ręce, Kane pochwycił w prawą szablę kawaleryjską. Walka nie była już

kwęstią cięć, pchnięć i uników; było to tylko zabijanie, zabijanie i jeszcze raz zabijanie, póki śmierć nie położy kresu szalowi morderczej wściekłości.

Żołnierze Kane'a padali jeden po drugim; nie widział ich twarzy. Nie czuł już ani gniewu, ani smutku; uczucia wymagają energii, a Kane skupił wszystkie swe siły na niszczeniu.

Do walących się murów Ceddi dotarł już tylko Kane i reszta jego osobistej straży. Satakijczycy nie ustępowali im z drogi; musieli przebijać się na każdym kroku. Została ich już tylko garstka, lecz trupy Satakijczyków leżały wokół nich jak śmieci zostawione przez falę powodzi. Obrońcy w czerwonych opończach, kapłani w czarnych szatach, chłopci i mieszkańcy miasta – wszystkich zjednoczył fanatyzm, a teraz śmierć.

Kane miał tylko jedno wielkie życzenie – chciał znaleźć Orteda i wydrzeć mu jego czarne serce gołymi rękami. Orteda jednak nie było wśród pozostałych jeszcze przy życiu wiernych. Nie było go również w Ceddi, kiedy Kane dostał się do zrujnowanej fortecy. Kane wiedział jednak, gdzie go szukać. Prorok rozkazał swym fanatykom oddać życie, aby odsunąć bitwę od Ceddi, podczas gdy sam, z typową dla niego chytryością, uciekł ze wszystkim, co zdołał zabrać.

Świadomość tego doprowadziła Kane'a do furii. Co innego zginąć w beznadziejnej bitwie, a co innego wiedzieć, że wróg, którego szalona zdrada spowodowała tę zgubę, ucieka bezkarnie.

Kane zachwiał się w siodle, osłabiony zmęczeniem i dziesiątkami ran.

Był jak lew, którego zagryza stado szczurów, zabijał wszystkich w zasięgu ręki, ale nawet dla niego istniała granica wytrzymałości, a jego przeciwnicy byli niezliczeni.

Chwila spokoju w bitwie dała Kane'owi czas, żeby zobaczyć, iż w Ceddi pojawili się nowi wrogowie. Pierwsza fala armii Konsorcjum przedostała się już przez miasto i wdierała do zrujnowanej fortecy. Kane zabijał ich z taką samą beznamiętną sprawnością, z jaką mordował Satakijczyków.

Kiedy popędził Anioła, by opuścić zatłoczony dziedziniec, Kane dostrzegł, że Ceddi jest otoczona. Wojsko Jarvo, nie interesując się zbytecznie tym, jaka straszliwa siła strzaskała fortecę Proroka, wycinało w pień resztki fanatyków Sataki. Nagle Kane ujrzał, że pada ostatni żołnierz w jego gwardii.

Nie było nawet czasu by ochłonąć, a tym bardziej na rozmyślania. Kane zaszarżował na Satakijczyków, którzy bezmyślnie go szarpali. Pod kopyta Anioła rzuciło się dziecko i dźgnęło włócznią. Anioł zarżał i zwałił się na ziemię, zrzucając Kane'a przez kark. Generał zeskoczył na równe nogi i rozrąbał chłopca na pół ciosem zadany od tyłu.

Na chwilę pochłonął go tłum. Dwie klingi Kane'a zabłyśły jak czerwone płomienie. Ludzie, poranieni i chwiejący się na nogach, odstąpili od niego. Kane szedł z trudem, krwawiąc z otrzymanych ran. Przedzierał się wzdłuż muru fortecy, starając się, by zawsze budowla chroniła plecy. Wiedział, że koniec jest bliski jtsli będzie dalej iść pieszo.

Nagie usłyszał krzyk, w którym nabrzmiała nuta wściekłej nienawiści – wrzask był tak agresywny, że zwrócił uwagę ślaniającego się Kane'a na tego, kto krzyczał. Jarvo.

Kane warknięciem odpowiedział na wyzwanie. Wróg rozpoznał go w świetle płonącej fortecy.

Jarvo zaciekle przedzierał się przez rozdzielający ich tłum walczących. Odziany w zbroję, na koniu, otoczony kołnierzami, Jarvo rozdepcze go teraz jak psa.

Kane odskoczył. Przez moment zastanawiał się, czy nie uda mu się schwytać jakiegoś luźnego konia, pozbawionego jeźdźca. Inaczej tu, na otwartej przestrzeni może uważać się już za martwego.

Kredy odwracał się, padł na niego głęboki cień, niczym podmuch chłodnego oddechu. Dotarł do Wieży Ysłsla.

Nawet w zamęcie bitwy wieża stała pusta, a jej drzwi były otwarte. W pobliżu leżało kilka

trupów. Po co wchodzić do środka? Tam me można było się schować, a nawet nie można było się stamtąd bronić.

Znowu krzyk Jarvo, a potem stuk kopyt konia. Za chwilę nastąpi koniec. Kane zastanawiał się, czy udałoby mu się zabrać Jarvo ze sobą. Nie miał jednak szans. Jarvo był zbyt dobrym wojownikiem, a Kane mocno wyczerpany i poraniony, nie mógł nawet uskoczyć przed ciosem. Otwarte wrota kusły. We wnętrzu były też drugie, osobliwe drzwi na szczycie schodów...

Kane często o nich myślał. Jak prawdziwe były legendy? Czy pamięta jeszcze, jak należy otworzyć tamte drzwi?

Trudno mu było zebrać myśli. Z trudem nawet utrzymywał się na nogach.

Jeszcze sekunda i będzie mógł odpocząć.

Chwiejąc się, Kane przestąpił próg, zamknął okute żelazem drzwi i zaciągnął zardzewiałe zasuwki w chwili, gdy prastare wrota zatrzęsły się od uderzenia.

Kane stanął na chwilę w chłodnej ciemności. Czy to nad jego głową były gwiazdy? Jeśli tak, to wirowały.

Drzwi zadygotały od następnych uderzeń. Jak przez mgłę słyszał gniewny głos Jarvo, który domagał się taranu.

Kane zaczął wspinać się po schodach.

XXVII

W LEGOWISKU YLSLA

Smród płonącego miasta i chłodny, stęchły zapach starej wieży... Wrzawa toczonej na dole bitwy i nieubłagany huk tarana uderzającego w trzeszczące wrota wieży... Kane naparł okrwawionym ciałem na zimny, czarny kamień w kształcie słońca...

A potem otoczył go chłód i pochłonęła nieskończona ciemność. Spadał... Ślepa drobina świadomości, która opada przez wieczność...

I coś zagłębiło tysiąc lodowatych macek w jego duszę...

NIGDY... Z nicości wypełził lodowaty szept i czołgał się przez jego świadomość... **NIGDY NIE BĘDĘ TAK UCZTOWAŁ JAK TERAZ...**

XXVIII

GLÓD

Z nicości wyłoniła się materia... Kane znajdował się w korytarzu – szaro oświetlonym, niewyraźnym na krawędziach, niemile przypominającym pajęczą, sieć w kształcie tunelu. Sunął jak we śnie, cicho i bezwolnie. Szary korytarz przed nim rozciągał się w nieskończoność. Za nim... Powoli, z wysiłkiem odwrócił głowę...

Za nim korytarz rozplątywał się w nicości – za każdym jego krokiem otwierała się otchłań nieskończoności. Mimowolnie postąpił krok do przodu i przepaść przesunęła się. Zdawało się, że w głąb? tej otchłani błyszczą gwiazdy...

Kane pokonał zawrót głowy i przesunął się znowu o krok do przodu...

Niedźwiedź polarny stanął na wysokość swego cielska. Gniewny pomruk zmienił się w wyzywający ryk w chwili, gdy jego wściekłe oczy rozpoznały intruza. Z mylącą niezdarnością niedźwiedź zbliżył się do niego na tylnych łapach. Przednie, zakończone strasznymi pazurami wyciągał do swej ofiary, by przygnieść ją do kosmatej piersi.

Kane odruchowo uchylił się przed morderczym ciosem przednich łap. Odskokczy! przed atakiem niedźwiedzia i poczuł pod butami pustkę. Z kocią zręcznością przemieścił się do przodu, wczepiając się palcami w lodową półkę. Przez chwilę ześlizgiwał się w przepaść, a potem udało mu się wbić palce w szczelinę w lodowcu. Wgramolił się na półkę, ścinając butami grudy nadtopionego lodu, które cicho spadały w otchłań mgły spowijającej podstawę lodowca trzysta metrów niżej.

Niedźwiedź polarny wygramolił się ze swego legowiska w chwili, gdy intruz stanął na wąskiej półce. Kane sięgnął po miecz, lecz nie znalazł go w pochwie. Został mu nóż u pasa, musiał jednak sprostać dzikiej sile...

Półka wiła się jak wąż wzdłuż zamglonej palisady – zbyt wąska i śliska, by nią uciec.

Niedźwiedź górował nad nim. Kane warknął i rzucił się do ataku, a nóż w jego rękę błysnął jak błękitny płomień. Niemal sto dwadzieścia kilo ludzkich mięśni i kości zderzyło się z ważącą ponad trzykrotnie więcej bestią o białym futrze. Zderzenie to zatrzymało na chwilę morderczy atak niedźwiedzia. Szytlet Kane'a – trzydzieści centymetrów hartowanej stali – zagłębił się po rękojeść w masywnej piersi zwierzęcia. Kane obrócił ostrze i wyrwał je – ześliznęło się po żebrze i nie dotarło do serca. Struga krwi chlusnęła na klingę i rękojeść, czyniąc ją śliską; Kane niestrudzenie dźgał splamioną purpurą pierś.

Wtedy długie na palec ostre szpony rozdarły na strzepy jego futrzany płaszcz oraz skórzaną kamizelę i poszarpały ciało na ramionach i plecach. Kane syknął z bólu i jeszcze raz dźgnął. Zaczęło brakować mu tchu, gdy straszliwe przednie łapy niedźwiedzia zaczęły obejmować go w nieubłaganym, śmiertelnym uścisku. W bark wbiły się kły, odbierając mu czucie w jednej ręce.

Rycząc z bólu, Kane wbił nóż jeszcze raz, jeszcze głębiej w skrwawioną, kosmatą pierś. Krew migotała mgliście na otaczającym ich lodzie; mgła pulsowała z hukiem w jego czaszce.

COŚ JESZCZE JEST W JEGO CZASZCE... COŚ, CO POŻYWIA SIĘ...

Niedźwiedź polarny kaszlnął i rozluźnił uścisk kłów, tryskając z pyska posoką. Nagle zwałił się, przytłaczając człowieka swą gigantyczną masą. Sztylet wysliznął się z dłoni Kane'a. Przednie łapy wciąż ścisnęły go w morderczym uścisku, lecz teraz ich siła nie wydawała się tak straszliwa.

Kane rozpaczliwie starał się wywinąć spod przygniatającego go niedźwiedzia, przesuwał się w stronę jego zadu, w miarę jak zwierzę przechylało się do przodu. Śmiertelnie ranny niedźwiedź bezwładnie pochylał się nad przepaścią i wisiał nad nią długo, bezsilnie usiłując odzyskać równowagę. Potem zsunął się z półki jak lawina i znikł w cichej mgle, która czekała na dole.

Kane zachwiał się, stracił równowagę. Był w jaskini, wilgotnej i cuchnącej padliną. Galaretowate grzyby rzucały słabe, fosforyzujące światło na ociekające wilgocią stalaktyty? Zdradzieckie podłóże pokryte było śluzem i cuchnącymi sadzawkami niepewnej głębokości. Zimna woda kapła na jego nagie ciało, kiedy szedł z pluskiem przez korytarz. Zerwane łańcuchy na jego okrwawionych przegubach dzwoniły ponuro.

Niemal nie pamiętał tej purpurowej chwili nieznośnego szau, jaki ogarnął go na dźwięk beznadziejnego tonu jej oddalających się krzyków. Zardzewiałe łańcuchy, którymi był przykuty do skały, pękły jak przegniły sznur.

Przez długie, wijące się jak robak mile, szedł za drwiącym echem jej krzyków, a czarna rozpacz gasiła płomień jego wściekłości. Ci, którzy tam go zostawili, celowo pozwolili jej przyjść i beznadziejnie próbować go uwolnić.

W sadzawce tuż przed nim leżała blada postać. Kane skoczył ku niej bez namysłu, poznając od razu znajomą, smukłą figurę i szaroblond włosy. Zawołał ją po imieniu.

Puste oczy patrzyły na niego z pokrytej śluzem twarzy. Najstraszniejsze było jednak to, że ona wciąż żyła...

Zdawało się, że świadomość rozjaśniła jej puste oczy, gdy ukląkł przy jej okaleczonym ciele. Przycisnął palce do jej rozdartego gardła, ale na jej nieruchomej twarzy malowało się tylko przerażenie.

Atak był cichy – coś spadło na niego z mroku nad głową, gdzie wspięło się za pomocą zakończonych przyssawkami kończyn. Zwierzęcy instynkt przebił się przez smutek Kane'a, tak że w ostatnim momencie zdołał odskoczyć. Wielka gruda gumiestego ciała musnęła jego nagą skórę, lecz morderczy skok rozminął się z celem.

Trysnęła stęchła woda i diabelska pijawka wyprostowała się po skoku. Upadek nie zaszkodził jej sprężystemu ciału. Stała prosto jak człowiek – jak zrobiona przez dziecko figura z błota przedstawiająca człowieka. Krótkie nogi i ręce były zakończone wyposażonymi w przyssawki mackami przypominającymi wielkie robaki, a śliskie podbrzusze falowało jak spód ślimaka. Umieszczona na krępych ramionach, pozbawiona karku głowa nachylała się jak kaptur kobry. Złośliwa inteligencja błyszczała w oczach podobnych do oczu kałamarnicy, osadzonych z dala od wysuniętej paszczy w kształcie przyssawki.

Diabelska pijawka rzuciła się na niego, a jej ociążałe ciało wyprostowało się nagle jak pchnięte stalową sprężyną, Kane pośliznął się na mokrych kamieniach, próbując obronić się przed jej atakiem. Diabelska pijawka przygniotła go masą zimnego, miękkiego cielska.

Kane sapnął i usiłował schwycić sprężyste ciało. Palce osuwały się bezradnie po oślizłym cielsku, zmagając się z uściskiem łap demona. Nieustępliwa masa przygniatała jego wijące się ciało, wgniatała go w galaretowaty dywan pleśni. Kane miotał się rozpaczliwie, starając się wyrwać z uścisku. Udało mu się tylko głębiej wpaść do stęchłej sadzawki. Cuchnąca woda zalewała mu twarz i dusiła go.

Paszczka pijawki, przyssawka pełna zębów podobna do paszczy olbrzymiego minoga zbliżała się do jego gardła. Kane bezskutecznie uderzał w nachylający się nad nim, podobny do kaptura kobry łeb. Szeroka na trzydzieści centymetrów, okrągła paszcza z ruchomymi językami, zaopatrzona w ostre jak pilniki zęby była coraz bliżej i bliżej...

Ręce ześliznęły mu się i krótkie łapy diabelskiej pijawki nagle unieruchomiły go. Paszcza natychmiast zbliżyła się do niego. Kane wił się. Przyssawka przyczepiła się do jego nagiej piersi.

Tysiąc tępych noży wbiło się w niego w chwili, gdy okrągła paszcza rozdarła ciało na jego piersi. Przez chwilę ciekł szkarłat, a potem ohydne ssanie szarpnęło jego duszą. Kane wrzasnął.

POŻYWIA SIĘ. POŻYWIA SIĘ, COŚ JESZCZE SIĘ POŻYWIA...

Ogarnął go znowu nierozumny szal, który przedtem umożliwił mu zerwanie żelaznych łańcuchów. Rycząc wściekle, Kane szarpnął się z całą swą straszliwą siłą. Uwolnił ręce. Rozpaczliwym ruchem oderwał pożywiającą się paszczę od swej piersi. Krew pociekła z kręgu okaleczonego ciała. Kręgu jak te, które znaczyły białe, nieruchome ciało dziewczyny.

Kane podciągnął kolana i odepchnął od siebie diabelską pijawkę. Jednym skokiem zerwał się na równe nogi, rycząc jednym tonem nienawiści. Nagi, skoczył z gołymi rękoma na potwora – demona, który utuczył się na niezliczonych ofiarach składanych w jego cuchnącym leżu. Potężnymi dłońmi chwycił mocno po obu stronach paszczy łeb bestii. Szorstkie języki zdierały do kości ciało z jego palców, gumiate wargi starały się przyssać. Kane zacisnął uchwyt i szarpnął, wkładając w wysiłek całą moc potężnych ramion.

Bezkostne ciało rozciągnęło się do granic wytrzymałości. Diabelska pijawka usiłowała wywinąć się z uchwytu szaleńca. W naciągniętym cielsku pojawiły się pęknięcia, rozszerzyły się – a potem Kane rozdarł je całkowicie. Chlusnęła czarna krew, niczym z zakażonej rany, i pokryła jego ręce.

Kane roześmiał się. cały czas kurczowo ściskając skórzaste szczęki potwora pełne ostrych zębów. Szarpnął jeszcze mocniej, rozdzierając bezkostne ciało tak, jak rozdziera się skorupę orzecha kokosowego. Stał w kałuży krwi, a pijawka coraz słabiej próbowała się uwolnić. Musiały zostać przerwane arterie – jeśli demon miał własną krew. Ocean plugawości chlusnął z rozdartego gardła, a obłąkany śmiech Kane'a rozbrzmiewał echem po jaskini...

Lecz znowu szedł przez jaskinię. Nie, to był korytarz – wilgotny tunel z grubo ciosanych, kamiennych bloków. Korytarz nie był oświetlony; ciemność była śliska i cuchnęła niemytymi ludzkimi ciałami. Kane'owi zdawało się, że ciąży mu ręce, że jego nogi są spętane, a krokom towarzyszy brzęk. Był skuty potężnymi łańcuchami.

Kane próbował się zatrzymać, ale żelazna obroza na szyi szarpnęła jego głowę do przodu. Przed nim szli żołnierze i ciągnęli go na łańcuchach. Nie zobaczył ich od razu w mroku. Próbuąc skupić myśli, Kane dał się prowadzić. Poza strzępem szmaty był nagi – jego ciało pokryte było ledwo zasklepionymi ranami. Ból i zmęczenie sprawiały, że nogi ugiwały się pod nim.

Zazgrzytały zasuw, jęknęły zawiasy. Otworzono okute żelazem drzwi. Światło pochodni padło na korytarz. Kane mrużył oczy, oślepiiony nagłą jasnością, podczas gdy oprawcy wciągali go do środka.

We wnętrzu powitał go znajomy, znenawidzony profil Jarvo. Krępy generał siedział na krześle o niskim oparciu, tuż przy naczyniu z płonącymi węglami. Z żaru wystawała rękojeść miecza. Zdrowe oko Jarvo błyszczało triumfalnie, a jego młodzieńcza twarz – ta strona, która nie była unieruchomiona przez blizny – była wykrzywiona uśmiechem. Za nim czekały połyskujące narzędzia tortur, nie

całkiem ukryte w mroku komnaty.

Jarvo mruknął z zadowoleniem. Odzyskałeś więc już przytomność, Kane, a może tylko udawałeś omdlenie przez te godziny?

– Godziny? – Kane usłyszał swoje własne pytanie. Starał się odzyskać jasność myśli. Skąd tu się wziął? Omdlenie...?

– Chcesz udawać, że nie wiesz? – Jarvo przyglądał mu się w zamyśleniu. – Być może nie wiesz. Jeśli chcesz coś przez to zyskać, nie masz szans. Tak, upłynęły godziny – więcej niż cały dzień od czasu ostatecznej bitwy. Od chwili, gdy wraz z moimi ludźmi wdarłem się do tej starej wieży, gdzie starałeś się ukryć. Leżałeś tam nieprzytomny, półżywy z powodu ran. Czyżbyś chciał tam stoczyć ostatni bój, Kane? W takim razie pożałujesz, że resztką sił nie rzuciłeś się na swój miecz. Moi chirurdzy opatrzyli twoje rany i utrzymali cię przy życiu swymi miksturami.

– Dlaczego?

Zniekształcona bliznami twarz Jarvo skrzywiła się wściekle. Przesunął palcami po oparzonej stronie twarzy.

– Czyżbyś tak szybko zapomniał, Kane? Czyżbyś sądził, że uda ci się uciec w tak łatwą śmierć? Orted Ak-Ceddi wymknął mi się z rąk, ale nasz lud zobaczy przynajmniej, jak tobie zostanie wymierzona sprawiedliwość! Tobie, Kane – tobie, jego generałowi, który wykuł miecz, jakim kult demona Sataki terroryzował nasze ziemie!

Głos Jarvo, który zaczynał się wznosić, znowu opadł, stał się zwodniczo spokojny. – Kiedy wybrano mnie na dowódcę wojsk Konsorcjum, przysiągłem, że pogrzebię ciała obłąkanych kapłanów Proroka pod gruzami jego fortecy. Przysiągłem, że na każdym drzewie w Shapeli powieszę wyznawcę Sataki i że dopilnuję, by Orted i jego poplecznicy umarli w mękach na oczach mojej armii. Ceddi leży w gruzach, wrony w puszczy pożywiają się padliną, a chociaż Orted uciekł, wziąłem do niewoli jego generała!

Jarvo wstał i wbił w Kane'a okrutne spojrzenie. – Za kilka godzin wstanie świt. O świcie zostaniesz zaciągnięty na główny plac. Tam, na oczach zwycięskiej armii, będziesz łamany kołem, obdarty ze skóry, a po pewnym czasie spalony na stosie. Moi oprawcy są mistrzami; zapewniają również, że przy ostrożnym działaniu i zastosowaniu środków pobudzających, możesz dożyć zmierzchu.

Jarvo sięgnął do naczynia z żarem i wyciągnął z niego miecz, którego ostrze było rozpalone do białości. Głos załamywał mu się z nienawiści. – A to, żebyś miał o czym myśleć przez noc!

Kane próbował odsunąć głowę. Przytrzymały go łańcuchy. Rozżarzona stal cięła twarz, przypalając natychmiast dymiącą szramę. Z zaciśniętych zębów wyrwał się syk bólu. Czuł smród własnego palonego ciała. Chociaż cofnął się nieco w cień, to i tak krwawiąca i spalona połowa jego twarzy przedstawiała straszny widok.

– Odpłacam ci za twą łaskę – warknął Jarvo – i zostawiam jedno oko, abyś nim widział. Zabierzcie go z powrotem do celi.

Na wpół oślepiiony, chory z bólu Kane ledwo zdawał sobie sprawę z tego, że prześladowcy zaciągnęli go do celi, wrzucili do środka i zamknęli ciężkie drzwi. Obciążony łańcuchami, upadł na brudną kamienną posadzkę ciemnej izby. Ból przeszywał głowę. Szybkie cięcie Jarvo oderwało ucho, otworzyło rany na twarzy aż do kości i uszkodziło oko, które rozlało się jak pęknięte jajko.

Za kilka godzin przyjdą po niego. Umrze straszną, powolną śmiercią, upokorzony przed wrogami. Będą napawać się jego cierpieniem, śmiać się z bólu, którego nie powstrzyma nawet żelazna siła jego woli. Nie było nadziei na ucieczkę. Był skuty łańcuchami, półżywy od ran, bezradny w rękach zwycięskich wrogów i nie został nikt żywy, kto przyszedłby mu z pomocą.

To był koniec. Nie będzie ucieczki. Życie, które trwało wieki, zakończy się w mecie i hańbie. Ponuro. Beznadziejnie.

POŻYWIA SIĘ... COŚ SIĘ POŻYWIA...

Kane złapał się za głowę. Nawet przez ból okaleczonej twarzy czuł lodowate macki przeszywające jego mózg i ssące energię z cierpienia jego udręczonej duszy.

Co to było... Co on uczynił... Nie powinien był dostać się do niewoli Jarvo. Istniała szansa ucieczki – rozpaczliwej ucieczki. Tak trudno było myśleć. Ból i rozpacz otępiły umysł. Co się wydarzyło... Bitwa, tak powiedział Jarvo...

Kane przypomniał sobie bitwę. Dużo krwi, stali i płomieni w czasie, gdy armia Jarvo brała szturmem Ceddi i niszczyła Mroczną Krucjatę Orteda w ciągu jednej szalonej nocy. Wściekły Kane przypomniał sobie zdradę Proroka i jego bezsensowną odmowę przymierza, która umożliwiła Konsorcjum pokonanie niezwyciężonego niegdyś Miecza Sataki.

Kane przypomniał sobie również ostatni bój przybocznej straży uwięzionej w ginącej fortecy pomiędzy fanatycznymi wojskami Orteda a zbliżającą się armią Jarvo. Kiedy padł ostatni jego żołnierz, Kane utorował sam drogę do miejsca, gdzie zaznał trochę spokoju. A co potem? Zrozpaczony Kane pamiętał tamten moment, kiedy chwiejąc się na nogach ze zmęczenia i wielu ran, zdał sobie sprawę, że nie ma odwrotu. Była tam taka stara wieża... Nawet w zamęcie strasznej walki ludzie nie chcieli zbliżyć się do zimnych kamieni prastarej reduty, a ci, którzy jej strzegli, uciekli przed zbliżającymi się wojskami Jarvo. Kane przedostał się do wieży i zatrzasnął starożytne drzwi tuż przed pościgiem.

DLACZEGO?... Uczynił to, wiedząc że drzwi zatrzymają ich tylko na kilka chwil i że stamtąd nie ma ucieczki. Dlaczego wybrał tę wieżę na miejsce ostatniej walki? Kane z wysiłkiem myślał, starał się sobie przypomnieć. Odszukał rozpaczliwie tę starą wieżę pchany jakąś ostatnią nadzieją. DLACZEGO? DLACZEGO... WIEŻA...

Wieża Yslsla – nie! LEGOWISKO Yslsla!

YSLSL!

Czarnoksiężnik z zamierzchłych czasów – a może demon? Pozostały tylko niejasne legendy. Czarna kamienna wieża stała tu, zanim jeszcze kapłani Sataki przybyli do Shapeli, a przynajmniej tak powiadano. A może prawdą było, jak twierdzili niektórzy, że Sataki i Yslsl byli braćmi demona w panteonie jakiejś zapomnianej starszej rasy? Jednak kult Sataki wciąż trwał, choć w ciągu wieków niemal wygasł, a po Yslslu zostały tylko mętne podania. I ta wieża. Albo, jak głosiła legenda, dwie wieże...

Kiedy wybudowano Ceddi w ponurej puszczy, jej pierwsi mieszkańcy otoczyli palisadą również i tę pradawną wieżę. Chociaż zimna i budząca grozę, była solidną kamienną budowlą, a założyciele miasta bardziej obawiali się groźących im bezpośrednio niebezpieczeństw niż złowieszczych legend. Później przez pokolenia wieża wciąż stała, równie potężna, zimna i otoczona złą sławą jak za pierwszych dni. Obecnie Ceddi posiadała potężniejsze umocnienia, a stara reduta stała niemal całkiem opuszczona.

Jak głosiła legenda, istniały dwie wieże. Jedna tutaj, a druga w innej połowie świata. A pomiędzy nimi mieszkał Yslsl, demon-czarnoksiężnik, łączący się międzywymiarową siecią z tym światem przez dwa ogniska energii. Być może ta sieć połączona była również z innymi światami...

Można było wejść do Legowiska Yslsla i przedostać się w inne miejsce, poprzez to samo pasmo jego sieci. Istniał obrzęd otwierający wrota, zakłęcie znane nieżyjącym od wieków kapłanom i tym, którzy studiują tajną wiedzę. Jeśli znało się je, można było podróżować przez ten międzywymiarowy korytarz. Lecz, aby tego dokonać, trzeba było zetknąć się z Yslslem...

Kane ze znajomością rzeczy nadprzyrodzonych liczącą wieki, znał zakłęcie i niebezpieczeństwo. Jednakże kiedy wrogowie wyważali już drzwi wieży, nie miał innego wyjścia.

I Kane przypomniał sobie. Przypomniał, jak zanucił zakłęcie, oddychając ciężko i czując na ustach pianę. Słyszał łomot tarana roztrzaskującego okute żelazem drzwi. Czuł chłód w chwili, gdy przycisnął pokaleczone plecy do czarnego kamiennego słońca wprawionego w ścianę na szczycie spiralnych schodów... Spadał w ciemność...

CO SIĘ WYDARZYŁO...

Jarvo powiedział, że znaleźli go leżącego bez przytomności na kamieniach. Czyżby jego ostatnia rozpaczliwa nadzieja okazała się idiotyczną mrzonką pokładaną w starożytnej legendzie? A może tkwił w tej chwili w Legowisku Ysrla i był torturowany obawami wydobytymi z jego umysłu przez demonicznego wampira.

Tak trudno było zebrać myśli... Trudno było skoncentrować się z powodu palącego bólu okaleczonej twarzy, tępego bólu i rozpacz...

POŁÓŻ SIĘ, KANE. TO BEZNADZIEJNE. POŁÓŻ SIĘ I ZACZEKAJ, AŻ PRZYJDĄ PO CIEBIE...

YSLSL!

Ból był prawdziwy, zbyt prawdziwy. Czy można czuć ból, który jest tylko złudzeniem? A te koszmary, które przeżył, zanim obudził się w łańcuchach – tam też był ból. Czy to również sny? Delirium? Jarvo powiedział, że leżał nieprzytomny w delirium.

ZŁUDZENIA! To było złudzenie. To jest złudzenie! Korytarz...

– Ysrl! – wrzasnął Kane. Jego głos rozbrzmiewał upiornym echem. – Ysrl! – Usłyszał, jak na zewnątrz jego celi strażnicy poruszają się niespokojnie.

NIE! Nie ma celi! Nie ma łańcuchów! Ysrl, wszedłem do twojego legowiska!

Głupcze – upadłeś nieprzytomny na podłogę wieży. Za chwilę prześladowcy poprowadzą cię na śmierć.

Gniew spalił więzy zrobione z pajęczyny rozpacz. Kane z trudem wstał, starając się myśleć jasno.

– Ysrl! Gdzie jesteś?

Musi wyrwać się złudzeniom – musi uwierzyć, że to złudzenie – bo inaczej w nim zginie, a Ysrl pożywi się jego wrzeszczącą, ulegającą zagładzie duszą.

– Ysrl!

Kane skoczył naprzód, prosto na okute żelazem drzwi. TERAZ. TERAZ MUSI PRZERWAĆ TĘ ILUZJĘ! Nie ma celi, nie ma łańcuchów ani drzwi... Rzucił się na drzwi, które zdawały się takie wielkie, masywne, niewzruszone...

Był na korytarzu. Szedł naprzód jak we śnie, a za nim korytarz zniknął w otchłani. Nie ma łańcuchów, nie ma ran. Złudzenie. To było złudzenie.

Rozgniewany Kane wyczuwał zawód i – przez chwilę – pełen lęku podziw. Potem chełpliwą radość i głód. Żarłoczny, nienasycony głód.

– Ysrl!

Śmiech, głęboki śmiech.

Jakiś kształt zbliżył się do niego. To dziewczyna. Naga zbliżała się do niego, tańcząc, a jej długie włosy podobne do światła gwiazd wirowały wokół smukłej sylwetki. Jej twarz była piękna i okrutna niczym twarz bogini.

– Biedny Kane – zaśpiewała jak dziecko. – Biedny Kane, całkiem oszalał.

– Kim jesteś? – zapytał Kane.

– Kim jesteś? – zadrwiła dziewczyna. – Nie wiesz? Nie wiesz?

– Yslsl?

– Biedny Kane. Biedny, obłąkany Kane. Yslsl? Chcesz Yslsla?

– Czy ty jesteś Yslsl?

– Być może JA jestem. Być może TY jesteś. Chcesz Yslsla?

– Tak, do diabła! Gdzie jest Yslsl?

Dziewczyna zaśmiała się i zrobiła piruet. Jej włosy jak światło gwiazd przypominały wirującą nową gwiazdę. – Biedny Kane, biedny Kane. Jest całkiem obłąkany. W jego mózgu jest Yslsl. Pożywia się twoim cierpieniem. Jesteś teraz szalony. Biedny Kane. DLACZEGO NIE UMIERASZ?

Kane chciał ją schwytać. Odskokczyła, ale złapał jej nadgarstek. Wirując, przybliżyła się do niego i ugryzła w rękę.

Przeszył go nieznośny ból. Kane jęknął i wypuścił ją. Dziewczyna znikła w wirze światła i śmiechu.

Kane ścisnął ugryzioną rękę, spodziewając się ujrzeć krew. Był tam tylko fioletowo-zielony siniec, opuchlizna, która rosła na jego oczach. Zadrżał z bólu, gdy opuchlizna nabrzmiała jak jakiś okropny grzyb – a potem pękła.

Z cuchnącej narośli nie pociekła krew. Pająki. Małeńkie, czarno-zielone pająki wypełzły z jego ciała. Pająki błyszczące jasno jak odłamki szkła. Czuł, jak ich ostre jak igły szczękoczułki przegryzają jego skórę. Pełzły po jego ramieniu jak wąż z błyszczącej, czarnej chityny.

Kane wrzasnął i próbował zrzucić je z ręki. Pająki wisiały mocno uczezione i gryzły po palcach. Płonące igły przeszywały jego zatrute jadem ciało. Pająki kąsały, pełzając po nim. Każde ukąszenie zmieniało się w fioletowo-zieloną opuchliznę, która rosła i pękała. Wypadały z niej następne pająki. Pająki wspinały się i kąsały, pełzły teraz ku jego twarzy...

COFNIJ SIĘ O KROK, KANE...

NIE! Za nim ziała otchłań. TO ZŁUDZENIE!

Pająki znikły. Ręka i ramię były całe. Kane wzdrygnął się i ruszył przed siebie.

Śmiech. Demoniczny śmiech.

W mgłę przed nim widać było przykucniętego demona z kozłimi rogami i twarzą ropuchy. Nadęta smocza ropucha, której ciało pokryte łuskami całkowicie blokowało przejście. Jej śmiech dudnił ogłuszająco w korytarzu, a jej paszcza rozwierała się jeszcze szerzej – niemożliwie szeroko. Niewiarygodnie długi, lepki język zbliżał się do Kane'a jak wąż. Kane odsunął się z odrazą.

Nie! Nie mogę się cofnąć!

Czując, że stoi na krawędzi przepaści, Kane wyprostował się, w chwili, gdy język demona sięgnął po niego. Ziejąca ropusza paszcza potwora wypełniała teraz cały korytarz. Pożółkłe kły sterczały z sufitu i podłogi jak przegniłe stalaktyty i stalagmity. Z paszczy ział cuchnący oddech, który powodował mdłości. Kane zachwiał się.

To wcale nie był korytarz. Stał na obrzydliwym języku demona i spoglądał w głąb jego olbrzymiej, ohydnej paszczy. Tunel przed nim był gardłem potwora. Wchodził wprost w ociekające śliną szczęki ogromnej bestii... Z przerażeniem i odrazą zatrzymał się.

UCIEKAJ! WRACAJ!

Nie! Yslsl, to kolejne złudzenie!

WRACAJ! ZOSTANIESZ POŻARTY!

Złudzenie!

Kane pozostawił w tyle ruchomą krawędź otchłani. Wszedł po oślizłym języku przez ociekające śliną szczęki do ziejącego przełyku, gdzie ślepe robactwo wiło się po jego nagich stopach. Paszcza zaczęła się zamykać. Kane poczuł, że leci w głąb przełyku demona.

– Złudzenie! – ryknął Kane. Zaczął biec przed siebie na oślep po spadającym na niego plugastwie.

Był w korytarzu, a za nim bezlitośnie posuwała się nicość.

– Oczywiście, że to złudzenie, Kane. Jesteś obłąkany.

Orted Ak-Ceddi uśmiechał się do niego złośliwie. – Jesteś obłąkany, Kane – nie rozumiesz tego? Kompletnie szalony, szalony! To wszystko złudzenie – ty też.

Kane rzucił się na niego. Prorok stał z lekceważącym uśmiechem. Potężne dłonie Kane'a zacisnęły się na grubym karku Orteda.

To nie był Orted. To była dziewczyna o twarzy wykrzywionej strachem. Znał ją – to Lyuba, którą kiedyś kochał. Lyuba, która obróciła się w proch wieki temu... która zginęła z jego ręki...

– Kane! Przestań! – jęknęła Lyuba, wijąc się w jego uścisku.

Jednak jego dłonie nie chciały się rozluźnić. Zaciskały się bezlitośnie z własnej woli. Kane usiłował oderwać ręce, lecz morderczy uścisk tężał powoli. Piękna twarz Lyuby posiniała ohydnie. Oczy wyszły jej na wierzch. Z ust wysuwał się coraz dłuższy język...

Był to język węża. Kane ścisnął za gardło węża. Nagłym ruchem szkarłatny wąż wysliznął mu się z rąk i wbił kły w jego pierś.

Kane krzyknął z bólu i oderwał zębaty łeb od piersi. Wąż eksplodował niesamowitym światłem, oślepiając go. Kane zatoczył się do tyłu...

NIE!

– Kim on jest? – Nagle wokół rozległy się głosy. – Co mu się stało? Czy on się dobrze czuje?

W sali balowej pełno było tańczących na obsydianowej posadzce, śmiejących się, rozbawionych ludzi w kosztownych szatach i klejnotach. Kilka twarzy było zwróconych w jego stronę. Malował się na nich niepokój.

– Dobrze się czujesz? – zapytała dziewczyna w sukni ze sznurów pereł.

– Czy coś się stało? – zapytał jej towarzysz. Miał na twarzy maskę sowy.

– Ja... nie wiem – Kane usłyszał swoją odpowiedź. Gdzie jest? Czy zna tych ludzi? Co robił przed chwilą?

Para tancerzy zderzyła się z nim. – Uważaj, stary – zaśmiał się jeden z tańczących. – Za dużo wypiełeś, co?

– Czy mogę zapytać, co tu robisz? – zapytał towarzysz tancerki w perłach.

– Czy jesteś jednym z gości?

Kane zmarszczył brwi. Był? – Czuję się już dobrze.

– Wydaje mi się, że jemu coś dolega – ktoś zasugerował zatroskanym tonem. – Kim on jest? Czy ktoś wie, kim on jest?

KIM ON JEST? Ogarnęła go panika. Kim on jest? Skąd się tu wziął? Kane nie mógł przypomnieć sobie niczego sprzed kilku minut. Rozglądał się wokół szalonym wzrokiem, szukając ucieczki. Tancerze wołali o pomoc.

Poczekajcie, jest jakiś strzép wspomnienia. Islsl...

– Przestańcie! – wrzasnął Kane. Tańczący zatrzymali się i popatrzyli na niego. – PRZESTAŃCIE! – Sala balowa zamigotała.

To nie była sala balowa. To był kurhan. Kane leżał na plecach na wielkiej kamiennej płycie.

Spróbował się poruszyć. Nie mógł. Jego ciało było zimne i sztywne. Głowę miał o coś opartą; oczy były otwarte. Widział swoje leżące ciało.

Jego ciało było wyschnięte i zniszczone przez czas. Zardzewiała kolczuga i przegniłe futra spowijały rozkładające się szczątki. Nie mógł krzyczeć, bo nie oddychał.

Do kurhanu wchodziły pojedynczo jakieś postacie i spoglądały na niego. Trupy z rozkładającymi się twarzami, które potrafił rozpoznać – wrogowie, którzy zginęli z jego ręki w przeszłości. Żywe trupy, jak on sam. Chodzili wokół niego, spoglądali w dół, a ich przegniłe twarze rozjaśniała sekretna radość. Śpiewali pieśń żałobną.

– Biedny Kane. Jest pomyleńcem.

– Biedny Kane. Umarł w męce.

– Biedny Kane. W mózgu ma robaki.

Nie robaki – coś ohydniejszego... Yslsl.

Kane z trudem ochryple zajęczał postrzępionymi wargami: – Yslsl!

A potem nastąpiła nicość. Kane, nagi i samotny, unosił się w nicości. Chłód, ból, nicość.

Jego myśli dryfowały bezradnie – były bólem.

– Czy jestem obłąkany? Czy jestem szalony? Czy nie powinienem czegoś wiedzieć? Czy nie powinienem gdzieś być? Gdzie jestem? Czy jestem gdziekolwiek? Kim jestem? Czy jestem kimkolwiek?

Kosmiczne przerażenie targnęło jego duszą – przerażenie przekraczające wszystko, co znał do tej pory. Nie wiedział.

ON NIE WIE. Gdzie. Jak. Dlaczego. Kiedy. Kto. Jeśli. Kiedykolwiek. Kto.

– Szalony, szalony (Yslsl pożarł jego mózg), szalony, szalony.

I wściekłość zapłonęła jasno w rozpadającej się duszy.

– Ja jestem Kane! – ryknął w nicość. – Ja jestem Kane!

I znów szedł korytarzem. Po każdym niepewnym kroku korytarz zniknął za nim.

– Nie. JA jestem Kane.

Przed nim czaił się masywny, rudobrody mężczyzna. Jego brutalną twarz wykrzywił gniew, a płomienie śmierci tańczyły w zimnych, niebieskich oczach. Kane myślał, że widzi swoje odbicie – a potem zobaczył, że ta druga postać porusza się samodzielnie.

– JA jestem Kane – powiedział sobowtór do Kane'a. Kane odsłonił zęby we wściekłym grymasie. – Yslsl!

– I była to niemal modlitwa.

Sobowtór rzucił się Kane'owi do gardła. Kane odsunął się – lecz atak był podstępem. Obracając się w czasie ataku, sobowtór zadał cios otwartą dłonią w szyję Kane'a. Kane częściowo uchylił się przed morderczym ciosem, w tej samej chwili podcinając przeciwnika niespodziewanym ruchem nogi.

Sobowtór starał się odzyskać równowagę, zwierając się z Kane'em w walce wręcz. Uderzenie łokciem trafiło Kane'a w twarz, rozbijając mu nos i porażając bólem. Wysunął biodro w ostatnim momencie, kiedy sobowtór chciał skorzystać z tej przewagi, ale następny cios Kane'a, zadany otwartą dłonią, nie trafił w cel.

Z ich gardeł wydobywało się ochryple sapanie. Stalowe palce szukające mocnego uchwytu rozdzierały skórę. Każdy nagły zwód, każdy niespodziewany chwyt był znany im obu. Siła i szybkość były identyczne – i ta sama była mordercza wściekłość, która obracała Kane'a przeciw Kane'owi w rozpaczliwej nienawiści.

Otchłań rozwierała się pod stopami walczących bliźniaków, nieubłagane posuwała się za

krokami jednego z walczących...

Kane otarł krew, zalewającą mu oczy, i zerwał duszące palce sobowtóra ze swojego gardła, dźgając przeciwnika w krtań.

Sobowtór skulił się, krztusząc się z bólu, a jego ruchy były zbyt powolne, by zdołał uchylić się przed kopnięciem wymierzonym w splot słoneczny. Poleciał do tyłu, w głąb korytarza, zataczając się i starając uciec przed napastnikiem. Kane skoczył na niego i uderzył z całych sił w serce, a potem w twarz.

Wróg zachwiał się jak pijany na uginających się pod nim nogach. Kane nieubłaganie schwycił za gardło i szarpnął nim. Ten drugi uderzył go głową z rozpaczliwą siłą i Kane poczuł pod stopami krawędź otchłani. Rozpaczliwie odskoczył w bok i niespodziewanie rzucił przeciwnika za siebie. I tak już lecący do przodu wróg nie zdołał zatrzymać się na krawędzi przepaści. Spadał wymachując rękoma.

Przez moment Kane widział, jak coś choć obrzydliwe, ale podobne do człowieka, z mnóstwem przejrzystych, wijących się macek zamiast twarzy, stara się wbić szpony w krawędź przepaści. Chwyciło tylko nicość i w nicość spadło – wirujący, powoli znikający pyłek wśród innych pyłków, które, jak Kane zobaczył, nie były wcale gwiazdami...

Tunelem wstrząsnęło przerażenie, a jego zarysy rozmyły się. Z trudem utrzymując się na nogach, Kane zobaczył tuż przed sobą coś, co zdawało się być otworem w korytarzu niezmierzonej długości. Nie ośmielając się sobie wyobrazić, dokąd może on prowadzić, Kane przestąpił próg...

W płonącej Ceddi drzwi starej wieży rozpadły się pod ostatnim ciosem tarana. Chciwy z zemsty Jarvo przeskoczył je i wściekłym, nie pojmującym niczego wzrokiem rozejrzał się po pustej komnacie, w której nie było nic, prócz kurzu i echa...

Pół świata dalej, obszarpana dziewczyna nagle chwyciła ojca za rękę i jęknęła. – Ojczy! Tam! Na szczycie schodów! Tam leży jakiś mężczyzna.

– Co takiego? – Jej ojciec spojrział z niepokojem w stronę miejsca, które pokazywała palcem. Kiedy burza zmusiła ich do poszukania schronienia na noc w tej prastarej kupie gruzów, rozglądał się wokół wieży ze strachem, bowiem krążyły o niej legendy, ale nie zobaczył niczego groźnego. Ogień ich ogniska był słaby, a ostatni błysk pioruna był tak bliski, że zdawało się, iż podpali wieżę.

Mężczyzna zawołał, ale nie otrzymał odpowiedzi. Wziął pochodnię z ogniska i zaczął się ostrożnie wspinać po spiralnych schodach, trzymając dłoń na wytartej rękojeści miecza, który był wszystkim, co zostało z jego dawnego majątku. Córka szła za nim, bardziej zaciekawiona niż wystraszona.

– Czy on żyje?

– Tak, chociaż jest ciężko ranny. To rycerz, sądząc po jego rzeczach. Stoczył zaciekły bój – być może ze zbójcami. Opatrzmy mu rany najlepiej jak będziemy umieli.

Kane otworzył oczy, popatrzył na nich i ponownie popadł w omdlenie.

– Czy on przeżyje?

– Tak, sądząc po jego spojrzeniu, ku zgubie tego, kto go doprowadził do takiego stanu.

Dziewczyna objęła ramionami swoje chude żebra. – Widziałam obłęd w jego oczach.

Jej ojciec mruknął. – Spróbuję ściągnąć go na dół do naszego ogniska. Możesz go podnieść choć trochę? To olbrzym.

– Co on ma na rękach? – Wzdrygnęła się.

– Zobaczymy. – Uniósł jego zakrwawioną dłoń i zaklął, zdziwiony kruchą substancją, która

przyczepiła się do jego palców i paznokci.

- Z czymkolwiek walczył, było to martwe od dawna.

KONIEC

Spis treści

STRONA TYTUŁOWA..	1
PROLOG..	5
I CZŁOWIEK, KTÓRY NIE RZUCAŁ CIENIA..	7
II CZŁOWIEK, KTÓRY BAŁ SIĘ CIENI.	13
III ZŁOTE RYBKI.	19
IV CIENIE, KTÓRE ZABIJAJĄ..	22
V REKINY..	26
VI CZERWONE ŻNIWO..	29
VII OGNIWO KRYZYSU..	34
VIII POCZĄTEK BURZ..	36
IX WYKUWANIE..	38
X W WIEŻY YLSLSLA..	41
XI ŻAŁOBA JUTRA..	45
XII KRWAWE CHRZEST.	47
XIII OBLĘŻENIE..	55
XIV TRAKTATY I WEZWANIA..	58
XV OMEN..	63
XVI ZŁAMANY MIECZ..	65
XVII GODZINA DZIECI.	67
XVIII SEN I DELIRIUM..	70
XIX BOGINI.	75
XX JEJ WARGI SĄ CZERWONE...	78
XXI ...WYGLĄDA JAKBY JĄ NAKARMIONO..	84
XXII NIECH KRWAWI.	87
XXIII WROTA..	89
XXIV POD MORZEM PIASKU..	94
XXV NEMEZIS.	95
XXVI DESPERAT.	98
XXVII W LEGOWISKU YLSLSLA..	105
XXVIII GŁÓD..	106
wielki	
Wnętrzu	
Ak-Ceddi	
Akk-Ceddi	